

TOM CCLXXII.

De II 1.

ROK 68.

SERYA 9.

ZESZYT 816.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

GRUDZIEŃ.

1908.

TOM IV.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. TURCYA W AZYI,—przez <i>Bolesława Koskowskiego</i>	417
2. PAN BALCER W BRAZYLII,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	441
3. PIERWSZY „SYONISTA“ POLSKI,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	454
4. HANKA (powieść),—przez <i>Ory Jelską</i>	470
5. O CYPRYANIE NORWIDZIE,—przez <i>Adama Krechowieckiego</i>	514
6. WIKTORYN SARDOU,—przez <i>W. B.</i>	549
7. RUCH UMYSŁOWY W NIEMCZECH,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	554
8. PIŚMIENNICTWO:	
JĘDRZEJ ŚNIADECKI: „Pisma satyryczne,—przez <i>H. Mościckiego</i>	588
ARTUR OPPMAN (OR-OT): „Wybór poezyj,—przez <i>Henryka Gallego</i>	590
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Jubileusz papieski.—Zatargi kapitału z pracą.—Wystawa w Częstochowie.—Sanatorium w Rudce.—Muzeum miejskie.—Centralny bank kredytowy	597
10. WSPOMNIENIE POZGONNE:	
b. p. Mathias Bersohn,—przez <i>Z. D.</i>	611
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	613

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 10.



De. II 1.

TURCYA W AZYI.

I.

Z licznych tytułów, którymi się cieszy trzydziesty czwarty władca ottomański, Abdul Hamid chan II, dwa są osobliwej i znakomitej wagi: tytuł *kalifa*, następcy proroka (niech będzie pozdrowione jego imię, zarówno jak jego rodziny i towarzyszków!), i tytuł *kadîma*, sługi dwu miast, Mekki i Medyny, „miejsc dostojnych i świętych, ku którym zwracają się wszystkie modły muzułmanów.“¹⁾

Kalif jest następcą wysłańca Bożego, *Kalifat Resul Allah*. Imię to przyjął Abu-bekr po śmierci Mahometa i w tym charakterze on i jego następcy stali się duchownymi, *imam*, królami, *malik*, i sędziami, *kadî*, czyli naczelnikami cywilnymi, wojskowymi i religijnymi Islamu. Obok tego namiestnika, prorok pozostawił sukcesorów swej rasy, synów swej córki i zięcia, Alego. Tych „szlachetnych,“ tych „znakomitych,“ *szeryfów*, zarówno jak „władców“ i „panów,“ *saidów*, którzy odróżniają się od tłumu prawem noszenia zielonego turbanu, jest obecnie mnóstwo, są setki tysięcy we wszystkich krajach muzułmańskich. Między tymi potomkami proroka *said*zi uważani są za linię młodszą i nie mają żadnych ambicyj szerokich; *szeryf*owie uważają się za linię starszą i zawsze mieli ambicye polityczne, nie przestają mieć nadziei, że kiedyś jeden z nich zostanie kalifem.

¹⁾ W tym rozdziale oparłem się głównie na dziele Victora Bérard'a *Le Sultan, l'Islam et les puissances*. Korzystałem także z książki *L'Islam*, hr. Henry de Castries i z prac cytowanych poprzednio.

Niektórym z nich udało się posunąć ku temu celowi: szeryf z Tafileltu stał się władcą niezależnym, sułtanem marokańskim. Inni szeryfowie, zwłaszcza panujący w Mekce, byłiby skłonni podjąć walkę o władzę nad Islamem, gdyby mieli więcej po temu siły.

Lecz poza Marokkiem i Arabią cały Islam ortodoksyjny, wszyscy wierni, których nie uwiodła herezyja perska (*szytów*), wszyscy ci, którzy pozostali wierni księdze (Koranowi) i tradycyi (*sunna*), wszyscy *Sunnici* nad swymi chanami, bejami, malikami, emirami, szeikami, imamami i marabutami uznają tylko jednego następcę wysłańca Bożego, namiestnika Mahometa, kalifa ze Stambułu.

Kadim jest Sługą dwu haremów świętych: Domu Allacha w Mekce i Grobu Proroka w Medynie. W obu tych miejscach świętych sułtan ma swych przedstawicieli, z których szeryf z Mekki rości sobie nawet wielkie pretensye zwierzchnicze, ale w rzeczywistości obaj są prostemi narzędziami kalifa-kadima. Tak więc sułtan konstantynopoliński koncentruje w sobie pełnię władzy nad Islamem, władzy zarówno świeckiej, jak teokratycznej.

Od Solimana, „Prawodawcy“, aż do Abdul-Hamida II, od r. 1566 do r. 1876, dwudziestu trzech sułtanów-kalifów dziedziczyło to cesarstwo-papiestwo. Lecz zagadnienia wojenne sułtanatu zawsze przeważały nad pracą religijną kalifatu: sułtanowie byli z ducha i faktu przedewszystkiem cesarzami tureckimi. Starali się raczej o rozszerzenie, a później o całość swej Turcyi, a nie o ekspansyę i jedność Islamu; ich polityka skierowywała się ku Europie, a nie ku Miastom. A gdy niebezpieczeństwo europejskie stawało się, z biegiem czasu, blizkie, usiłowali znaleźć ratunek nie w dogmatach wiary, lecz w doświadczeniach niewiernych. Dopiero Abdul-Hamid, wypędziwszy młodoturków (1877), powraca do tradycyj i zasad islamicznych, będzie się starał być przedewszystkiem kalifem.

Zarówno wskutek skłonności osobistych, jak z obawy przed Arabami i ortodoksami, Abdul-Hamid widział ratunek swój i swego państwa jedynie w rozbudzeniu fanatyzmu powszechnego. Niewierni zewsząd nacierali na sułtanat, w samym państwie *rajowie* podnosili coraz więcej głowę. Islam czuł się upokorzonym, a Arabowie zaczęli już mówić o przejęciu dziedzictwa po niegodnych prawa obrony sług Allacha—Turkach. Położenie komplikowało się wskutek specjalnego położenia Turków.

Między Arabem a Turkiem nigdy się nie mogło dokonać nie tylko zlanie, ale nawet trwalsze porozumienie: dwie rasy, dwa ję-

zyki, dwa temperamenty zachowały się i nadal. Różnice między Semitą o skórze białej a Mongołem o skórze żółtej są ogromne, jakkolwiek wśród ich przedstawicieli osiadłych pomieszanie rasowe jest znaczne. To też jeden gardzi drugim. Arabowie utrzymują, że ich Islam był kiedyś piękną i zupełną cywilizacją, ogniskiem nauk, poezyi, sztuk i wynalazków, ale że razem z Osmanami weszły doń upadek, ciemnota i bezpłodność. Turcy więc nie mogli nigdy naprawdę zapanować nad Arabami. Trzy czwarte półwyspu arabskiego, Nedżed, nomadzi z Szammaru i ludność nadmorska z południa zawsze im odmawiali hołdu nominalnego: żyją autonomicznie pod swymi szejkami, emirami i imamami. W wieku XVIII zdawało się, że fala gorliwości monoteistycznej i fanatyzmu purytańskiego zjednoczy wszystkich tych Arabów z wnętrza i z nad brzegów pod sztandarem Wahabitów i że inny Mahomet, wystąpiwszy z pustyni, porwie ich ku podbijaniu Lewantu. To niebezpieczeństwo wahabickie istniało aż do ostatnich czasów, a ogień Reformy muzułmańskiej tli się wciąż w oazach Nedżedu. Niewiele potrzeba, jakiejś pomocy z zewnątrz, aby rozgorzał na nowo.

W Arabii właściwej załogi tureckie mogły się utrzymać jedynie na dwu skrawkach brzegów. Wilajet turecki Bassory (Bazry) obejmuje brzeg południowy zatoki Perskiej, między ujściem Szatt-el-Arabu a granicą Omanu. Wilajety tureckie Hedżazu i Jemenu rozciągają się na brzegu wschodnim morza Czerwonego między zatoką Synajską a cieśniną Bab-el-Mandeb. Nigdy faktyczna władza turecka nie przekroczyła „kraju morskiego“ morza Czerwonego i piasków „dwu mórz.“ Wprawdzie załogi ottomańskie usadowiły się aż w Dwu Miastach, Mekce i Medynie, posuwały się aż do bajecznego Jemenu. Ale cóż z tego? W Jemenu panuje stale ruch powstańczy, Hedżaz znajduje się ciągle pod groźbą rewolucyi wahabickiej lub szeryfowej, a Midiam i Azir są w rękach bandytów i łupieżców. Tylko siedm miast, zajętych przez wojska, Jambo, Dzedda i Hodeida nad morzem, Medyna, Mekka, Taif i Sana w górach, jest posłusznych sile. Pozatem Arabia nigdy nie była prawdziwą zdobyczą ottomańską; Beduin pozostaje niepodległy, ludy osiadłe gardzą Turkami i liczą na ich blizkie bankructwo. Podróżnik J. L. Burckhardt pisał w r. 1816: „Epitet *Kain* (zdrajca) jest powszechnie nadawany wszystkim Turkom w Arabii. Klasy niższe znalazły fantastyczne potwierdzenie tego oskarżenia przeciw Turkom w jednym z tytułów sułtana: *chan*, stare słowo tatarskie, oznacza po arabsku: *zdradził*. Arabowie sądzą, że jeden z przodków sułtana, zdradziwszy pewnego

zbiega, otrzymał obelżywy przydomek *es sultan chan* (sułtan był zdrajcą) i że ten tytuł zachowany został przez jego potomków tylko wskutek ich nieznamośności języka arabskiego. Gdy potęga Turków w Hedżazie osłabnie, Arabowie pomszczą dzisiejsze swe, jakkolwiek nieuciążliwe, poddaństwo i panowanie Osmanów w Hedżazie zakończy się prawdopodobnie niejedną rzezią powszechną.¹⁾ Szeryf Mekki mówił w r. 1842 do p. Roches: „Myśmy sami, szeryfowie, przyłożyli się do upadku wiary, wzywając interwencji Turków, tych zawziętych wrogów Arabów. Zamiast być sojusznikami, są to srodzy tyrani. I my, szeryfowie, potomkowie Proroka, niegdyś niezaprzeczeni władcy Miast Świętych, musimy schylać głowy przed ostatnim z paszów!” Już w naszych czasach Arabowie z ironiczną satysfakcją dowiadywali się o klęskach tureckich w r. 1878. Zresztą same te klęski musiały przyczynić się do zmniejszenia przywiązania poddanych arabskich i szacunku ich dla władzy tureckiej. Wszystko, słowem, sprzyjało podnieceniu pretensyj arabskich i wzmożeniu ambicji tej dumnej rasy.

Poza półwyspem arabskim, w Bejrucie, w Damaszku, w Bagdadzie nadzieja wielkiej Arabii, pan-Arabii, wyswobodzonej, zjednoczonej, potężnej i szczęśliwej, zaczęła zdobywać nawet samych przedstawicieli władzy sułtańskiej. Marzono o federacji teokratycznej pod władzą narodowym; wszyscy wierni, równi i braterscy, żyliby we wspólnotach autonomicznych, pod kierownictwem zwierzchniem proroka, w pokoju i sprawiedliwości kalifatu, który wyrwanoby Stambułowi, oddając go w ręce godniejsze, szeryfa z Mekki, chedywa z Egiptu lub jakiej innej osobistości ze świata arabskiego. Wskutek zręczności Abdul-Hamida i jego polityki, zanedbującej wszystko dla celów Islamu, ruch ten w ostatnich latach nieco osłabł, ale rządy młodotureckie *à l'euro péenne* mogą go znowu podnieść.

Poprzednicy Abdul-Hamida rządziłi swą Azyą po turecku: siła wojskowa wydawała im się jedyną rękojmnią ich władzy. Abdul-Hamid, nie lekceważąc siły, przekładał wszakże inne środki. Internował, wypędzał, truł władców arabskich przy najmniejszym podejrzeniu; lecz przedewszystkiem próbował ich kupić, pozyskać sobie ich otoczenie lub neutralizować jednego przez drugiego za pośrednictwem intryg. Umiał eksploatować nienawiści i chciwości lokalne, stare zwyczaje zemsty arabskiej; posiadał we wszystkich

¹⁾ W dziełach, znacznie późniejszych, innych podróżników europejskich zebrano również świadectwa podobnych uczuć Arabów względem Turków.

plemionach, nawet wśród Beduinów, swych „doradców“ religijnych i politycznych; wszędzie krążyli jego szpiedzy; miał swe biura arabskie, które kierowały sprawami cywilnymi i religijnymi; sam jest pod wpływem derwiszów, szejków, różnych awanturników azyatyckich. W swem życiu prywatnem usiłował sułtan zdobyć uznanie największych ortodoksów. Zachował, a raczej przywrócił prostotę i surowość dawnych obyczajów, odznaczał duchownych, wspomagał pielgrzymów, posyłał ofiary do wszystkich centrów Islamu nawet poza granice swego państwa. Na podobieństwo misyj katolickich, postanowił zorganizować seminarjum dla misyj islamicznych, którego uczniowie rozszerzaliby naukę prawowierną po całym świecie.

Trzeba pamiętać, że pomiędzy państwami muzułmańskimi Turcyja zajmuje piąte czy szóste miejsce. Anglia (wraz z Egiptem) posiada jakieś 80 milionów poddanych muzułmańskich, Chiny około 34 milionów, Holandia około 30, Francya 20 do 22, Rosya 18, a Turcyja dopiero 16 do 18. Za nią idą: Persya (10 milionów muzułmanów), Marokko (8 czy 9), Afganistan (5 czy 6), Arabia niepodległa (około 5) i Niemcy (2 do 2 $\frac{1}{2}$). Otóż tych 200 czy 250 milionów ludzi panislamizm sułtański zdobyć pragnął dla kalifatu: „Panislamizm — pisze p. Georges Gautis — był przez całe lata rodzajem postrachu dla mocarstw kolonialnych, posiadających ludność muzułmańską. Na różne sposoby mówiono, że sułtan byłby zdolny, na jeden znak, rozniecić olbrzymie powstanie, nie dające się opanować. Jest faktem, że siał on wszędzie, we wszystkich krajach muzułmańskich, niestrudzone intrygi. Przejęty wagą ligi islamicznej, zaczął naprzód straszyć Europę ligą albańską. Potem posyłał swych agentów do posiadłości europejskich w Afryce północnej. Utrzymuje swych agentów zarówno w Arabii i Kairze, jak w Fezie i w Indyach.“

Swoją drogą jakiś czas Abdul-Hamid był bardzo ostrożny: obawiał się koalicji chrześcijańskiej przeciw koalicji muzułmańskiej. Dopiero znalezienie sojusznika w osobie Wilhelma II dodało mu odwagi. Ogłoszenie się cesarza niemieckiego, nazajutrz prawie po okrutnych pogromach armeńskich, „przyjacielem trzechset milionów muzułmanów“, umocniło sułtana w przekonaniu, że jego polityka jest dobrą. Odtąd Abdul-Hamid będzie miał wyłącznie trzy drogie mu przedsięwzięcia na widoku: kolej żelazną do Bagdadu (której budowę powierzy przyjacielowi z Berlina), czyniącą go panem rzek i Irak-Arabii; kolej żelazną do Mekki, która, zaświadczać przed całym Islamem dbałość kalifa o wygodę i bezpieczeństwo pielgrzymek do miast świętych, dałaby jednocześnie

kadimowi możność stałej kontroli nad Dwoma Haremami; wreszcie ekspedycję do Jemenu i podbicie Arabii niepodległej lub powstańczej.

Wszystkie te trzy przedsięwzięcia prowadzą nieuniknienie do konfliktu z Anglią.

Morze Czerwone i zatoka Perska, od czasu, kiedy Anglia drogą umów i traktatów zabezpieczyła sobie niemal wszystkie swe interesy gdzieindziej, stały się główną troską rządu brytańskiego. Co do zatoki Perskiej, Anglia po ostatniej umowie swej z Rosją może czekać spokojnie: lokomotywy niemieckie są jeszcze nawet od Bagdadu daleko. Co zaś do morza Czerwonego, tutaj Anglia okazuje pewien pośpiech: kolej i port w Sudanie egipskim, negocyacye anglo-francusko-włoskie co do Etyopii, pretenzje i aneksye wokoło Adenu, takie są jej akty ostatnie. Czyżby — pyta p. Bérard — miały być one połączone jakąś nicią tajemną z powstaniem w Jemenu i agitacyami w Hedżazie? Czyżby Anglia spodziewała się, że Arabia, oderwana od Stambułu, byłaby lepszym sąsiadem, że powróciłaby do czasów swej wielkiej cywilizacji? A może wyswobodzenie Arabów jest tylko pretekstem i Anglia ma nadzieję zamienić jarzmo ottomańskie na protektorat brytański? Opiekun Egiptu, władca Sudanu, kraju Somalów i Adenu, prawdziwy „thalassokrata“ morza Czerwonego — czyż pragnie Anglik przybrać w Arabii swą siłę w płaszcz religijny, przeciw kalifowi tureckiemu bronić praw szeryfa z Mekki? Wszystko to są tylko domniemania, obok których parcie angielskie nad morzem Czerwonym jest faktem i — pisma panislamiczne piszą o tem wyraźnie — sułtan przeznaczając swą kolej w Hedżazie tyleż na walkę z Anglikami, jak na służbę dla pielgrzymów. A tak przeznaczając, liczy zapewne na współdziałanie sprzymierzeńca z Berlina. Niemcy oddawna zwracają uwagę Turcyi na konieczność prowadzenia polityki „bardziej azyatyckiej“, czuwania nad jej posiadłościami azyatyckimi, i poszukiwania tam już z góry ekwiwalentów, jeżeli kiedyś wypadnie ostatecznie pożegnać się z panowaniem w Macedonii.

Oswobodzenie Egiptu było zawsze jednym z celów polityki kalifowej. Abdul-Hamid nie pogodził się nigdy z faktem dokonanym. Po dwudziestu pięciu latach okupacji angielskiej traktuje on po dawnemu Egipt jako jeden ze swych wilajetów, a chędywa jak jednego ze swych wezyrów. Główny przed paru laty konflikt angielsko-turecki o granice turecko-egipskie (sprawa Tabahu) dał nowe świadectwo niezamarłych ambicij sułtańskich, podsycanych z Berlina. Anglicy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, gro-

zającego im z tej strony. W opublikowanej po tym konflikcie angielskiej „Księżce błękitnej“ wydrukowano list, zaadresowany do lorda Cromera, „reformatora Egiptu,“ przez jakąś osobistość anonimową, przemawiającą „w imieniu całego narodu.“ Nieznany autor pisze, między innymi: „O ile pokój panuje w kraju, duch islamu drzemie. Słuchany, jak *imam* nawołuje w meczecie przeciw niewiernym; lecz jego słowa giną na wietrze; dzieci, które go słyszą po raz pierwszy, nie rozumieją go; starcy, którzy go słuchają od czasów dzieciństwa, nie zwracają nań uwagi. Lecz niech tylko nam powiedzą: „Wojna jest między Anglią a Abdul-Hamidem chanem,“ a wówczas wszystko się zmieni. Słowa imama znajdują echo we wszystkich sercach; każdy muzułmanin będzie słyszał tylko okrzyk wiary. Jako ludzie nie lubimy synów Osmana; dzieci przy piersi znają ich dzieło deptania Egipcyan, jak suche trzciny. *Ale jako muzułmanie, Osmanowie są naszymi braćmi;* kalif jest władcą miejsc świętych i dostojnych relikwii. Niech nawet będzie on lichotą, jak Bajazet, dzikim, jak Murad, szaleńcem, jak Ibrahim, jest on jednak cieniem Boga na ziemi i wszyscy muzułmanie muszą powstać na jego rozkaz, jak słudzy na wezwanie Pańa. Wezwanie sułtana jest wezwaniem wiary... Jeżeli przyjdzie wojna, nawet kobiety będą z tarasów wołały: niech Bóg da zwycięstwo islamowi!“

O tem wiedział sułtan i starał się to wyzyskać przeciw Anglii. Dotychczas jednak, jak wiadomo, drogo płacił za te próby polityki angielskiej. Przeciw władcy, słudze niemieckiemu, Londyn odwołał się do powstań ludowych. Na Krecie, w Armenii, w Macedonii Anglicy, jeśli nie wzniecali niezadowolenia, bo na to Abdul-Hamid sam pracował gorliwie, to w każdym razie wspomagali i podtrzymywali powstańców. I w dalszym ciągu zapewne na zapędy kalifa Anglia będzie umiała odpowiedzieć zachęceniem ruchów antitureckich nie tylko wśród chrześcijan, ale także i wśród Kurdów, Druzów, Arabów, bo wszędzie grunt jest oddawna do tego przygotowany.

*

*

*

W r. 1878 mgr. Nerses, patryarcha konstantynopolitański, doręczył członkom kongresu berlińskiego memoriał w sprawach

armeńskich. Memoriał ten przyczynił się znacznie do włączenia do traktatu artykułu 61-go, zobowiązującego sułtana do pewnych reform w wilajetach azyatyckich, bardziej zamieszkanym przez Armeńczyków. Od tego bodaj czasu datuje się nienawiść sułtana do tego narodu.

Armeńczycy są w tej Azji tureckiej jedynym żywiołem, zdolnym do przyjmowania i krzewienia cywilizacji europejskiej. Okazywali zawsze dużo skłonności do idei zachodnich, a misye katolickie i protestanckie czyniły wśród nich duże postępy. Byli dobrymi kupcami, skrzętnymi rolnikami, zabiegliwymi pracownikami we wszystkich gałęziach życia gospodarczego. Szkoły europejskie, zwłaszcza angielskie, w Turcyi były przepelnione dziećmi armeńskimi. W Konstantynopolu od paru dziesiątków lat Armeńczycy opiekowali się finansami prywatnymi sułtana; w administracyi prowincjonalnej i centralnej zajęli sporo stanowisk wpływowych. Rozrzućeni po całym niemal państwie i nigdzie nie stanowiąc większości, nie dążyli oni do niepodległości, ani nawet do autonomii; żądali tylko sprawiedliwości, dobrej administracyi, równości obywatelskiej. Było więc interesem widocznym Turcyi, aby przywiązać do siebie tych pracowników inteligentnych i niestrudzonych, zwłaszcza, że sytuacja ich współziomków w Rosyi kazała sułtanowi mieć tę sprawę szczególnie na uwadze. Lecz Abdul-Hamid słuchał tylko *camarilli* arabskiej, nienawidzącej Armeńczyków: rzeź na ulicach Konstantynopola we wrześniu 1895 r., rzezie w Trebizondzie, Erzerumie, Bitlis, Bajrurie, Mersinie, Diarbekirze, Arabkirze, Mardinie i t. d. — były odpowiedzią na skromne żądania armeńskie. P. de Contenson, który przybył do Orfy w r. 1897, opisuje, że przed rzeziami panowały stosunki przyjazne między chrześcijanami i muzułmanami w tem mieście turecko-armeńskim: „Ich sklepy były obok siebie na bazarze, uczęszczane bez różnicy przez jednych i przez drugich. Zdarzało się często, że muzułmanie byli przyjmowani w rodzinach chrześcijańskich... Po tem względem szczęściu pozostało tylko wspomnienie. Po upływie szesnastu miesięcy od ostatniego pogromu wielki smutek panuje nad miastem. Armeńczycy nie ośmielają się wyjść pięć metrów poza miasto, aby nie być napastowanymi i ograbionymi; ich pola okoliczne stały się własnością muzułmanów... Nędza równie straszna wśród muzułmanów, jak wśród chrześcijan. Cały ten świat jest przestraszony i oszołomiony wskutek okrucieństw, których był świadkiem.“

A powód tych okrucieństw? Rozkaz z Konstantynopola.

„Pierwszy z dwu pogromów w Orfie wybuchł 28 października 1895 r. Był to rodzaj próby generalnej, dosyć nieudanej. W tym czasie Kurdowie i Arabowie, otrzymawszy wiadomość z różnych stron państwa, gdzie się już pogromy zaczęły, zbliżali się powoli do miasta w oczekiwaniu łupu. Po trzech tygodniach rzucili się, jak lawina, na miasto i rozpoczęli łupienie sklepów armeńskich. Zabito około sześćdziesięciu Armeńczyków... Dyplomacya turecka rozpoczęła wówczas działać. Uspakajając Armeńczyków, że nie będą już niepokojeni, zażądano od nich wydania broni. 28 grudnia batalion *redyfów* wchodzi do miasta, otacza dzielnicę armeńską, oficerowie wydają rozkazy: należy zabijać i łupić. Na razie chodzi o gromienie wszystkich mężczyzn dojrzałych i zdrowych. Przepisy zostały wykonane metodycznie i z dyscypliną prawdziwie wojskową. Żołnierze wybijają drzwi mieszkań, strzelają, duszą, masakrują wszystkich spotkanych tam mężczyzn. Wraz z zachodem słońca trąbka nawołuje do wypoczynku. Nazajutrz ze wschodem słońca trąbki odzywają się na nowo. Wśród chrześcijan obiega wieść, że kościół armeński będzie uszanowany: zbiera się tam przeszło dwa tysiące ludzi. Gdy Turcy wtargnęli doń, jedni z nich chcieli porwać kobiety i młode dziewczyny, inni rabować klejnoty i skarby tam uniesione, jeszcze inni zaś mordowali w dalszym ciągu, a pewien derwisz, głośny ze swego fanatyzmu, ustawił rodzaj kloca, na którym bez zmęczenia odcinał głowy. Wreszcie podpalono kościół.“

Obliczają, że ostatnie pogromy armeńskie kosztowały czterdzieści czy pięćdziesiąt tysięcy ofiar w ludziach. Oprócz tego rozpoczęła się masowa emigracya Armeńczyków z Turcyi, tak że 200 a może 300 tysięcy tego najkulturalniejszego i zamożnego żywiołu w Turcyi azjatyckiej ubyło tam, gdzie ich i ich kapitału trzeba było jaknajwięcej.

Po dziesięciu latach sytuacya ta, mimo interwencyi europejskiej (Anglii i Francyi), wcale się nie poprawiła, a raczej pogorszyła się jeszcze. Po pogromach zorganizowanych nastąpiły morderstwa codzienne, łupiestwa, aresztowania, głód. Oto wyciągi z listów, otrzymanych niedawno (w r. 1906) przez europejskie komitety pomocy dla Armeńczyków: „Rok 1906 był dla ludności armeńskiej z wilajetu Charput rokiem strasznym. Nigdy, od czasów pogromów, nie widziano tak namiętnej, tak stanowczej walki między chrześcijanami i muzułmanami; chrześcijanie walczą o prawo do życia, muzułmanie—aby uwolnić się od *rajów*. Turcy zorganizowali na początku r. 1906 polowanie na chrześcijan, jakby w celu świętowania dziesięciolecia pogromów armeńskich; wysy-

łali pocztą do notablów armeńskich pisma i listy kompromitujące, aby ich później oskarżyć o propagandę rewolucyjną i wpoić w lud wiarę, że w wilajecie jest więcej niż 500 rewolucjonistów, gotowych na wszystko. Od tego czasu areszty i rewizye odbywają się bez liku. Trzech gubernatorów, którzy następowali po sobie w ciągu tego roku, zamiast uspokajać umysły, podniecali nienawiść i chciwość swych współwyznawców, pozwalali na gwałty i kradzieże w każdej postaci. Wilajet nasz odznacza się tem, że mieszkają tu Armeńczycy najwykształceńsi, najbardziej cywilizowani, i że dobrobyt panuje tu prawie powszechnie dzięki pomocy naszych współrodaków z Ameryki. Dlatego Turcy postanowili zgnieść ten żywioł niebezpieczny.“

Jeden z komitetów armeńskich (genewski) wkrótce potem komunikował: „Wieści z Armenii są coraz więcej niepokojące. Położenie jest tragiczne. Okręgi Musz i Bitlis stały się prawdziwym piekłem. Rząd wypędza Armeńczyków z tych okolic, a ziemię ich rozdziela między emigrantów muzułmańskich z Kaukazu. Ludność armeńska ucieka do Diarbekiru, Alepu i Erzerumu. Turcy porywają młode Armenki i islamizują je gwałtem. Pobieranie podatków stało się strasznym narzędziem męki. Rząd, niezdolny do powstrzymania agitacyi antirządowej wśród Kurdów i Turków, chce ją zdusić we krwi armeńskiej. Panuje obawa wznowienia pogromów. Zupełnie już wyczerpani Armeńczycy zwrócili się do konsula rosyjskiego w Erzerumie, aby przejść na prawosławie i otrzymać protektorat; w braku tego oświadczają się z gotowością przyjęcia islamizmu. Wieś Bakaridż już jest zislamizowana. Konsulowie europejscy nie posiadają żadnego wpływu.“

Taką była gospodarka Abdul-Hamida w Armenii i względem Armeńczyków. Zobaczmy, czy ona zadowolili tych, dla których zadowolenia była przeznaczona.

Niepokoje, jakie uczuwał niegdyś Abdul-Hamid z powodu Armeńczyków, grożą teraz Turcyi ze strony Kurdów. Przed kilkunastu laty można było jeszcze przebywać wilajety wschodnie Turcyi z eskortą jednego lub dwu *zaptjów* (żandarmów). Dzisiaj nie wystarcza w niektórych okolicach znacznie większa eskorta, aby zabezpieczyć podróżnika przed bandami Kurdów, którzy, po gorliwym współpracownictwie w pogromach armeńskich, nabrali szczególnej śmiałości.

Przed jakiemiś dwunastu laty *muszir* (marszałek) Cekki-pasza zaproponował sułtanowi uzbrojenie Kurdów i utworzenie z nich pułków kawaleryi nieregularnej na wzór Kozaków. Idea wydała się Abdul-Hamidowi genialną i oto nagłe Kurdowie otrzymali broń

szybkostrzelną. Skutki tego nie kazały na siebie czekać. Oddawna lud ten uchodził za niezbyt łagodny, a jego instynkty łupieżcze i charakter niepodległy dawał się nieraz uczuwać władcom tureckim. W każdym razie nie było trudno poskramiać te bandy źle uzbrojone i nie posiadające dyscypliny wojskowej. Dzisiaj, wskutek pomysłu Cekkiego-paszy, położenie jest zupełnie inne. Zwłaszcza, gdy powołani do wykonywania pogromów armeńskich, Kurdowie zasłużyli sobie na nazwę *hamidyów*, ich zuchwalstwo zaczęło przekraczać wszelkie granice. Obecnie akcentują się też wśród nich dążenia buntownicze i Kurdystan staje się nowym ośrodkiem swoistej agitacji antitureckiej.

Już Asyryjczycy znali tych górali nieposkromionych, rasy irańskiej, jak się zdaje, o języku indo-europejskim. Ich miejscem głównym zamieszkania był zawsze piękny kraj między Taurusem armeńskim a Dżabalem perskim, nazywany przez podróżników Arkadyą azyatycką. Tam wiedzie ten 4-milionowy lud życie napoły osiadłe, napoły koczownicze, posuwając się na płaskowzgórze anatolijskie i na równinę mezopotamską, aż do zetknięcia się z Beduinami. Bardziej podzielona jeszcze, niż Beduini, mniej przywiązana do szlaków i etapów tradycyjnych, ta banda koczownicza nie jest ukonstytuowana w plemiona: jest to pył klanów, rodów, band efemerycznych, bez najmniejszego węzła politycznego, religijnego lub narodowego, nawet bez poczucia pokrewieństwa krwi. Beduin dumny jest ze swego pochodzenia, Kurd nic nie wie o niem. Ani po wsiach, ani pod namiotem niema grupy Kurdów o jednej rasie: wszystko wygnane z dolin i ścigane w górach kończy na ukryciu się pod nazwą Kurda; nazwa ta pokrywa sobą conajmniej trzy wyznania (muzułmańskie, chrześcijańskie i jezydów), cztery języki (armeński, turkomański, arabski i kurdzki), dwadzieścia praw i zwyczajów. W połowie zeszłego stulecia te dzikie plemiona były trzymane w korbach, lecz polityka Hamidowa zdążyła je rozluźnić. Po uzbrojeniu ich dla celów pogromowych, dzisiaj prawie niepodobna ich ujarzmić, a grożą oni obecnie wszystkim, równie chrześcijanom, jak Szyryjczykom, Arabom i Turkom. Między górnym Tygrysem a Eufratem tworzy się już coś w rodzaju księstwa kurdzkiego, pod hejmem Ibrahimem, który w czasie rzezi zdobył sobie tytuł paszy. Od 8 czy 9 lat Ibrahim panuje między Alepem a Wanem i przedsiębiorcy kolei Bagdadzkiej muszą się z tym panem liczyć. W r. 1901 zrabował on paręset wiosek około Urfy i Surudży. Zapewniwszy sobie współdziałanie wojsk sultańskich, korzystając z dobrego uzbrojenia, rzucił się na sąsiednich Arabów i zmasakrował ich, porywając i gwałcąc kobiety, niszcząc

poła uprawne. Dlaczegoż sułtan proteguje te hordy, skoro nawet niektórzy Niemcy, patentowani przecież obrońcy polityki Abdul-Hamida, dają jaknajgorsze świadectwo gospodarce Kurdów? Oto co pisał we *Frankfurter Zeitung* d-r H. Grothe w r. 1907: „Kurdowie, zwłaszcza *hamidyowie*, korzystają bez skrupułu z prawa mocniejszego, zarówno wobec chrześcijan, jak muzułmanów; nie tylko sprzeciwiają się wszelkiej kulturze, lecz z roku na rok ziemie uprawne zamieniają się w stepy wskutek ich łupiestwa; paraliżują oni wszelkie inicjatywy i przedsięwzięcia.“ Inny podróżnik, p. Piotr Quillard, zapowiada nawet przyjście chwili, kiedy Ibrahim i jemu podobni zwrócą swój oręż przeciw sułtanowi.

W Azji mniejszej zaczynają coraz częściej występować na widownię Druzowie. Ani Turcy, ani Arabowie, ani chrześcijanie, ani muzułmanie, Druzowie żyli według własnych praw i religii, pod jedyną władzą swych szejków. Załogi tureckie i namiestnicy cesarscy zmuszali ich do płacenia podatków; misjonarze ze Stambułu próbowali narzucić im islam zamiast ich kultu skomplikowanego, stanowiącego nieopisaną *pot-pourri* religij i wierzeń. Druzowie przyjmowali załogi, które ich broniły od Beduinów, płacili podatek i pozwolili kalifowi budować meczety. Skoro jednak sułtan zaczął mówić o służbie wojskowej, Druzowie w r. 1896 powstałi i znieśli wystąpienie przeciw nim bataliony; armia baszybuzuków pod wodzą Abdullaha-paszy uśmierzyła ich dopiero po zniszczeniu ich dobytku i pojmaniu ich szejków, którzy zostali wygnani. Z powodu wojny grecko-tureckiej amnestya powróciła tych ostatnich do kraju i dzisiaj jaki taki spokój zdaje się panować, zwłaszcza, że na Libanie umiano zaprowadzić znośną administracyę. W każdym razie, nie jest to żywioł, na który Turcy mogliby liczyć w razie szerszych zamieszek wewnętrznych.

Między Kurdów a Beduinów rząd turecki osadza od pewnego czasu kolonie czerkieskie. Jakieś pięćdziesiąt lat temu ci emigranci kaukascy zainstalowali się na ziemiach kalifa. Rozrzucano ich z początku w prowincyach naddunajskich: dokonywali tam „okrucieństw“ bułgarskich. Po wojnie rosyjsko-tureckiej przeniesiono ich do niektórych okręgów Azji mniejszej, a następnie skierowano ku Syrii: dano im ziemie zdewastowane z Alepu do Kaify, wzdłuż budującej się kolei. Zdaje się, że Czerkies nawyka powoli do pracy osiadłej; uczy się po arabsku i staje się *fellahem*. Wypiera Arabów przez większą zdolność do pracy ciągłej, do rolnictwa i do handlu. Staje się czynnikiem cywilizacyjnym. Także w Mezopotamii Porta instaluje podobno kolonie czerkieskie między Kurdami i Arabami.

W Mezopotamii, w Dżebel Sinżiar, żyje dziwny naród Jezydów, mówiący dyalektem kurdzkim, który pomieszał w swej religii słowa muzułmańskie i chrześcijańskie, obrządki pogańskie, wiarę w Boga jedynego, wspomnienia dwu zasad Dobrego i Złego, miłość Jezusa Chrystusa i szacunek dla szatana: ceremonie symboliczne przed lichtarzem z brązu, uwieńczonym ptakiem, dały powód do oskarżenia ich przez wszystkich sąsiadów o adorację *Króla-Koguta*, *Malek-Taus*, i muzułmanie kazali im pamiętać dobrze o tym braku szacunku dla Koranu. Ponieważ prorok nakazał tępić każdy naród, któryby nie posiadał Księgi, Arabowie, Kurdowie, Turcy od czterech wieków w okrutny sposób znęcali się nad Jezydami. Dżebel Sinżiar stał się ich schronieniem aż do r. 1850, lecz po rzeziach Omera-paszy 1892 r. zostało ich zaledwie jakieś osiem czy dziewięć tysięcy.

Tak więc nie było ani jednego narodu, który byłby oszczędzony przez tę politykę okrucieństw, i niema ani jednego szczepu, któryby miał przywiązanie do rządów i opieki trzydziestego czwartego władcy Ottomanów. Podniecanie wojny wszystkich przeciw wszystkim doprowadziło do tępienia ludów, do osłabienia ich energii, do podsycania fanatyzmów, do zniweczenia wszelkiej siły cywilizacyjnej. Tak się stało z ludźmi. Zobaczymy teraz, jak się przedstawia rzecz z naturą, z temi cudnymi ziemiami, które los oddał w ręce sułtana. Kolej w dwu liniach potężnych wtarga do wnętrza tego fantazją ludową zaczarowanego i historią dziwną a niewyczerpanie bogatą czarującego kraju; zobaczymy, po co one tam dążą i czego się spodziewają.

II.

We wrześniu r. 1900 Abdul-Hamid zapowiedział budowę wielkiej kolei z Damaszku do Mekki. W Egipcie, w Syrii, w Indjach pisma panislamiczne rozplynęły się w pochwałach nad tym wielkim zamiarem kalifa. W Bejrucie *Tamorat al Fonun* wyszczególniał dobrodziejstwa polityczne, finansowe i religijne, których należało się spodziewać: zaludnienie i kulturę stepów syryjskich poza Jordanem, uspokojenie plemion koczujących od Damaszku do Medyny, stłumienie łupiestwa beduińskiego, rozwój rolniczy i eksploatację kopalni w Arabii, wzmocnienie władzy kalifa, zneutralizowanie intryg i uzurpacyj angielskich nad morzem Czerwonym i zjednoczenie Islamu przez uprzystępnienie pielgrzymek

wszystkim i przez gorliwość religijną oraz poczucie własnej siły liczebnej, które wynieśliby z odwiedzania miejsc świętych pielgrzymi z zachodu i wschodu, z Sumatry i Marokka, z Indyj i Algieru, z Egiptu i Anatolii, nie mówiąc o murzynach sudańskich i ludach żółtych z Turkiestanu i Chin.

Jakkolwiek mogło być dużo przesady w tem ocenianiu kolei przez Hedżaz, znaczenie jej wszakże nie może ulegać wątpliwości. Miejsca święte przyciągają jeszcze wciąż, pomimo trudności, jakie czynią pielgrzymom—z pobudek higienicznych czy politycznych—państwa, posiadające ludność muzułmańską, Anglia, Francya, Rosya, Holandya, ilość pobożnych *hadżi* przechodzi tam corocznie cyfrę stu tysięcy. Ten fakt ma znaczenie nie tylko religijne i polityczne, ale i ekonomiczne. Mekka jest centrem świata arabskiego i jednym z węzłów żywotnych handlu na Lewancie; jest także zbiegiem dwu wielkich dróg, które od najdawniejszych czasów przecinały półwysep arabski: drogi z południa na północ między Jemenem a Syryą i drogi z zachodu na wschód między morzem Czerwonem a zatoką Perską.

Sława Arabii szczęśliwej sięga zamierzonych epok. Na długo przed Salomonem, który zawiązał czułe związki z królową Saby, na długo przed Mojżeszem, który przeszedł suchą nogą morze Czerwone, mówiono o tej ziemi cudownej, zwilżanej — jak mówi Strabon—przez deszcze letnie, gdzie można mieć dwa żniwa, gdzie żywice kosztowne, myrra, cynamon, balsamy są w obfitości niezmierniej. Równie to, jak żarliwość religijna, przyciągają do tego kraju pielgrzymów. Lecz zadanie dotarcia do Mekki drogą lądową jest nadzwyczaj trudne. Pielgrzymi dzisiejsi ściągają do Mekki pięcioma drogami: idąc od Kairu, *hadżi* egipski przechodzi Synaj, idzie wzdłuż brzegu arabskiego przez Akabę, El-Wedż i Jambu; od Bagdadu lub od Bazry *hadżi* perski lub z Iraku przechodzi Nedżed; od Sany lub Maribu kroczy po przez Azir; *hadżi* syryjski, idąc od Damaszku, przechodzi Hedżaz. Przez ten właśnie szlak ostatni jest budowana kolej sułtańska. Ponieważ prorok przepisał czynić pielgrzymkę pieszo lub na wielbłądzie, podróż do Mekki wymagała tam i z powrotem około dwustu dni. Droga jest pełna dolegliwości, chorób, niebezpiecznych spotkań z bandytami. Zaczyna się kraj naprawdę arabski, w którym władza sułtana jest na poły formalna. Trzeba być przygotowanym na złupienie karawan przez Beduinów, nawet na utratę życia.

Oddawna myślano o zbudowaniu na tym szlaku kolei żelaznej. Ale nawet najwięksi optymiści nie widzieli, w jaki sposób kolej taka mogłaby się opłacić. Transport pielgrzymów, trwający

kilku zaledwie tygodni w roku, nie pokrywałyby kosztów eksploatacji całorocznej. W oczach Abdul-Hamida ta trudność finansowa znikła wobec bardzo prostej kalkulacji. Organizacja i kierownictwo pielgrzymek kosztuje corocznie listę cywilną około trzech i pół miliona franków; same prezenty dla Beduinów sięgają miliona i pół franków. Kolej zmniejszyłaby o połowę te wydatki. Zresztą świat islamiczny nie powinien poskąpić na ten święty cel ofiar. Otwarto też w całym państwie tureckim i w całym Islamie subskrypcye. Sułtan zapisał się na siedem milionów franków; naśladowało go kilku władców muzułmańskich: szach perski—którego poddani dostarczają pielgrzymów najbardziej żarliwych, a woła oni jechać przez Damaszek, aby uniknąć przykrości ze strony Beduinów na krótszych drogach przez Nedzed—ofiarował 1,150,000 franków; chedyw egipski obiecał dostarczyć surowego materiału; szeryf z Mekki udzielił swego błogosławieństwa. Ludy, zwłaszcza z poza państwa tureckiego, okazały pewną szczodroblliwość. W Indyach zdawało się, że muzułmanie skorzystali ze sposobności, aby zrobić na przekór Anglikom: utworzyli 166 komitetów do zbierania ofiar i nadsyłają dużo pieniędzy. Lecz Abdul-Hamid oczekiwał jeszcze czegoś większego. Zapragnął rozgrzać gorliwość ludową i zaczął sprzedawać „dekoracye“ na rzecz swej kolei: trzeciej klasy (medal nikłowy) dla każdego subskrybującego 115 do 1150 franków; drugiej klasy (medal srebrny) dla hojniejszych i t. d. Później poszły ofiary przymusowe: od urzędników zaczęto ściągać procenty od pensyi. Słowem, zdobyto potrzebne na ten cel pieniądze.

Pragnąc połączyć najświętszy Islam z tem dziełem pobożnem, sułtan zdecydował, że tylko materiały muzułmańskie i praca muzułmańska mogą być przy budowie użyte. Drzewa z lasów Ajdinu, Macedonii i Cylicyi, kamienie z ruin syryjskich, żelazo i wagony z fabryk cesarskich, wszystko, prócz, i to narazie, lokomotyw. Trzeba było zresztą wkrótce zrezygnować z tego planu patriotycznego i dzisiaj nawet fabryki donieckie są dostawcami nowej kolei, a część robotników sprowadzono aż z Włoch. Budowę prowadzi inżynier niemiecki, p. Meisner, dyrektorem finansowym jest Francuz, p. Gaudin.

Pierwsza sekcya kolejowa, 123 kilometry, Damaszek-Deraa, otwarta została 1 września 1903 r., a w miesiąc później skończono jeszcze 100 kilometrów, z Deraa do Amman. Pierwszym skutkiem otwarcia kolei było zaludnienie tych okolic. Nietylko Arabowie powrócili tu, aby zamieszkać w ruinach starych grodów greko-lacińskich, ale znaleźli się nawet emigranci czerkiescy, któ-

rych, jak o tem wspominałem wyżej, osiedlono na gruntach wokół kolei. W ten sposób jakieś pół miliona hektarów zdobyto dla kultury zboża. W parę miesięcy później linia kolejowa dosięgła Daby, o 300 już kilometrów od Damaszku, a 1 września 1904 r. otwarto uczałek do Maanu, razem czwartą część całej linii Hedżazu.

Między Ammanem a Maanem rozciąga się w dalszym ciągu wysoka równina Damaszku: te same stępy zdewastowane przez Beduinów i przecięte gwałtownymi potokami; te same ruiny rzymskie, bizantyjskie i ta sama możność powrotu do życia osiadłego, gdy posterunki policyjne i kolonie rolnicze otoczą kolej. Kraina odwieczna w swej kulturze, znana i uprawiana przez Izraelitów i Moabitów, przez Greków i Rzymian. Później wojny krzyżowe chciały z niej uczynić forpoczcie królestwa jerozolimskiego; między niezliczonymi stadami koczowników i kilku wioskami chrześcijańskimi widać jeszcze fortece, które Renaud de Châtillon bronił przeciw Saladynowi. Pozostało jeszcze miasto Kerak ze swą ludnością arabsko-katolicką.

Zaledwie czternaście lat temu kraj był niepodległy: naczelnicy miejscowi mogli z całą swobodą grabić podróżników i wojsować z sobą; *razzia* i walki domowe były na porządku dziennym; w r. 1894 pewien szejik z pustyni pisał do Piotra Lotiego: „W imię Allaha, który jest wszystkim, a nie w imię sułtana ze Stambułu, który jest niczem.“ Obecność linii kolejowej i garści żołnierzy tureckich przekształca szybko ten kraj pustynny. Kolonie Czerkiesów i Syryjczyków instalują się wokół odwiecznych ruin sławnych miast starożytności. Góra Nebo, skąd Mojżesz wpatrywał się w Ziemię Obiecaną, pokryła się winnicami. Wielki teatr grecko-rzymski w Ammanie, po siedmiu czy ośmiu wiekach, widzi nowych spektatorów—europejskich amatorów starożytności. Wspaniałe pozostałości Petry odżywają w dziełach nowoczesnych badaczy. Sprawozdania prof. Musil'a, nadsyłane do wiedeńskiej Akademii nauk, opiewają piękność, bogactwa rolne i mineralne, zdrowotność tego kraju transjordańskiego. Pewien podróżnik francuski chwali ze swej strony wspaniałe drzewa oliwne, figi, granaty, stada baranów, wielbłądów, krów i kóz. Zaledwie 150,000 mieszkańców (z nich 125,000 Beduinów) zaludnia ten kraj, który mógłby dać pod pług ze dwa miliony hektarów. Kiedyś, gdy przyjdzie czas na uregulowanie kwestyi macedońskiej, może emigranci muzulmańscy z Macedonii przeniosą się tutaj? Znaleźliby najkorzystniejsze warunki do życia pomyślnego...

Poza Maanem linia zwraca się ku południo-wschodowi i zmierza do Tebuku. Droga była do budowy łatwa. W końcu r. 1906 linia posunęła się o 114 kilometrów do Mudewere, w kilka miesięcy później o 331 kil. do Tebuku, a 1 września 1907 r. otwarto oddział Tebuk-Medain Sali. Tak więc od Damaszku do Medain Sali dziewięćset do tysiąca kilometrów jest już zbudowanych; brakuje zaledwie sześćdziesiąt mil francuskich do Medyny, dokąd kolej dojdzie podobno w r. 1910, i następnie jeszcze sto mil francuskich, aby osiągnąć Mekki, co ma nastąpić w r. 1913.

Tutaj inżynierowie z góry już zapowiadają wielkie przy budowie trudności, jakie się przedstawią z powodu pustyń i zaczepiek ze strony Beduinów. Niema tam ani miejsc zamieszkałych, ani wody; trzeba będzie ochraniać linię przed rozbójnikami; dostarczenie pożywienia i napoju będzie sprawą bardzo trudną.

Kolej jest budowana szybko, to trzeba przyznać. I nie kosztuje ona wiele. Pod tym względem rząd sułtański zrobił prawdziwą niespodziankę wszystkim tym, którzy, znając Turcyę, mieli prawo do pesymizmu. Ale kolej ma być budowana źle, zwłaszcza Niemcy dostarczać mają materyałów wprost tandetnych. Mówią, że w czasie niedawnego konfliktu anglo-tureckiego o granice Egiptu, gdy sułtan nakazał pośpieszną mobilizację wojsk z Damaszku i niemieckiej artylerii ku Maanowi, pociągi quasi-„pośpieszne“ sprawiły tak wielkie szkody, że trzeba było przerwać komunikację, poprawiać lub zmieniać szyny i podkłady. Wspominają także o tem, że poważne wypadki kolejowe kosztowały życie wielu ludzi i oddały w ręce Beduinów wiele wagonów amunicji. Będzie też to zawsze wielką, może nieprzewyciężoną dla Turków trudnością utrzymać te dwa czy dwa i pół tysiąca kilometrów szyn w porządku, zaopatrzyć je w materyał, wydobyć z nich tyle dochodu, aby mózdz pokryć koszta. Konsul angielski z Damaszku pisał przed dwoma laty, że na 38 lokomotyw 17 było uszkodzonych a 7 zupełnie niezdatnych do użytku i że tak samo rzecz się miała ze 125 wagonami (na 375). Trochę zdegustowani do tej tandety niemieckiej, Turcy niedawno zamówili 260 tonn materyału kolejowego w Anglii.

Co się tyczy dochodów tej kolei, Abdul-Hamid zapewne ulega pewnym złudzeniom: przewiduje tysiące pielgrzymów, najmniej 200,000 co roku. Prawda, że rząd rosyjski nie stawia już pielgrzymkom muzulmańskim z Rosyi dawnych trudności, wskutek czego ilość ich powiększyła się w ostatnich czasach; ale czy to ma znaczyć, że wszyscy pielgrzymi będą korzystali z kolei żelaznej? *Le Temps* pisał w sierpniu r. 1906: „Osman-pasza, guber-

nator Medyny i szeik-ul-harem, telegrafuje do Izzeta-paszy, szambelana sułtańskiego, że zbliżenie się linii kolei hedżaskiej ku Medynie wywołuje radość wśród mieszkańców tego miasta. Kupcy, zarówno jak podróżnicy, korzystają już z tej kolei, która im zapewni pewną oszczędność w kosztach podróży. Ostatnio władze z Medyny zaczęły zalecać pielgrzymom korzystanie z kolei. Z drugiej strony, gdy kolej z Damaszku będzie przedłużona do Alepu, pielgrzymi, idący z tej prowincyi, zarówno jak z Kurdystanu, Diarbekiru, Mossulu, Bagdadu i Syrii, którzy dotąd udawali się do miejsc świętych za pomocą karawan, będą mogli od Alepu jechać koleją, Osman-pasza wykazuje zatem konieczność zalecania pielgrzymom używania kolei.“ Tak więc rząd ottomański bardzo się stara, aby znaleźć dla kolei klientelę. Lecz czy mu się to uda? Wprawdzie *hadżi* karawaną jest przedsięwzięciem trudnem i niebezpiecznem i najgorszy wagon jest stokroć od takiej podróży lepszy. Natomiast większość pielgrzymów należy do ludzi bardzo biednych, którzy wprost żebrzą na drogach syryjskich. Od iluż z nich można będzie zażądać ceny za przejazd dwu tysięcy kilometrów? Zaś ta klientela, liczna tylko w ciągu paru tygodni, będzie potrzebowała do obsługi olbrzymiego inwentarza kolejowego, który przez resztę roku nie będzie użytkowany. Inne źródło dochodów kolei — zboża z Horanu i Dżolanu — będzie dopisywało także tylko w porze żniw; całe miesiące wagony będą krążyły puste, przez kraj wyludniony. Żadna kolej na świecie nie mogłaby się utrzymać przy takim stanie rzeczy, chyba przy gospodarce niezwykle roztropnej i krańcowo oszczędnej, a do tej Turcy nie są zdolni.

Tak więc przychodzimy do ważnego politycznie zagadnienia: „w czyje ręce wpadnie eksploatacja tej kolei?“ Już są inżynierowie niemieccy zatrudnieni przy jej budowie, już jest dyrektor Francuz, już fabryki tureckie okazały się niezdolne do zaopatrzenia kolei w inwentarz należyty. Trzeba więc chyba będzie w przyszłości odwołać się do doświadczenia europejskiego, jak to w swoim czasie uczyniono z liniami od Brussy i od Ismidu.

W czyjeż więc ręce wpadnie „święta“ kolej? „Nie niema bardziej wątpliwego—pisze p. Bérard—niż to, że Anglicy pozwolą na zainstalowanie się tutaj Niemców; Wilhelm II miałby, dzięki Beduinom, za wiele pięknych sposobności do budowania wzdłuż kolei koszar i osadzania policji niemieckiej, jak to doradzają podróżnicy niemieccy co do kolei bagdadzkiej; w ten właśnie sposób Rosyanie usadowili się w Mandżuryi.“ Autor francuski do-

daje, że zrozumiałym u niego optymizmem, że najmniej może nieprzyjemnym dla Niemców i najmniej może niebezpiecznym dla Anglików byłby... przedsiębiorca francuski. W każdym razie nikt do ostatnich czasów nie wątpił, że kolej, mająca służyć interesom kalifa, stanie się nowem narzędziem wpływów europejskich.

Rzecz interesująca i może nie bez wagi: Abdul-Hamid obiecał, że skoro kolej będzie skończona, sam osobiście odbędzie pielgrzymkę. Dawni kalifowie z Medyny pod tym względem dawali istotnie budujące przykłady dla swych poddanych. Natomiast żaden monarcha ottomański nie przedsięwziął dotychczas tej podróży: racye polityczne nie pozwalają sułtanowi oddalać się na długo ze stolicy. Jakaż więc mogła być pobudka decyzji Abdul-Hamida? „Wielki panujący — pisał von der Goltz w *Deutsche Rundschau* — któryby pragnął poważnie zbawienia państwa i jego przekształcenia, musiałby przenieść stolicę na wspólną granicę swych posiadłości tureckich z arabskimi, do Koni lub Cezarei, być może nawet więcej jeszcze na południe.“ Cytując tę opinię, p. Bérard zapytuje: czyżby Abdul-Hamid przewidział, dla siebie lub dla swej rasy, konieczność cofnięcia się do Azji mniejszej, do Syrii i dalej jeszcze? Jeśli już przewiduje niechybną porażkę w Macedonii i pragnie ratować swój nimb w obliczu swego narodu i w obliczu Islamu, być może, że już szuka w Arabii i w Egipcie ekwiwalentów tych swoich przyszłych strat na Bałkanach?

Na to pytanie, rzecz prosta, nikt w tej chwili nie jest w stanie dać zadawalającej odpowiedzi. Jak niewiadomym jest stopień przezorności sułtana, czy jego rządu, tak samo, z drugiej strony, ciemną jest i niezbadaną przyszłość tej Arabii, którą zbudzić zbiera się nowa kolej, chcąc lub nie chcąc, i rola jej w dziejach ekonomicznych i politycznych Azji przedniej. To jedno tylko przeczuć raczej, niż wyrozumować możemy, że temu wielkiemu światu muzulmańskiemu przybywa, dzięki olbrzymiemu przedsięwzięciu à l'euro péenne, nowy czynnik życia, mogący mieć potężne znaczenie zarówno dla Turcyi, jak dla tych, którzy na jej zdrowiu lub chorobie spekulują. Są tacy, którzy przypuszczają, że Arabia będzie dla Turcyi tem, czem dla Rosyi stała się Mandżurya. Jak Rosya znalazła na końcu kolei mandżurskiej Japonię, tak Turcyja może znaleźć u kresu kolei arabskiej — Anglię. Ale z drugiej strony cytowałem już poprzednio, jak młodoturcy zapatrują się na rolę panislamizmu, jak nie wyrzekają się „charakteru intelektualnego“ idei islamicznej, jak przewidują punkty styczne między „wszystkimi krajami muzulmańskimi.“ W Arabii więc może znaleźć

Turcyja nowe źródło siły, albo... Mandżuryę. Kto zdoła obliczyć dzisiaj szanse pierwszego i niebezpieczeństwa drugiej?

*

*

*

W marcu r. 1903 Porta ostatecznie udzieliła niemieckiemu „Towarzystwu kolei żelaznych w Anatolii“ koncesyi na przedłużenie linii anatolijskich aż do zatoki Perskiej: od Bosforu do ujść Szatt-el-Arabu, przez całą Azyę ottomańską, otrzymali Niemcy prawo na budowę wielkiej kolei zwanej bagdadzką.

Fakt ten, jakkolwiek przygotowany poprzedniemi, znanymi powszechnie, umowami i pertraktacyami, wywarł wielkie wrażenie na całym świecie politycznym.

Do tego czasu sprawami kolejowemi w Turcyi interesowali się głównie, prawie wyłącznie, Anglicy i Francuzi. Budowali oni jedynie krótkie linie penetracyjne, mające ułatwić handel morski: z Jaffy do Jerozolimy, z Kaiffy i Bejrutu do Damaszku, od Aleksandretty do Alepu, od Trebizondy do Erzerumu, wogóle wielkie i małe porty zostały połączone ze stolicami prowincyj. W rzeczywistości, zdawało się to wystarczać. Azya ottomańska wydaje się, jakby miała tylko peryferye zaludnione i do kultury zdadne: w Syrii piaski Nefudu, skały Badiet-esz-Szamu i stepy Eufratu średniego zajmują miliony hektarów poza wązkim pasem Palestyny i Libanu; Azya mniejsza ma także wewnątrz słono-stepowe. Te wnętrza oddane są na łaskę nomadów; nie wydawały się ponętnymi do przedsięwzięć kolejowych, do eksploatacyi handlowej.

Dotychczas system kolejowy miał na uwadze jedynie korzyści ekonomiczne. Ze stanowiska rządu tureckiego posiadał on wszakże niedogodności polityczne: mógł wspierać partykularyzmy pojedyncze. Koleje niezależne jedna od drugiej, zdecentralizowane, kazały się obawiać, że Syrya, Arabia, Armenia, wybrzeże śródziemnomorskie staną się zaokrąglonemi niejako całościami gospodarczemi, mającemi własną sferę interesów i poddanemi wpływom pojedynczego mocarstwa europejskiego. Przykład Egiptu, a później i Rumelii kazał się tego obawiać. Stąd zrozumiałem jest,

dlaczego sułtan dał się namówić na udzielenie koncesyi bagdadzkiej, odpowiadającej idei centralizacyi.

Olbrzymia ta linia, która już jest w budowie, przejdzie z płaskowzgórza anatolijskiego na dolinę cylicyjską, od Koni do Adony, później okrąży zatokę Aleksandretty i osiągnie średniego Eufratu przy Hierapolis; przechodząc tę rzekę, przebiegnie prosto do Tygrysu, przez górną Mezopotamię, którą przerznie w największej jej szerokości; dotrze do Tygrysu w Mossulu, pobiegnie wzdłuż jego brzegu prawego do Bagdadu, później przerznie dolną Mezopotamię w jej najnniejszej szerokości, aby powrócić do Eufratu, który przekroczy znowu około Kerbeli; po brzegu prawym dojdzie do Bazry (Bassory). Ten szlak opisuje potężną spiralę przez Mezopotamię i Chaldeję, wymagającą około 2000 kilometrów szyn i obejmującą około dwudziestu pięciu do trzydziestu milionów hektarów zdolnych do kultury i łatwych do eksploatacyi. Jednem słowem, zawarta jest tu cała dolina rzek. Zaś następne połączenia, na które już Niemcy mają częściowo obietnice, a nawet koncesye, pozwolą rozszerzyć to terytorjum bardzo znacznie. Niema więc nic dziwnego, że sprawa wywołała olbrzymie wrażenie i wprowadziła w ruch wszystkie dyplomacye europejskie.

Nie możemy iść śladem tej kolei, obiecującej przewrót w świecie przednio-azyatyckim i ogromne korzyści dla handlu europejskiego, ale zaznaczymy główne jej etapy.

Kolej przerzyna naprzód Cylicję. Przyrównywu ją ten kraj do Egiptu dolnego. Urodzajność jego ma być nieskończona. Konsulowie zapewniają, że melioracye, dobrze zastosowane, zapewniłyby olbrzymie korzyści; kultury bawełny, buraków i t. p. dawałyby rezultaty świetne. To samo da się powiedzieć o małej Armenii. Następnie wkraczamy do kraju rzek. Cały kraj z Alepu do Bazry jest jednym ciągiem pustyń. Pustynie te obejmują trzydzieści milionów hektarów, niezdatnych do kultury; ich oazy dostarczają zaledwie nędznego pożywienia stadom koczowników; paręset tysięcy Beduinów z trudem się tu wyżywia. Lecz na tem olbrzymiem terytorjum pozostaje jeszcze czterdzieści milionów hektarów, na których ziemia, wody, niebo roztaczają wszystkie dobrodziejstwa, — przestrzeń większa od Anglii i niewiele mniejsza od Francyi! Gdy tu zajdzie kultura, ludzkość zdobędzie nową Andaluzję i Sycylię, nowy Bengal i dolny Egipt. Trzeba pamiętać, jaką rolę grał ten kraj w dziejach ludzkości. Jego drogi widziały Aleksandra Macedońskiego, Antyocho, Krassusa, Antoniusza, Trajana, Aureliusza, Juliana, Solimana; byli tu i bohate-

rowie Chaldei i mędracy egipscy; jakaś mieszanina Irańczyków, Semitów i Scytów, zjednoczona pod teokracją semicką, o języku semickim, utworzyła potęgę asyryjską i rozszerzyła sławę Niniwy na cztery strony świata; później następują Cyrusowie, Kambyzowski, Daryuszowie; przychodzi czas na żółtych, Turków, Tatarów, Seldżuków, Mongołów, Turkomanów; i wojacy krzyżowi poznają te strony.

Gospodarka turecka sprowadziła ten kraj, tak niegdyś sławny, tak niegdyś przyciągający wszystkie ambicje, wszystkie chciwości, wszystkie rojenia, do zupełnej ruiny. Mówiłem już o tem wyżej, co czyniono z Armeńczykami, Jezydami, Kurdami, Beduinami, i jak nic nie robiono, aby żyzne, bogate kraje utrzymać choć na stopie kultury średniowiecza.

Badacze europejscy zapewniają, że dolina rzek w przyszłości może być główną dostarczycielką bawełny dla Europy. Od Erbilu znów do zatoki Perskiej nafta wytryska w dwudziestu miejscowościach. Za Mezopotamią rozciąga się Irak-Arabi. Dawna ta Chaldea, mądra i pokojowa, a dziś zdewastowana i ciągle buntująca się, gotowa jest po dawnemu do najwyższej kultury. Geografia urzędowa oblicza na 270,000 kilometrów kwadratowych przestrzeń dwu wilajetów: Bagdadu i Bazry. Conajmniej 130 do 140 tysięcy z tego należy do najlepszych ziem na świecie. Pewien Anglik, sir William Willcocks, obliczył, że bez wielkiego trudu, tylko przez oczyszczenie i utrzymanie starych kanałów, możnaby tu zdobyć pod kulturę 5,600,000 hektarów. Egipt na takiej przestrzeni wyżywia 20 do 25 milionów ludzi. Dodajmy do tego drugie 6 milionów hektarów, na które już potrzeba byłoby większych robót irygacyjnych i t. p., a otrzymamy kraj, który mógłby wyżywić conajmniej 20 milionów ludzi. Jest ich obecnie najwyżej półtora miliona.

Te wszystkie korzyści ekonomiczne, mogące być wyciągnięte z krajów, które są nietylko same przez się niewyczerpane bogate, ale i stanowią „drogę do Indyj,“ drogę do dostarczycieli mnóstwa produktów przez Europę spożywanych, mieli na względzie Niemcy, kiedy starali się i uzyskiwali koncesję bagdadzką. Sułtan natomiast widział przedewszystkiem korzyści religijne i polityczne, możność opanowania buntowniczych plemion, zjednoczenia ludów muzułmańskich, parowania propagandy szyickiej z Persyi, zcentralizowania państwa, rządzonego dotąd systemem autonomicznych „paszalików.“ W ten sposób stary projekt połączenia Konstantynopola z zatoką Perską przychodzi do skutku.

Niemcy bardzo żywo zajęli się koleją. Wilhelm II zastanawia się już z egzegetami niemieckimi nad *Babel und Bibel*. Ekonomisci niemieccy spodziewają się *super flumina Babylonis* utworzyć *ein Deutschtum*. Czy to przyjdzie do skutku? Rzecz wątpliwa. W Armenii Niemcy napotkają współzawodnictwo rosyjskie, jak już je napotkali. Od Bagdadu do ujść Szatt-el-Arabu Anglicy uważają kraj ten za swą sferę wpływów. Ale jest jeszcze czynnik silniejszy. Aby Mezopotamię i Irak zdobyć ponownie dla kultury choćby niemieckiej, trzeba tam zaprowadzić gospodarstwo prawa, porządną lub bodaj znośną administracyę, ujarzmić Arabów, zdusić powstania i swawole Kurdów; kiedy zaś to się stanie, ludy miejscowe same rozwiną energię cywilizacyjną i zaczną reklamować dla siebie to, czego spodziewają się Niemcy. Problem tutaj nie jest tak prosty, jak w jakiejś Brazylii, lub jakimś Zanzibarze. Ludy semickie, Armeńczycy, Czerkiesi i inni, mimo swe zacofanie, wzdychają do chwili, aby zająć swe stanowisko w pochodzie cywilizacyjnym.

Zresztą Niemcy nie mają pieniędzy na dalszą budowę i u siebie ich nie zdobędą. Kapitałisci zagraniczni (francuscy, angielscy) mogą ich dostarczyć, ale ich rządy domagają się odpowiedniego udziału w dyrekcyi kolejowej. Może się więc stać, że kolej przejdzie w ręce międzynarodowe.

Tak czy owak, znowu potężny obszar państwa ottomańskiego przez tę kolej wciągnięty będzie w sferę wpływów cywilizacyjnych. Dla panowania tureckiego jest narazie wszystko jedno, kto w Europie będzie więcej i kto mniej zarabiał na nowej kolei, bo tu chodzi przede wszystkim o jego własne losy. Losy te są połączone nietylko z tem, jak Europa będzie pojmowała swe „opiekowanie“ się Turcyą, ku czemu pozyskuje właśnie przez przedsięwzięcie niemieckie nowe narzędzie, ale także i z tem, jak własni poddani tureccy przyjmą przewrót ekonomiczny, jaki wezmą w nim udział i jak się skutek tego rozwiną ich własne zasoby cywilizacyjne i aspiracye narodowe i polityczne. Są tu niemal *imponderabilia*, z któremi unyś Abd-ul-Hamida, choćby wsparty żarliwością patryotyczną młodoturecką, wątpliwa czy będzie mógł dać sobie radę.

Jesteśmy obecnie świadkami poruszania się świata muzulmańskiego. Ostatnie wypadki w Persyi, ruch arabski w Syrii i w Jemenie, propaganda nacjonalistyczna w Egipcie, może nawet zwycięstwa Mulej-Hafida w Marokku świadczą o tem wymownie. Żywiol turecki także okazał świeżo nowe zasoby energii i żywotności. Czy okaże się zdolnym do opanowania wszystkich tych

przebudzeń na swą korzyść? Trzeba pamiętać, że do skomplikowania zagadnienia przybywają nowe czynniki: zmiana polityki angielskiej na Wschodzie; powstanie ambicyj niemieckich; zejście prawdopodobnie Rosyi z roli biernej; uorganizowanie się nowych sił czynnych, zwłaszcza Bulgaryi. Wszystko to daje „kwestyi wschodniej“ nowe oblicze i czyni ją najbardziej skomplikowaną ze współczesnych zagadnień politycznych.

BOLESŁAW KOSKOWSKI.

Pan Balcer w Brazylii.

X.

Ziemię ty nasza! Cóż nam się ostało,
Jeno ty sama i twe miłowanie!
Choćbym cię ojcem nazwał,—jeszcze mało...
I choćby matką, jeszcze mi nie stanie.
Boś ty jest wszystko! I dusza, i ciało,
I ród, i życie,—wszystko w twojem mianie.
Że kto przerzecz cię, jakoby siebie
Zbogacił skarbem na ziemi i w niebie,

Gdyś jest, a co mi? Powietrze mnie samo
Nosi, by ptaka nad gniazdem usłanem.
Jak król słoneczną odziewam się lamą,
W polu, na łące, w kuźni—jestem panem!
Lecz gdy cię braknie, kiedy czarną bramą
Wyszedłem z ciebie, staję się łachmanem
Poniewieranym wśród ludzkiego roja,
Że pyta leda kiep:—Gdzie ziemia twoja?

I w bok cię zeprze, i gęby napuszy,
Iż sam się czuje, jak w domu u matki.
A ty się wtedy dzierz twardo swej duszy,
I serca w sobie podpalaj ostatki.
A choć ci oko łąza żrąca zapruszy,
Nie dbaj, łąba podnieś, bo też cię do szmatki
Nikto nie zwiąże! Zdzierz górnie psubrata,
Rzekąc:—A gdzieżby? W samym środku świata!

Chcesz, mierzaj! Nie chcesz? Wolna przed się droga!
 Gdzieżeś ją mniemał być? Kędyś na stronie?
 Na szarym końcu? Za piecem? U proga?
 My z pod ogona nie wypadli wronie!
 My, Polska, zawsze stałim bliżej Boga,
 W borowych szumach, w pól żytnich pokłonie,
 A wy,—za nami dopiż—ziemie obce,
 Jako do dzisiaj jest widać to w szopce,

Na trzykrólowy czas! Przy żłobku Pana
 Nie ujrzyś Niemca tam, ani Francuza,
 Jeno Macieja, Kubę, Stacha, Jana,
 Abo Balcera w czerwieni, jak tuza!
 Któż ochfiarował Dzieciątku barana?
 Kto na ligawce grał mu, jak nie luza
 Nasza pastusza, co w pieśni i wszędzie
 Pierwsza je, o czem więc stoi w kolędzie.

Może tam i wy macie przywileje
 Swoje, i swoje obrachunki z niebem.
 Alić to powiem, że do nas się śmieje
 Chrystus, gdy idzie polem, abo źlebem
 Górskim, abo więc przez borowe knieje,
 Bo mu tam wszystko pachnie kwieciem, chlebem,
 Miodem, żywicą, i wszystko mu miłe:
 Lud, sady, łąki, i chaty pochyłe.

Prawda jest, sypnął złota na te kraje,
 I morze rozlał od nieba do ziemi.
 Alić uśmiechu jego tu nie staje,
 Nie chodzi on tu nocami cichemi...
 Jako pan sługom—płaci wam. Nam—daje,
 Jak ociec dzieciom, rękoma własnemi.
 Pomniej-ci, prawda, ale że z miłości,
 Nie z łaski, to wam Polak nie zazdrości.

Wy kraje swoje macie, jak kopalnie.
 Dopóki jasna świeci wam z nich ruda,
 Póty się sami dmiecie tryumfalnie,
 Jak nie,—obcego napędzacie luda...

My do ziem naszych bierzemy się mszalnie,
 Krzyżem znaczone jest wiosenna gruda,
 A zaś wychodzi z pod tej chłopskiej ręki,
 Przypodniesiona, jak kielich ów męki.

Wtedy się staje cichość nad polami,
 Co są obsiane i ziarnem, i duchem...
 Oboje żreją. Oboje runiami
 Nadziei wschodzą, za ciepłym podmuchem.
 Ziemia nasza czuje! Ziemia nasza jest z nami,
 Czyli we kwieciech, czyli pod obuchem.
 A kiedyś, człeku, we łzach się położył
 Na własny zagon, już duch w tobie ożył.

A my by pewno tutaj,—Podlasiaki,—
 Nie szli korabiem, przez to wielkie morze,
 Pewno nie padliby tu, jak te ptaki,
 Odlatujące w zachodnich łun zorze,
 Pewno chleb suchy jadłby jaki taki,
 Na szczerym piachu, na dzikim ugorze,
 By nad swą ziemią ubogą i pełną,
 Mogli zachować w ciele duszę wolną!

W nas tej chytrności, co wyteża ślepie
 Za zyskiem,—niemasz! W nas jest rzewność cicha,
 Co nawet w grubym i twardym czerepie
 Żywie, jak płomień, i w niebo oddycha.
 Anielskie pióra są u nas w polepie
 Chaty, co choćby nie wiedzieć jak licha,
 Coś ma górnego w sobie, coś z zaświata,
 Coś, co w niej śpiewa, jarzy się, ulata!

.....

Rok mijał, jak my grzebli Horodzieja,
 Pod onych dzwonów jasnogórskich biciem,
 Co je skroś morza poniosła zawieja
 Duchów, gdy stary rozchodził się z życiem.
 Cóż nas trzymało, jeśli nie nadzieja?
 Co ratowało naród przed rozbiciem,
 Jeśli nie one anielskie pogłosy,
 Które szły ku nam przez wszystkie niebiosy?

Oneć to stały litośnie nad nami,
 Jako ojcowa strzecha nad sierotą,
 A my się kryli pod nią z temi łzami,
 Z tą gorzejącą dusz naszych spiekotą.
 One swój hejnał wzbijały rankami,
 Niby kopułę grającą i złotą,
 Nad serca nasze bezdomne i głowy,
 A my im odzew dawali śpiżowy.

Więc tak, moc na moc, dwie siły szły: Ducha
 I tych żyłastych ramion, stwardłych w trudzie,
 A co się górna porwie zawierucha,
 To młotem żywych serc oddźwiękną ludzie.
 Tak w nas utrwalało życie i otucha,
 I tak my w onym krzepili się cudzie,
 Nie ustępując, choć los na kowadle
 Srogo nas dzierżał, i walił zajadle.

Tęgi był Bandys, tęgi był Sekura,
 Tęgi Zatrata Rocho, Jan Żurawa,
 Na Bani takóŜ niezdartą się skóra
 Pokazywała, gdzie jaka przeprawa.
 Nawet i w babach, choć miętka niektóra
 I rada łzom się o byle co dawa,
 Taka moc była i górność w honorze,
 Jak u szlachcianek jakich w wiejskim dworze.

Więc to na dziwo było ludom onym
 Postronnym, które bacząc naszej nędzy,
 Tym naszym grzbietom u taczek schylonym,
 Mniemały, iż to czynim dla pieniędzy.
 A my tym ogniem paleni czerwonym,
 Tchem własnym gnali czas: A prędzej! prędzej!
 A pieniądź dla nas co? Jeno to wiosło,
 Coby nas do dom przez morze poniosło.

Cóż wie Portugal o tem, czy Hiszpany?
 Byle na głowie miał myckę z kutasem,
 Na mycce wielki kapeluch słomiany,
 Na hajdawerach pas, a nóż za pasem,

Byle przez zęby pluć i ćmił kabany,
 A pobrzdękiwał na gitarze czasem,
 Już zdrów, już wesół, i ani się pyta:
 Gdzie mu zachodzi słońce, i skąd świta.

Jako więc oracz, kiedy na uwrocie
 Zagrzezi pługą, a pojrzy po niwie,
 I oną czarną ziem już widzi w złocie
 Pszenicznych kłosów, szumiących chrzęstliwie,
 Tak my, w trojakiem prażący się pocie,
 Już oglądali, jak Polska tam żywie,
 Jako nas woła, jak pilno nas czeka,
 I jak nam do niej trza,—z tego daleka.

Każdyśmy chcieli, przez jakie bądź prawo,
 Dożyć godziny, która nas uzwoli.
 Tęskność nam była snem i była strawą,
 Na suchym chlebie szczyptą była soli.
 W pracę my poszli ciężką, w pracę krwawą,
 Nie rachujący doli, ni niedoli,
 A teraz mijał rok onej wysługi,
 I ptactwo jęło już porzucać jugi.

Więc niespokojność jęła nas pożerać.
 Oczy, jak błędne, lecące daleko,
 Jakowychś znaków poczęły wyzierać
 Za siódmą górą i za siódmą rzeką...
 Ni nam tu dłużej żyć, ni tu umierać.
 Patrzyli w morze stwardniałą powieką,
 A ono, wałąc w przepastne czeluści,
 Hukiem wróżyło: puści, czy nie puści?

Lecz mnie, com tutaj przywiódł tę gromadę
 I liczbę głów tych trzymałem przed Bogiem,
 Gdym widział lica te, wychudłe, śniade,
 Dźgało po sercu, jakgdyby ożogiem...
 Tak my zrobili pospólną naradę,
 By grosz, leżący na składzie załogiem,
 Brać. Tylko Bania, co miał u sąsiada
 Dług w Wólce, krzyczał:—Nie nada! Nie nada!

— Z czemuże to wrócim? Jak? Po żebrach dziady?
 W komorne? Będziem parobkować komu?
 Ja też nie gorszy swojak od gromady,
 A o proszonym chlebie nie chcę domu!
 Zaczem się srogi gwałt zrobił z tej zwady,
 Właśnie, jak kiedy dwa wozy u promu
 Dyszel na dyszel przeciw siebie wpadną,
 Że nie rozcepi ich nikt, mocą żadną.

Nie przebijałem onego poswarku.
 Człowiek, wiadomo, wykrzyczyć się musi,
 Czyli to w polu, czyli na jarmarku.
 Jak nie,—chrzypota po nocach go dusi.
 Dopiz jak huknie, aż mu trzasło w karku,
 Zdrów! Więc nie lubię onych cichych trusi!
 Świat-ci nie klasztor, gdzie „Na milczka“ dzwonią,
 A w Polsce miejsca głośom dość—nad błonią.

Aż kiedy wrzawa urosła na piękne,
 Jak ciasto w dzieży, gdy dojdzie po wręby,
 Jakże nie chwycę stołka, jak nie sieknę
 W dzwierz!... Stanęli, otworzyli gęby,
 Patrzą—a co to? Tak im tedy rzeknę:
 — I dość! I hola! Chcesz mieć całe zęby!
 Każdy na swój siąg! Nie musim nikogo!
 Kto nie chce z nami, niech idzie swą drogą!

Tak wszystko się wnet shamowało w sobie,
 Jak kiedy z góry jadąc ściągniesz szkapy.
 Prą się zadami, a tu bat ich skrobie,
 A kantar trzyma wstecz, aż dymią chrapy.
 Widząc ja tedy radę w tym sposobie,
 Rzekę: — Toć niema nad nami satrapy,
 Ani nahaja! Nikto nas nie zmusza!
 Chcesz—idź, a nie chcesz—siedź, do paralusza!

Tu wytchnę. Stoją, jak przybici owiąkiem,
 Tak ja znów, bacząc, gdzie się wiatr obraca:
 — Głupi ten rozum, który przed człowiekiem
 Nie idzie poprzód i drogi nie maca,

A przewidzeniem nad chwilę dalekiem,
Nie liczy zysku, albo co utracą.
Więc musi tu być rzetelna rachuba,
Bo tu nie z wieprzkiem na targ! Tu rzecz gruba!

Tu morze! Tutaj nie siędziesz przy drodze,
Buta nie ściągniesz, kiedy cię uciska,
I nie okręcisz onucza na nodze!
Tu ci śmiertelna przepaść grzani i błyska,
Tu wicher wątpia wykręca ci srodze,
Tuś się zawierzył śmierci, co jest bliska
O deskę, i mniej! Tu ci nikt nie stanie
Korabiem! Chyba na boskie wołanie.

To nie w kij dmuchał! To są one Rzeczy,
Co w katejuszku zwa się — Ostateczne:
Śmierć, piekło, niebo, sąd. Nie sąd człowieka,
Sąd boży, co ma trybunały wieczne!
Jedną cię drugiej odbija i przeczy,
A ty, nim światło obaczysz słoneczne,
Jako ścierw, możesz wyrzucon być snadno,
Po onej czarnej desce, w morze, na dno.

Więc ty się rachuj, a licz swoją siłę,
Nimeś zamysłił, byś gęby nie sparzył...
Czyli masz w świecie coś, nad wszystko miłe,
Coś takie drogie, byś żywota ważył?
Byś szedł ku niemu rad, choć przez mogiłę,
I w śmierci samej sercem mu się jarzył,
By gwiazda, która z nieba w morze leci,
Niedba, że w przepaść i lecący świeci.

— Jeśli masz, jeśli w tobie dusza żywa,
Nie szmat, tym cudzym kątom na wyciory,
Jeślić się chata po nocach obśniwa,
Jeśli ci pachną wiosenne podory,
— Macaj kaletę, czy starczy grosiwa,
A śpiesz, póki my ludzie, nie upiory...
Póki nas jeszcze ona ziemia święta
Za synów liczy! Za żywych pamięta!—

Stoją, wzdychają. Kos pociąga nosa,
 Żuk oczy w garście wziął, łbem siwym trzęsie,
 Bandys obrócił koło bioder trzosa,
 (Skarbnik—chce z miejsca iść). Ja sam na rzęsie
 Łzę czuję, jakoby więc padła rosa,
 Baby szlochają w fartuch. Aż po kęsie
 Czasu, nuż wszyscy ścisnąć się, całować,
 A płakać, jakby mieli kogo chować.

Nie bylim sobie sąsiady wioskowe,
 Nie złączało nas żadne kumoterstwo,
 Każdy skądinąd przyniósł tutaj głowę,
 I tej inszości pamięć chował czerstwo.
 Ale że smutki były jednakowe,
 To nas związało tak żywe braterstwo,
 Jakby nas spętał jeden łańcuch srogi,
 Nie to za głowy, ale i za nogi.

Więc jak za wiatrem idą brzozy gajem,
 Tak my już odtąd razem się chylili,
 Tym słabszym podpór dający nawzajem,
 Czekając, rychło dola się przesili...
 Już mowy tylko latały nad krajem,
 A ja, rad w duszy, patrzałem tej chwili,
 Gdy ku wschodowym gwiazdom obrócony,
 Wiatr zarucha morzem w nasze strony.

.
 Alić nie było wiatru. Wielkie cisze
 Obeszły ono nieposiężne morze,
 Iż ledwo sobą conieco kołysze,
 Jak runiejące siewy na ugorze,
 Czyniąc na głębiach błękitne komysze,
 Gdzie księżyc srebro, złoto suły zorze,
 Jakoby w skarbcu tajemne zasieki,
 A one na dno padały na wieki.

Choć poniektórzy mówią, że do pory.
 A zaś, gdy czasu dobije godzina,
 Wyplyną na wierzch złota całe wory,
 Ze najnętlniejszych biedaków drużyna,

Czapką je nosić będzie do komory,
 Aż się z bogaci wszelaka chudzina.
 A to jest sekret pomiędzy narody,
 Żeby zaś króle nie sięgły tej wody.

Bo wnetby złoto poszło na harnaty,
 Na wojska, na te paradne urzędy,
 A one czarne ostałyby chaty
 Bez poratunku, jak zawdy i wszędy.
 Więc sam Bóg morzem zapuścił te światy,
 Że nikt żyjący nie wie gdzie i kędy,
 A tyle tylko, że skarb jest i czeka
 Uzwołonego z obroży człowieka.

Ano, co gadać! Świat na tem nie stanie,
 Jeno se dalej pójdzie swoją drogą.
 A nad kim doli jest nieubłaganie,
 Temu i przyszłe skarby nie pomogą.
 Widać-ci, człeku, dalekie świtanie,
 Ale trza przebrnąć ku niemu noc srogą...
 A i ten szczęśliw już, kto rzeknąć może,
 Iż dojrzał one zapowiedne zorze.

— Słyszałem—rzecze Żuk—że tam na spodzie
 Jest ziemia, co się zowie Hatlantyda.
 Sama się ona rządzi w onej wodzie,
 W lasach na karczmach nie najrzysz tam Żyda,
 A także mądre ludzie w tym narodzie,
 Jakich się u nas nie słycha, nie wida.
 Wojska nie znają, nie chodzą na wojny,
 Jeno se żywot prowadzą spokojny,

Po sto i dziewięć lat każdemu człeku.
 A dziesiątego sam oczy zamyka,
 Jako do spania, iż dożył już wieku,
 A wesół, jakby mu grała muzyka.
 Zaś po sto dziewięć doktora, ni leku
 Nie zna, ni mu po kościach nie strzyka...
 Tu syknął, chwycił za lewe kolano,
 Iż miał, leśnikiem bywszy, kość strzaskaną,

Przez padającą na Myszyńcu choję.
 Po chwili zaś rzekł: — Pieniądz tam nie w cenie,
 Każdy pracuje, nikt nie je za dwoje,
 Każdy ma czyste na grzbiet obleczenie,
 Wszyscy zysk niosą, jak te bartne roje,
 W ul, co się zowie Pospolite mienie,
 A ma ta ziemia wypłynąć ku słońcu,
 Ale nie prędzej, aż przy świata końcu...

Tak my gwarzyli społem. Było święto.
 Z wypoprężonych ramion spadła szleja.
 Przypominalim, jak my tę zakłęta
 Puszczyć przebyli, jak się ona knieja
 Zwarła za nami na śmiertelne pęto,
 I drogi nasze, i śmierć Horodzieja,
 I mądrość jego, co była, jak miody,
 Zbierane z lipy za cichej pogody.

Rzekł Kos: — Rad chciałbym, by na onym głazie,
 Cośmy nim zamkli starego we wnękę
 Wyrznął kto dłutkiem, wyraz przy wyrazie,
 Całe tułactwo nasze, całą mękę...
 A zaś nad pismem, by wydał w obrazie
 Oną to głowę srebrzystą, i rękę
 Pożegnującą przed nami powietrze...
 By to ostało tak, że nikt nie zetrze.

— Ha! — Bugaj na to. Nie łatwa jest sprawa;
 A czy to jeno, co ryte w kamieniu,
 Przez wieki wieków w pamięci ostawa?
 Siądź ty z dziećmi na chaty podsieniu,
 Kiedy w czeremchach słowiczek przygrawa,
 I rozpowiadaj tę powieść żalosną,
 To one synom powtórza, jak wzrosną.

Tak do nas doszły one dawne dziwy,
 One ojcowe, praojcowe czasy.
 A te... — Nie skończył, bo nagle gwar żywy
 Buchnął po drodze przed nasze szalasy.

Skoczy Żurawa, iż człek był strożliwy,
 A Bandys z Rochem poszedł był do kasy
 Odebrać grosz ów urwany od chleba,
 By zliczyć, dość nam jeszcze będzie trzeba.

Alić nie oni wracali z wyprawy,
 Jeno burniackie toczyły się bryki,
 A na nich naród Burniaków, jaskrawy
 Od chust, wstęg. Swachy, druźbowie, muzyki.
 Wesele! — Ano, szczęśliwej zabawy!
 Szczęśliwej pory! Hukają pokrzyki,
 Śpiewki, prześpiewki, a skrzyпки i fletnie
 Rzną drobionego ogniście a setnie.

Burniaki-Grady dawały dziewczynę
 Za jedynaka od Burniaka-Bobra,
 Wnet skoczą z bryki, dobędą fłaszczynę,
 Przepiją do' nas, my do nich, i dobra!
 Tak im winszujem: W szczęśliwą godzinę,
 W szczęśliwą chwilę!—A nuż nas pod ziobra
 I pod kolana obłapiać druźbowie:
 — A jedźcież z nami! Wypijcież przedzrowie!

Odpowiedzielim: Bóg niech wam zapłaci!
 Z wielkim to, dla nas biedaków, honorem.
 Ale, wiadomo, służba wolność traci,
 A jutro każdy stanąć musim z worem
 U węgla. Miłać gościna u braci,
 Ale, Bóg świadkiem, ani my ubiorem,
 Ani myślami dziś nie do wesela...
 Tak już musicie bez nas śpiewać „Chniela.“

— A czepcież Młodą starym obyczajem,
 Na dzieży, jako nam czepili matki...
 A wy, druchenki, z białym korowajem
 Nieście się strojno w pozłotki i kwiatki!
 Tak w przyjacielstwie żegnaliśmy się wzajem.
 Posiedli w brykę swatowie i swatki,
 Druźby się jeno przymawiają mile:
 — Aby tę nockę jedną! Aby chwilę!

Jużci, że naszej zapachło to młodzi,
 Jako więc kotu wielkanocna szperka.
 Już Jasiek Kosów do Salki podchodzi,
 Już na Marynę z podełba Stach zerka.
 Lecz gdy „sztajera“ po dudach synk wodzi,
 Krzykną muzyce: — Oberka! Oberka!
 Chcę grajki. Na nic! Ni jeden z kapeli
 Nie trafia... Tańca swego zapomnieli.

Zrzędła im mina. Zaczem, dla rezonu
 Urznęli marsza, co go grał Rakoczy,
 Kiedy, za wojny węgierskiej, do tronu
 Jechał przez Dunaj rzekę, co koń skoczy.
 Tak z szumem, z hukiem, na podob homonu,
 Gdy się nad borem powietrzny łów toczy,
 Z trzaskaniem z biczów, ruszyli z kopyta,
 Młodzi, muzyka, ojcowie i świta.

Wtem Żuk: — Waść takoz, panie Balcer... Dzieża...
 Korowaj... Kwiatki... Złotka... Odpuść Panie!
 A Młodzi pewno polskiego pacierza
 Nie znają.—Albo ich to całe granie?
 Basów nie mieli! Nie dałbym halerza,
 Że z oracyją nikt w progu nie stanie,
 I że nikt nie zna piosenki o Chmielu...
 Tfu! Co tam człeku po takim weselu!

Przyjrzałem ja się onej kompanii...
 Jużci, że dużo szumu i zamachu,
 Ale co? Młody w krawacie u szyi,
 Komin ma czarny na łbie, by na dachu,
 Młoda, jak żeby szła po procesyi,
 Przed Jegomością, przy samym baldachu,
 Taki puściła welun, a spodnice
 Włoką się za nią, by ogon indyce.

Ta gdzieżby dawniej! Przecie ty w gorsecie
 Szła mi do ślubu, jak łątka... Co, stara?
 Wianek ruciany przewity we kwiecie,
 A u warkocza wstęg jasnych — niemiara!

Na okoliczność ślub głośny był przecie.
Od światła aż się jarzyła Fara.
A wenikrator ciągnął organista
Jak miech! Złotych coś kosztowało trzysta.

Westchnął. — Dziś nowa moda i postawa.
Dzieci, jak amen, będą angielczyki...
A co ród u nas rodowi podawa,
To za obyczaj będą miały dziki. —
Mówił, a drogą niosła się kurzawa,
Polatywały weselne okrzyki,
A młodzież uchem łowiła i okiem
Pył, turkot, tętent, aż dzień zaczął mrokiem

Zachodzić. I mnie mroczno było w duszy,
Jak człeku, który coś miłego traci,
Gdy mu się złoty pierścień zawieruszy,
Przysiężny pierścień, co go miał od braci.
Jak dziki gołąb, coś mi w sercu gruszy,
Coś piersi porze u lewej połaci...
Wtem pojrzą, wraca Bandys i Zatrata,
A z nimi jakichś dwóch obcych ze świata.

Szli śpiesznie, ostro machając po boku
Rękoma, jak łódź, gdy ją pędzą wiosła,
A słowa, rwane od prędkiego kroku,
Co nieco cichość powietrzna mi niosła.
Przez ramię jeden miał torbę na troku,
Kapota, jako się noszą rzemiosła,
Na drugim siwa płótnianka, łeb goły,
Kij w rękę, jako chodzą apostoły.

Uwięzły oczy mi w tej dziwnej głowie,
Jasnej, przy ciemnym ogniu śniadej twarzy,
Jak dach słomiany na czarnym tułowie
Zgorzałej chaty, co jeszcze się żarzy...
Tak szli pośpiesznie owi przybyszowie,
Nasi im z boków przydawali straży,
Aż krzykną ku nam zdala: — Pochwalony!
Tak my: — Na wieki! Witajcież w te strony!

PIERWSZY „SYONISTA“ POLSKI.

I.

W grudniu 1821 roku t. zw. czarny gabinet perlustracyjny, funkcyonujący w Warszawie przy kancelaryi szefa sztabu W. Księcia Konstantego, generała Kuruty, i pod fachowym kierunkiem pułkownika Segtyńskiego trudniący się dniem i nocą otwieraniem, a w razie potrzeby i konfiskatą korespondencyi prywatnej, przychodzącej na pocztę warszawską, pochwycił dwa listy w języku hebrajskim, adresowane z Turcyi do zamieszkałego w Warszawie Żyda. Listy te od pierwszego rzutu oka wzbudziły pod ojrzenie czujnego urzędu perlustracyjnego już ze względu na miejsce, skąd pochodziły. Dostarczone zaraz przez czarny gabinet do biura komisarza cesarskiego, senatora Nowosilcowa, przetłómaczone tam, nieumiejętnie zresztą i wadliwie, zapewne przez używanego zazwyczaj do podobnych czynności ówczesnego cenzora książek hebrajskich, Tugendholda, po oficyalnem poświadczeniu ścisłości przekładu przez urzędnika tegoż biura, Bajkowa, dla którego oczywiście hebrajszczyzna była *du grec*, zostały one w wersyi francuskiej, wraz z obciążającym komentarzem Nowosilcowa, przedstawione W. Księciu Konstantemu. Podana w przekładzie zawartość tych listów do tego stopnia wzbudziła podejrzliwość W. Księcia, że wystosował on natychmiast osobiście następującą z tego powodu „zapiskę poufną i tajną“ na ręce Aleksandra I do Petersburga:

„Temi dniami dostarczone mi zostały dwa listy z Konstancy-nopola pod adresem pewnego Żyda, mieszkańca Warszawy. Z treści ich, którą przy niniejszem w kopii (t. j. w przekładzie i streszczeniu francuskim oryginału hebrajskiego) załączam, wynika, że

były one pisane przez osobę tej narodowości, spełniającą pospół z czterema innymi jakąś misję w Ziemi Świętej. Wyrazy, podkreślone w drugim z tych listów zdają się wskazywać, że emisaryusz (*missionnaire*) wywiązał się ze swego poselstwa (*légation*) podług życzenia swoich mocodawców (*commettants*), i że żywi on podobno nadzieję odbudowania Jerozolimy i założenia tam nowego państwa. Skoro tylko Izraelita, będący autorem tego listu, stanie na ziemi polskiej, rozkażę natychmiast aresztować go wraz z jego papierami, które może dostarczą wskazówek względem jego towarzyszków, utrzymujących z nim stosunki w Odessie.“¹⁾

Do powyższego doniesienia wielkoksiażęcego dołączone były w lichym, a w kilku miejscach tendencyjnie fałszującym przekładzie francuskim, owe dwa interceptowane listy. Osobliwsze to były te dwa dokumenty dowodowe, w których doświadczona ręka czarnego gabinetu domyślnie wyczuła, a wytrawny węch Nowosilcowa wyraźnie już zwietrzył ukrytą zbrodnię stanu tak doniosłą i niebezpieczną, iż dla zabezpieczenia jej okazało się koniecznym poruszyć aż W. Księcia Cesarzewicza we własnej osobie i zaniepokoić samego monarchę.

W pierwszym z tych listów, datowanym w Konstantynopolu w końcu września 1821 r., stary Żyd, Salomon Płoński, donosił swemu zięciowi, Józefowi, zamieszkałemu i handlującemu w Warszawie, o odbytej pomyślnie pielgrzymce do Palestyny i uprzedzał go o swym rychłym powrocie do kraju. „Oddalony od Ciebie, tutaj w mieście Konstantynopolu—pisał Płoński zwyczajnym namaszczoneym i kwiecistym stylem orientalnym—modłę się o pokój dla Ciebie, zięcia mego, Bożego ulubieńca, uczonego, przestawnego, bogatego, którego wielebne imię jest Józef, oraz dla Twej małżonki, córki mojej, niewiasty cnotliwej, bogobojnej, której pięknobrzmiące imię jest Jutta, jakoteż dla wszystkiego potomstwa, jakie wyszło z jej łona.“ Opowiadał następnie o swojej podróży po Ziemi Świętej, gdzie dzięki oczywistej opiece nieba mnogich okrutnych uszedł niebezpieczeństw, i skąd obecnie do szczęśliwego wybiera się powrotu, w towarzystwie innych, napotkanych po drodze, prawowiernych pielgrzymów. To ostatnie słowo zostało w przekładzie urzędu perlustracyjnego zamienione bez trudu na „misjonarzy,“ z czego znowuż baczny Nowosilcowa w lot zrobił podejrzanych emisaryuszów politycznych. W tymże liście znajdo-

1) W. Księżę Konstanty do Aleksandra I, Note particulière et secrète, Varsovie, (27 novembre) 9 décembre 1821.

wała się cytacya biblijna: „Kto sieje ze łzami, ten ze śpiewem zbierać będzie,“ która również, jako wysoce podejrzana, została podkreślona w poślanym do Petersburga przekładzie urzędowym, z czego juwnie okazuje się, iż czarny gabinet warszawski dużo lepiej znał się na otwieraniu listów, niż nie tylko na Starym Testamencie, lecz nawet na Ewangelii, gdzie, jak wiadomo, ten werseł biblijny we wzniosłej odnajduje się parafrazie.

Drugi list pochwycony, datowany z Odessy w początku listopada t. r., wydał się jeszcze daleko niebezpieczniejszym. Płoński, zatrzymany dłużej, niż przypuszczał, w stolicy tureckiej i będąc z tego powodu w potrzebie pieniężnej, prosił swego zięcia w tym drugim piśmie o przysłanie 50 dukatów na drogę powrotną, obsypując go za to jeszcze szcudrzej świetnymi epitetami orientalnymi, tytułując go „panem i księciem,“ co oczywiście zostało skrupulatnie podkreślone przez czarny gabinet, jako szczegół wysokiego znaczenia politycznego. Podobnie podkreślona została dalsza wzmianka w tymże liście o „czterech innych pielgrzymach,—awan-sowanych znówuż w tłumaczeniu na emisaryuszów—z których jeden rodem z Wilna,“ przybyłych razem z Płońskim z Ziemi Świętej do Odessy. Ale najwięcej dał do myślenia mądrym głowom perlustratorów i pozwolił w całym blasku zajaśnić głębokiej przenikliwości Nowosilcowa następujący ustęp końcowy niniejszego pisma. Zapewniał tu mianowicie Płoński swego zięcia ani mniej, ani więcej jak tylko, „iż nowiny, jakie on przynosi (z Ziemi Świętej), odrodzą nadzieje i radość w sercu prawowiernych; królestwo narodu (żydowskiego) nie jest już dalekiem, a młodzież Jeruzolimy i jej mieszkańcy pomogą do odbudowania Syonu.“¹⁾

Zwykły śmiertelnik dostrzegłby w tem wszystkim rzeczy bardzo zwyczajne: ciemnego, ortodoksyjnego Żyda polskiego, po-

¹⁾ Płoński do Józefa, Constantinople, 24 septembre 1821 (ustępy podkreślone w przekładzie poślanym przez W. Księcia Aleksandrowi): „je me rendrai au lieu de ma destination et je vous raconterai de vive voix ...tout ce qui vous importe de savoir. Qui sème avec des larmes, récolte en chantant... Je n'ose plus écrire, je n'ai pas de keser...“ [przypisek czarnego gabinetu: „le mot keser n'a pu être traduit par personne“]; (Odessa), premiers jours de novembre 1821: „enfin arrivé à Odessa avec quatre autres missionnaires, dont un nommé Katreil de Wilna... Les nouvelles qu'il rapporte ici, dit-il, feront renaitre la joie et l'espérance dans le coeur des croyants, le règne de sa nation n'est pas éloigné et la jeunesse de Jérusalem et ses habitants aideront à rebâtir S'on. Il prie qu'on le rappelle au souvenir de tous les grands seigneurs israélites et demande qu'on ramène ces 50 ducats au comptoir de Brande pour les envoyer au kalm d'Odessa.“

spolitego stanu, małego o świecie pojęcia, żarliwej nabożności, odbywającego pielgrzymkę do Palestyny, na podobieństwo tysięcy innych, odbywanych od czasów niepamiętnych, i pocieszającego siebie i swych współwyznawców zapowiedzią przyjścia Mesyasza i wskrzeszenia Jeruzolimy, powtarzaną również od lat niepamiętnych w codziennych modłach żydowskich prawem uświęconej tradycji religijnej. Ale w czarnym gabinecie Kuruty i biurze komisarskiem Nowosilcowa nie dano się ułudzić takimi niepokażnymi pozorami, lecz łącno wytropiono ukrytą poza nimi intrygę polityczną całkiem poważnego zakroju, zagrażającą bezpieczeństwu państwa i wkraczającą nawet do dziedziny wielkich, aktualnych podówczas spraw powszechnej polityki europejskiej. Chodziło tu mianowicie najwidoczniej o tajne sprzysiężenie Żydów polskich i rosyjskich celem przywrócenia państwa żydowskiego w Palestynie przy pomocy padyszacha, panującego sułtana Mahmuda II. Stary Żyd kapotowy, Salomon Płoński, pod maską pobożnego pielgrzyma, był najwidoczniej jednym z agentów tego sprzysiężenia, rozgałęzionego zarówno w Królestwie Polskiem, jako też w guberniach zachodnich Cesarstwa z siedliskiem w Wilnie i nad morzem Czarnem z siedliskiem w Odessie. Jasnym zaś było, że wobec podobnych, ze wszech miar niepokojących knowań konspiracyjnych, należało mieć się corychlej jaknajostrożniejszych środków zapobiegawczych, poczynając od uwięzienia samego skompromitowanego emisariusza, Płońskiego, pochwycenia jego papierów spisowych i przeprowadzenia z nim w ścisłej tajemnicy nagłego i surowego śledztwa.

Aby zrozumieć, jakim sposobem oczywiste brednie tego rodzaju mogły nie tylko wylegnąć się w zawodowej imaginacji szpiegowskiej czarnego gabinetu warszawskiego i w mózgu takiego specjalisty od sprzysiężeń politycznych i poszukiwań śledczych, jakim był Nowosilcow, lecz w rzeczywistości były brane na seryo przez W. Księcia Konstantego i Cesarza Aleksandra I, należy uprzytomnić sobie wyjątkową naturę ówczesnego przesilenia wschodniego. Wiosną tegoż 1821 r. był nastąpił wybuch powstańczy w księstwach naddunajskich pod wodzą Ypsilantiego. W ciągu następnych miesięcy, latem i jesienią t. r., powstanie ogarnęło Grecyę. Połowa Turcyi europejskiej stanęła w płomieniach. Owóż Aleksander I miał pierwotnie rękę w tajnych robotach przygotowawczych do tego gwałtownego wybuchu. Sam Ypsilanti poprzednio przy jego służył boku, od niego odbierał wskazówki i podnieć; pod jego też skrzydłem opiekuńczem powstała ongi na ziemi rosyjskiej, osiedliwszy się mianowicie w Odessie, kwatera głów-

wna tajnej organizacyi Heteryi greckiej, rozsmuwając stąd sieć spiskową po wszystkich niemal dzierżawach tureckich. Było to przygotowanie do wielkiej zaczepnej akcji polityczno-wojennej, z jaką pierwotnie nosił się Aleksander, i która miała doprowadzić do zniweczenia Porty, wyparcia Turków z Europy i ostatecznego rozwiązania sprawy wschodniej pod hegemonią rosyjską. Kiedy w następnym czasie, na skutek rozlicznych, nadzwyczaj skomplikowanych okoliczności niepomyślnych, cesarz zawrócił na drogę zachowawczo-reakcyjną w swej polityce wewnętrznej i zagranicznej, wycofując się, doraźnie przynajmniej, z tej tak rozlegle planowanej akcji wschodniej, został on teraz niemile zaskoczony przez niniejsze niewczesne wystąpienie Ypsilantiego i związane z niem doniosłe wypadki greckie. Były mu one obecnie pod każdym względem nie na rękę, przyszyły w chwili, kiedy on do działań stanowczych na Wschodzie był niezdolny, a otwierały natomiast wolne pole współzawodniczącej interwencyi mocarstw zachodnich, przedewszystkiem zaś Anglii, zabierającej się do zeskamotowania na rzecz swoją wynikłego przesilenia sprawy wschodniej wogóle, a greckiej w szczególności. W takim położeniu krytycznem podejrzliwość Aleksandra z samej natury rzeczy do najwyższego zaostrzyła się stopnia. Gotów on był widzieć niebezpieczeństwo wszędzie, a nawet ze strony żydowskiej. Czemuż Żydzi, których emancypacya wtedy właśnie podejmowaną była w Anglii, nie mieliby zostać użyci przez Anglię, jak ongi przez Napoleona podczas wielkiego żydowskiego Sanhedrynu paryskiego, dla powszechniejszych celów politycznych, a mianowicie, jak w danym wypadku, dla oddania usług Turcyi przeciw Rosyi? Czemuż, pozyskani widokami odbudowania państwa żydowskiego pod protektoratem tureckim, a obficie rozsiani po guberniach zachodnich i południowych imperyum rosyjskiego i w Królestwie Polskiem, nie mieliby zostać użyci do obszernej organizacyi tajnej, skierowanej przeciw Rosyi a ześrodkowanej w tej samej Odessie, gdzie przed kilku zaledwo laty organizowani byli przez samego Aleksandra przeciw Turcyi heteryści greccy, pozyskani widokami odbudowania państwa greckiego pod protektoratem rosyjskim? Tym sposobem wyjątkowość spóczesnej sytuacji politycznej a przedewszystkiem wewnętrzna świadomość własnych uprzednich robót podziemnych, czyniąc Aleksandra podejrzliwym aż do strachliwej, łatwowiernej przesady, nadawała dopiero właściwe znaczenie i piętno całej mizernej sprawie niniejszej. Tak stało się możliwem, że ta sprawa biednego Żyda, Płońskiego, wyrosła na istną sprawę stanu, traktowaną całkiem poważnie w Warszawie i w Petersburgu i nie tylko zapelnia-

jącą obszerne fascykuly śledcze w archiwach rządowych warszawskich, lecz reprezentowaną również, pod postacią obfitych akt sekretnych, wśród najdonioślejszych dokumentów wojskowo-politycznych, przechowywanych po dziś dzień w archiwum Sztabu Generalnego w Petersburgu.¹⁾

II.

Tymczasem nieborak Salomon Płoński, Bogu ducha winien, pełen uciechy z odbytego fortunnie, zbawiennego dla duszy prawowiernej pielgrzymstwa, rad corychlej znaleźć się w domu u swoich i za stołem szabasowym u córki lub w dzielnicowej swej bóżnicy warszawskiej rozpowiadać o zamorskich przygodach i cudach, a zgoła nieświadom, jaka rola poważna przypadła mu w wielkiej polityce międzynarodowej, opatrzone porządnym paszportem gubernatora wojennego odeskiego, hr. Langerona, wyruszył z Odessy na biedce żydowskiej do Warszawy, gdzie stanął 27 grudnia 1821 r. Tutaj natychmiast został aresztowany z rozkazu W. Księcia Konstantego i zamknięty w najściślejszym sekrecie, pod okiem samego W. Księcia, w pałacu Brühlowskim, gdzie zazwyczaj najgłówniejsi tylko i najtajniejsi przestępcy stanu chowani byli. Zabrano mu wszystkie papiery, jakie miał przy sobie. Połów był nadspodzianie obfity, było tego sporo, 61 sztuk listów, pisanych bądź w języku hebrajskim, bądź w żargonie żydowskim. Zajęto się niezwłocznie w biurze Nowosilcowa ich tłómaczeniem, pod kierunkiem rzeczoznawcy Bajkowa, i cały ten rozległy nowy materiał dowodowy, poczęści w dosłownym przekładzie francuskim, poczęści w starannem streszczeniu, ze skrupulatnem wszędzie podkreśleniem ustępów podejrzanych, wyprawiono znowuż do Petersburga do wiadomości osobistej Aleksandra I.

Nie była to jednak lektura, godna przykuć całkowicie uwagę cesarza i króla. Autorowie tych listów nazywali się: Dawid i jego małżonka Basia-Zelda, Berek-Boruch, Ruchla Chaimowa,

¹⁾ Akta Archiwum Sztabu Generalnego, wydział kancelaryi ministerjum wojny w Petersburgu, „O Żydzie Salomonie Płońskim, który odbył podróż do Jerozolimy, celem przyłożenia się do odbudowy Królestwa Żydowskiego“ (s ejelju sodiejstwja k wozstanowlenju Judejskawo Carstwa); Archiwum Akt Dawnych w Warszawie.

Lejbka Kohen, Icek Arja, Dwojra Szmulowa i t. d. Adresaci nosili podobne, niezbyt dźwięczne nazwiska, albo raczej imiona, gdyż większość pospolita ówczesnej ubogiej ludności żydowskiej w Królestwie Polskiem nie posiadała jeszcze nazwisk familijnych. Niniejsza zaś, schwycona przy Płońskim korespondencya, niemal w całości pochodziła z warstw uboższych miejscowego spóółstwa żydowskiego. Były to prawie wyłącznie listy czysto prywatne, powierzone Płońskiemu na wyjeździe z Palestyny przez przebywających tam na pielgrzymce Żydów polskich, adresowane do ich rodzin w Królestwie. Treść ich stanowiły też z reguły doniesienia, zlecenia, pozdrowienia rodzinne, wiadomości lub zapytania o zdrowiu, o ślubach, narodzinach i zgonach, błogosławieństwa dla dzieci i wnuków i t. p. Pisane były prawie wszystkie te listy przez ludzi bardzo biednych i bardzo nabożnych, przeważnie starych, z których część nawet, zamknawszy rachunki z nędżnym swem życiem dotychczasowem i dowlókszy się o uzbieranym groszu do Ziemi Świętej, myślała już tylko o tem, jakby tam umrzeć bogobojnie, a jeszcze przed pochowaniem na cmentarzysku biblijnem, przez miłą Bogu zasługę pielgrzymiego swego czynu, tem snadniej wśród tych miejsc poświęconych wymodlić łaskę nieba na głowy pozostałych w kraju dzieci. Taką była główna osnowa i nastrój tej, zabranej Płońskiemu, osobliwszej poczty polsko-palestyńskiej, której niepodobna odczytywać bez współczucia, w której wszędzie znać biedę, ciemnotę, strapienie, znać poziom duchowy niezmiernie mały, ciasny, zacofany, ale przynajmniej w pewnej części niezbrukany zwyczajną handlującemu żydowstwu nieuniknioną plagą „interesu“, zwolniony, oczyszczony przynajmniej napoty, bo niezupelnie jeszcze, z brudu codziennej, ciężkiej troski zarobkowej i pogoni za chlebem powszednim, znać natomiast dwie górujące, wyższe cechy psychiczne: głębokie przywiązanie rodzinne, głębokie uczucie religijne. To też w tych kilkudziesięciu pismach mieści się wcale ciekawy materiał kulturalno-dziejowy do bytowania mas żydowskich w Królestwie Polskiem w początkach XIX stulecia, do sfery stosunków tak bliskich powszechności życia społecznego kraju, bezpośrednio z nią stycznych, a przecie tak od niej dalekich, oddzielonych murem chińskim, jakgdyby rozgrywających się w innym zgoła przestrzennym wymiarze, stosunków zresztą tak mało od owego czasu zmienionych i poprawionych, i pod tyłoma względami tak bardzo podobnych do oplakanego obrazu nędzy i ciemnoty, jaki dzisiaj jeszcze, na oczach naszych, wystawia ogromna większość ludności żydowskiej miast i miasteczek polskich.

Jednakowoż wśród powyższej, pochwyconej przy Płońskim korespondencji żydowskiej, obok rzeczy czysto prywatnej natury, znalazło się kilka pism, wyróżnionych osobno przez perlustratorów i Nowosilcowa, a zasługujących na uwagę z tego względu, iż rzuciły one pewne światło na wewnętrzną organizację ówczesną Żydów polskich w dziedzinie dobroczynno-religijnej wogóle, a pielgrzymstwa palestyńskiego w szczególności. Organizacja ta, istniejąca od wieków, była ściśle poufna, samej tylko społeczności żydowskiej wiadoma i przez nią samoistnie sankcjonowana i prowadzona, działając zresztą równoległe i łącznie z jawną władzą kahalną, uznawaną przez rząd krajowy. Polegała ona—a właściwie polega dotychczas, gdyż, w pewnej przynajmniej mierze, nie przestaje funkcjonować do dziś dnia,—na tem, że przełożeni bractw dobroczynnych oraz jałmużnicy Ziemi Świętej, mianowani przez każdą gminę żydowską w Królestwie, zbierali datki dobrowolne na utrzymywanie ubogich pielgrzymów żydowskich w Palestynie oraz niektórych tamiecznych instytucyj religijnych. Ogół tych funduszy składkowych na Królestwo kierowany był na ręce głównego jałmużnika w Warszawie, którym podówczas, w 1821 r., był niejaki Szloma Eiger; obok niego główny wpływ na rozkład i dyspozycję tych datków miał wtedy wybitny Żyd warszawski, jeden z przełożonych gminy tutejszej, niejaki Berek-Szmul, odgrywający rolę kierowniczą wśród ówczesnych Żydów Królestwa i uczestniczący osobiście w rozlicznych donioślejszych rokowaniach, prowadzonych ich imieniem z Nowosilcowem, W. Księciem Konstantym i Aleksandrem I. Powyższe fundusze składkowe wyprawiane były corocznie z Warszawy do Palestyny przez umyślnego „posła publicznego“, choć bywały też oprócz tego ekspedowane w pomniejszych kwotach, przez nadarzające się okazy, ze strony gmin i osób poszczególnych. Rozrządzanie całością funduszy tego rodzaju, stosunkowo dość znacznych, napływających od ludności żydowskiej wszystkich krajów Europy, Afryki i Azji, — w Ameryce wtedy Żydów prawie nie było,—spoczywało w ręku naczelnego zboru rozdawniczego w Jerozolimie, złożonego z przedstawicieli obieranych przez wszystkie gminy palestyńskie, po dwóch z każdej. Na czele tego zboru stali w 1821 r. trzej członkowie przełożenstwa gminy jerozolimskiej, Salomon, syn Abrahama-Abla, Menachem-Nachum, syn Abrahama, Metariahu, syn Aleksandra-Sendera; skarbnikiem głównym był Abraham-Salomon, syn Jelada, lewita. Żydzi polscy, którzy licznie zajmowali miejsce poważne wśród przybywającej corocznie do Palestyny rzeszy pielgrzymiej,— w tymże roku rachowano ich tu około 500 podług obliczenia Płoń-

skiego, — a zarazem znaczny mieli udział w zasilaniu funduszów składkowych, nie byli zadowoleni z czynności zboru rozdawniczego, uskarżali się na stronność przy repartycyi zasiłków, na uprzywilejowanie pielgrzymów innych narodowości, a nawet na nieprawne użytkowanie składek na potrzeby lokalne gminy jerozolimskiej. Domagali się też reorganizacyi tego zboru, wzmocnienia jego składu do liczby siedmiu członków naczelnych zamiast trzech, i odwoływali się w tej mierze z Jerozolimy aż wprost do Warszawy do owego Berka-Szmula, któremu, z tytułu jego stanowiska w gminie warszawskiej i w organizacyi jałmużniczej Królestwa, przysługiwało prawo ingerencyi bezpośredniej do urządzeń rozdawniczych palestyńskich.¹⁾

Zresztą Żydzi polscy mieli w samej Jerozolimie swego własnego rabina krajowego; był nim podówczas Monachem-Mendel Boruchowicz. Pozbawieni byli natomiast już od bardzo dawna swojej własnej synagogi obrządku niemiecko-polskiego, która podczas rozruchów w Jerozolimie, jeszcze w początku XVIII wieku, była uległa zburzeniu, a na skutek surowych zakazów sułtańskich odtąd restaurowaną być nie mogła; byli tedy zmuszeni bądź zbierać się w prywatnych domach modlitwy, bądź też, z największą niechęcią, korzystać z bóżnicy źle przez nich widzianego obrządku sefardyjskiego, t. j. hiszpańskiego. Owóż obecnie właśnie, w 1821 r., po usilnych staraniach w Konstantynopolu, uzyskali nareszcie odwołanie tamtych zakazów i zezwolenie sułtańskie na odbudowanie i otwarcie tej swojej zburzonej synagogi jerozolimskiej. Z tego powodu teraz, za pośrednictwem Płońskiego, ów rabin polski w Jerozolimie, Monachem-Mendel, zwrócił się do możnego Berka Szmula do Warszawy, wzywając go do zarządzenia składek w Królestwie na koszt budowy i opatrzenia tej synagogi. W obszernem piśmie, poświadczonem nadto przez starszych gminy jerozolimskiej, donosił on z całą górną retoryką biblijną, iż „dzięki Panu, który obrał sobie i upodobał Jeruzalem,“ udało się otrzymać „odwołanie przykazań Króla (t. j. sułtana) i przywrócić koronę, czyli odbudować synagogę, którą zbezczęścili barbarzyńcy i zni-

¹⁾ Bractwo jałmużnicze warszawskie do przełożonych gminy jerozolimskiej, Warszawa, 23 maja 1819; Aga Hachbak i rabin Jakób z Leszna (poświadczenie przez przełożonych gminy warszawskiej) do rabina Monachema-Mendla, Leszno—Warszawa, 25 maja 1819; Płoński do Berka Szmula (brulion b. d. = Jerozolima 1821); zeznania Płońskiego, Warszawa, 25 lutego 1822, punkty 12—22, 33—34, 42—47, 55—58, 126.

szczyli nieprzyjaciele;“ odzywał się tedy do rodaków swoich, pobożnych synów Izraela w Warszawie i Królestwie Polskiem, za których on wznosi modły „przy murze północnym Tronu Niebieskiego, na grobach świętych przodków naszych, praojców świata, prawdziwych proroków, mężów Wielkiego Zgromadzenia, matki naszej Racheli, cnotliwego Szymona i innych sprawiedliwych i bogobojnych tanaitów;“ odzywał się imieniem „świętego miasta Jerozalem, które oby niebawnie odbudowanem było;“ i nawoływał ich gorąco, „iżby byli silni i odważni,“ iżby pomogli „przywrócić Koronę do dawnej świetności... Takie są słowa przyjaciela waszego, który oczekuje od was wiadomości i modli się za was w Jerozolimie, będącej bramą Nieba.“¹⁾ Oznaczało to wszystko w języku zwyczajnym nic innego, jak tylko poprostu prośbę rabinowską do bogatych współwyznawców i ziomków o składki na skromną zresztą bóżnicę w dzielnicy polsko-żydowskiej w Jerozolimie. Ale łącno zgadnąć, jak bogate żniwo w tych zwrotach konspiracyjnych, zapożyczonych żywcem z psalmów Dawidowych i pism proroków, w tych wzmiankach buntowniczych o „królu,“ „koronie,“ „odbudowaniu,“ znalazła sobie głęboka przenikliwość duchów śledzących warszawskich i najcelniejszego z nich, Nowosilcowa.

W rzeczy samej, Nowosilcow, drobiazgowo przestudyowawszy powyższą, zabraną Płońskiemu korespondencyę, nie omieszkął wyciągnąć z niej należytych wniosków oskarżycielskich i podzielić się niemi z monarchą. „Zbiór tych listów — pisał on do Aleksandra w początku 1822 r. — zdaje się udowodniać, iż pomiędzy Żydami rozproszonymi wśród wszystkich narodów, istnieje rodzaj rządu tajnego, złożonego z rabinów, jałmużników Ziemi Świętej, przełożonych, rozdawników miejskich i t. d. Do tych władz przyłączają się bogaci Żydzi rozlicznych krajów, którym nadawany bywa tytuł książąt Izraela... Wydaje się być niezawodnem, że od niejakiego czasu rozbudziło się przywiązanie Żydów do dawnej ich ojczyzny, że oni budują tam synagogę, że modlą się na grobach świętych proroków, że uważają za szczęście umrzeć w Ziemi Świętej. Tam ma ukazać się Mesyasz. Tam też udają się oni tłumnie, powodowani uczuciem dewocyi, która poczyna stawać się powszechną; ci zaś, którzy tam się nie udają, przykładają się przez zasiłki i subskrypcye do utrzymania przebywających tam osób

¹⁾ Monachem-Mendel Boruchowicz do Berka Szmula (Jerozolima, sierpień 1821); całe to obszerne pismo nader charakterystyczne.

i zakładów dobroczynnych tamecznych... Wynika stąd, że ze wszystkich krajów odplywa wiele pieniędzy do Palestyny, najwięcej zaś z tych krajów, gdzie znajduje się najliczniejsza ludność żydowska; że ten lud, mając oczy nieustannie zwrócone ku Ziemi Świętej, staje się bardziej obcym zamieszkałemu przez siebie krajowi i bardziej niekarnym; że wreszcie Żydzi noszą się z tajnym projektem utworzenia znowu narodu. Co ważniejsza, tym sposobem tworzą się w Azji tajni wywiadowcy we wszystkich krajach Europy, którzy w danej chwili mogą stać się szpiegami, niedającymi się pochwyć. Obecnie Żydzi zdają się być bardzo życzliwie usposobieni dla Turków, jako posiadaczy Ziemi Świętej, będącej przedmiotem ich pragnień. Twierdzą oni, że sułtan pozwolił im odbudować ich synagogi i że zapłacili za tę dyspensę. Tym sposobem więc Żydzi wszelkiej narodowości, a między nimi i polscy, znajdujący się w Palestynie w znacznej liczbie, traktowali z rządem tureckim na własną rękę i bez żadnej interwencji właściwego swego rządu, pod którym żyją. To szczególniejsze przywiązanie, okazywane przez Żydów Turkom, od których spodziewają się przywrócenia swej ojczyzny, jest bardzo blizkiem pewnego rodzaju niewierności względem monarchy ich kraju rodzimego i mogłoby, na wypadek pewnych okoliczności ewentualnych, zamienić się na zdradę. W Odessie znajduje się 2,000 Żydów, utrzymujących stałą korespondencję ze wspieranymi przez nich Żydami w Palestynie, a zapewne też z Żydami, zamieszkałymi w Konstantynopolu, którzy służą za pośredników. Czyliż nie należy przewidywać, że tych 2,000 Żydów stanowić będzie niebezpieczną armię szpiegów w okolicznościach, kiedy mieliby okazję sprzedawać swoje usługi Turkom?*)

*) Nowosilcow do Aleksandra (Varsovie, février 1822): „... La collection de ces lettres semble prouver, qu'il existe parmi les juifs répandus chez toutes les nations une espèce de gouvernement occulte, qui se compose de rabbins qui ont un renom de sainteté, d'aumôniers de la Terre Sainte, de préposés, de distributeurs des villes ect. A ces sortes d'autorités se joignent les juifs opulents, établis en divers pays et auxquels les autres donnent les titres élevés de seigneur et de prince d'Israël... Ce qui parait certain, c'est que depuis quelque temps l'amour des juifs pour leur ancienne patrie s'est réveillé, qu'ils y bâtissent une synagogue, qu'ils vont prier sur les tombeaux des saints prophètes, qu'ils regardent comme un bonheur de mourir en Terre Sainte. C'est là que doit apparaitre le Messie. Ils s'y rendent en foule par une dévotion, qui parait devenir générale et ceux qui ne s'y rendent point, contribuent par leurs secours et des subscriptions réglées à la subsistance de ceux

Ta nadzwyczaj charakterystyczna denuncyacja Nowosilcowa nabiera dopiero właściwego smaku w świetle jego własnych, najpoufniejszych stosunków osobistych z oskarżanymi przez niego przed monarchą Żydami. W istocie, Nowosilcow oddawna już, a zwłaszcza odkąd objął wpływowe stanowisko komisarza cesarskiego w Warszawie, sprzedawał się systematycznie Żydom tutejszym za wszelkiego rodzaju usługi natury publicznej i prywatnej, a nawet wprost zmuszał ich, wyzyskując to swoje stanowisko, do opłacania mu się bądź pojedynczo od większych przedsięwzięć, bądź zbiorowo od spraw donioślejszych, obchodzących ogół żydostwa polskiego. Tak więc grube wycisnął kwoty z Żydów Królestwa Polskiego, zaraz w początku jego istnienia, za uchYLENIE grożącego im zakazu pędzenia i wyszynku wódki; wydoił gruntownie Żydów miasta Warszawy za pomoc w sprawie zakazu przemieszkiwania i handlowania na pryncypalnych ulicach; ulżył porządnie kiesy Żydom litewskim za poparcie w sprawie rekrutacji żydowskiej na Litwie i t. d. W mieszkaniu Nowosilcowa we Frascati stałymi i mile widzianymi gośćmi byli synowie Izra-

qui s'y trouvent et aux oeuvres pieuses dont ils s'occupent... Il s'ensuit, que de tous les pays il s'écoule beaucoup d'argent vers la Palestine, qu'il s'en écoule davantage des pays, qui ont le plus de juifs; que ce peuple, tournant sans cesse les yeux vers la Terre Sainte, devient plus étranger au pays qu'il habite, plus indisciplinable; et que les juifs ont le projet secret de se former de nouveau en nation. Ce qui est plus grave, c'est qu'il s'établit ainsi des colporteurs secrets chez toutes les nations d'Europe en Asie, qui, dans un cas donné, peuvent devenir des espions difficiles à atteindre. Les juifs paraissent aujourd'hui fort dévoués aux Turcs, attendu que ceux-ci sont en possession de la Terre Sainte qui est l'objet de leurs désirs. Ils disent que *le Roi* (le sultan) leur a accordé la permission de rebâtir leurs synagogues et qu'ils ont payé cette permission. Des juifs de toutes les nations, y compris les polonais, qui sont en grand nombre en Palestine, ont donc traité de leur propre chef avec le gouvernement turc et sans aucune intervention de la part de celui, sous lequel ils vivent. Cette adhésion particulière que les juifs montrent aux Turcs, de qui ils espèrent le rétablissement dans leur patrie, approche bien d'une espèce d'infidélité envers les souverains des pays, où ils sont nés, et pourrait, dans quelques circonstances éventuelles, devenir trahison. Il y a à Odessa 2000 juifs en correspondance suivie avec ceux de la Palestine auxquels ils envoient habituellement des secours, et probablement aussi avec ceux de Constantinople qui servent d'intermédiaires. N'est-il pas à prévoir, que ces 2000 juifs seraient une armée d'espions redoutable, dans le cas où ils trouveraient à vendre leurs services aux Turcs?" (ostatnie dwa zdania są przekreślone w minucie tego raportu Nowosilcowa).

ela, przychodzący tutaj z przymusową daniną; zjawiał się tu regularnie z nieuniknionym dla senatora kubanem ten sam Berek-Szmul, o którym tyle było mowy w inkryminowanej korespondencji palestyńskiej; przybywał zdaleka rabin grodzieński Mordka Lejbkowicz z brzęcącym dla senatora wyrazem szacunku od swoich współwyznawców na Litwie, przesuwali się coraz inni interesanci kapotowi, stanowiący jedną z głównych pozycji przychodowych prywatnego senatorskiego budżetu. Wszelako Nowosilcow należał do tych wielkich mistrzów korupcyi, co to, wedle mądrej zasady doświadczonego w tych rzeczach Talleyranda, wprowadzie sprzedają się, ale nie dają się kupować. Brał on tedy od Żydów pieniądze zawsze, lecz niekiedy tylko, gdy mu z tem było wygodnie, oddawał im za to wymówioną przy przekupstwie usługę; w przeciwnym razie umiał najspokojniej, obdarłszy ich po przyjacielsku, wystrychnąć ich potem na dudków, a nawet w sekrecie dotkliwie im dopiec. Doświadczył tego np. między innymi wspomniany rabin grodzieński, Mordka Lejbkowicz, który, wypłaćciwszy Nowosilcowowi na stół 20 tysięcy dukatów od Żydów litewskich za przyrzeczone niechybne uwolnienie od rekrutacyi, ku srogiemu swemu umartwieniu dowiedział się po niewczasie o zapadłym już nieodwołalnie ukazie rekrutacyjnym, a od Nowosilcowa, zamiast zwrotu wyludzonych dukatów, otrzymał tylko ubolewające zapewnienie, iż jego zapiska wstawiennicza niestety przyszła trochę zapóźno. Tak więc i w danym wypadku, Nowosilcow, z wszechstronnością wielkiego statysty-łapownika, obławiając się jedną ręką na pieniądzach żydowskich, nie wahał się drugą nakreślić powyższego przeciw Żydom operatu denuncyacyjnego dla Aleksandra I.

Tymczasem trzymany pod kluczem Płoński poddany został wyczerpującej, jaknajszczegółowszej indagacyi. Trwała ona bez przerwy przez blisko dwa miesiące, aż do końca lutego 1822 r. Obszerny protokół indagacyjny obejmował 155 zapytań, postawionych więźniowi, i udzielonych na nie przezeń odpowiedzi. Pytania, ułożone pod kierunkiem Nowosilcowa, były nadzwyczaj drobnotkwe, nieraz bardzo śliskie, mieściły pełno pułapek zastawionych na inkwizyta, a wyzyskiwały każdy, najniklejszy bodaj szczegół podejrzanego, dostrzeżony w znalezionych przy więźniu papierach. Jednakowoż cała ta sztuka inkwizytorska poszła na marne. Zawiodła ona zupełnie wobec prostych zeznań Płońskiego, i to nie dlatego, żeby on potrafił sprytnie wywinąć się i cośkolwiek arcyważnego zataić, ale poprostu dlatego, że on w ciemnocie ducha i widocznym strachu mówił wszystko, co wiedział, a nie zgo-

ła sensacyjnego nie miał do odkrycia. Zeznał tedy, że liczy lat 70, rodem z Płońska w województwie płockim, jest synem kupca i sam zajmował się handlem, od lat trzydziestu kilku przemieszkuje w Warszawie, gdzie ma liczną rodzinę i gdzie ostatniemi czasami, porzuciwszy interesa, służył przy tutejszym szpitalu żydowskim. Jesienią 1819 r. udał się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, za paszportem wydanym przez Dyрекcyę policyi i poczt w ministeryum spraw wewnętrznych w Warszawie; podróż odbył drogą na Odesę i Konstantynopol do Jerozolimy. Na zapytanie: „w jakim celu?“ odpowiedział: „aby modlić się.“ Na zapytanie: „co widział godnego uwagi po drodze i w Jerozolimie?“ odpowiedział: „zajęty jedynie modlitwą do Boga, nie troszczyłem się o żadne inne sprawy.“ Dodał, że zamiarem jego jest w razie odzyskania wolności udać się na Wielkanoc z powrotem do Jerozolimy; a na zapytanie: „co go do tego powoduje?“ odpowiedział: „aby tam umrzeć.“ Na zapytanie: „kiedy oczekiwany jest Mesiysz?“ odpowiedział: „czas jego przybycia nie jest określony; może on zjawić się każdej chwili.“ Podobnież na zapytanie: „czy epoka zjednoczenia się (Żydów w Jerozolimie) jest bliską?“ odpowiedział: „nie można jej określić, lecz musi ona nadejść niezadługo.“ Na dalsze zapytanie: „jakich sposobów zamierzają użyć Żydzi dla przyspieszenia tej epoki?“ odpowiedział: „modlitwy.“¹⁾

Z podobnych wyników śledczych trudno było przy najlepszej nawet, t. j. najgorszej, woli wyprowadzić chociażby upozorowanie wyroku potępiającego przeciw staremu więzionemu Żydowi. To też, nie oglądając się na Nowosilcowa i jego raport denuncyacyjny, W. Książę Konstanty w połowie marca 1822 roku w doniesieniu do Aleksandra z powodu zakońzonego śledztwa w sprawie Płońskiego, wyraził opinię, iż „nic nie zdaje się prze-

1) Protokół indagacyjny Płońskiego, Warszawa, 25 lutego 1822. Między innymi przy indagacji zwrócono szczególną uwagę na pochwycony list niejakiego Berka Moszkowicza, Warszawa, 4 grudnia 1821, do jego dziadka Salomona Lewity do Palestyny, gdzie prosił go specjalnie o pomoderlenie się na grobach proroków celem odwrócenia od Żydów Królestwa Polskiego pociągnięcia ich do służby wojskowej. Z tego powodu zadane zostało Płońskiemu następujące subtelne zapytanie, № 155: „Pourquoi les juifs ont tant d'horreur pour le service militaire? N'y seront — ils pas obligés, s'ils veulent conquérir la Terre Sainte?“; odpowiedź Płońskiego brzmiała: „Ce service pêche contre la religion et empêche de célébrer le Sabbat. La conquête de la Terre Sainte se fera sans qu'on ait besoin d'autre secours que de l'assistance de Dieu.“

mawiać przeciw niemu;“ dodał przytem, że Płońskiego tymczasem zatrzymuje w więzieniu, oczekując względem wypuszczenia go na wolność osobnej decyzji monarszej.¹⁾ Jednakowoż, jak się zdaje, więzień nie doczekał się już uwolnienia. Z pewnej dochowanej wskazówki, pochodzącej od dozorca biur wielkksiążęcych w pałacu Brühlowskim, zdaje się mianowicie wynikać, że Płoński wkrótce potem tamże życie zakończył.²⁾

III.

Żyd polski, jak każdy inny, po dziś dzień odmawia modlitwę, obrócony twarzą ku Wschodowi. Religijne oblicze żydostwa jest skierowane w tamtą stronę, w stronę Ziemi Świętej, Syonu. To jest w naturze rzeczy. W naturze samej wiary i pierwotnego jej źródła, spoczywającego w owej ziemi „miodem i mlekiem płynącej.“ Jest w naturze późniejszych dziejów tułającego się po obczyźnie, cierpiącego ludu, spozierającego z utęsknieniem ku miejscom minionej szczęśliwości z głębin ciemni średniowiecznej. To też właśnie w średniowieczynie, w tej samej epoce, kiedy świat chrześcijański wyruszał na wyprawy krzyżowe po zdobycie Grobu Zbawiciela, powstały w świecie religijnym żydowskim najpiękniejsze i najtęskliwsze natchnienia poetycko-modlitewne o utraconym i bogdaj corychlej powróconym Syonie. Niejedna taka średniowieczna perła żalu i nadziei pozostała do dziś dnia w zwyczajnym modlitewniku żydowskim; i do dziś dnia w naszych bóżnicach żydowskich w uroczyste święto dnia Sądneho powtarzane są słowa: „w roku przyszłym oby w Jeruzolimie.“ To wszystko jednak, rzecz prosta, pozostało w dziedzinie czysto religijnej, zwłaszcza od ustąpienia najnieznośniejszego średniowiecznego ucisku, w szczególności zaś tam, gdzie masy ludności żydowskiej osiadły na stałe i zżyły się zupełnie, jak mianowicie

¹⁾ W. Książę Konstanty do Aleksandra I, Note particulière, Varsovie, (3) 15 mars 1822.

²⁾ Zeznanie Dominika Basioka przed Komisją Rozpoznawczą, Warszawa, 23 maja 1831: „... osadzony był w odwachu przy tymże pałacu (Brühlowskim) w areszcie Żyd wieku podeszłego, ...co to za jeden był, za co cierpiał areszt i z czyjego rozkazu, nie jest mi wiadomem; w kilka lat potem (chronologia tego zeznania jest nieściśła) przestałem go widywać i słyszałem od ludzi, że żyć przestał.“

w Polsce. Wśród tych mas, związanych odtąd tysiącnie mi z tym krajem, gdzie trwały i spokojną znalazły gościnę, gdzie z biegiem czasu kilkanaście ich kolejno pokoleń rodziło się, żyło i pomarło, gdzie swojską stała im się ziemia i powietrze, stosunki i ludzie, dola i niedola, lecz zarazem głęboko przywiązanych do swego wyznania, zatracając się szybko, wreszcie faktycznie ze szczerem zanikła wszelka myśl realna jakiegoś zbiorowego wysiedlenia się i powrotu do nieznannej azyatyckiej krainy, lecz dochowała się, karmiona ustawnym zgłębianiem Starego Testamentu i pism talmudycznych, żywa pamięć i przywiązanie idealne do owej starożytnej kolebki i źródła wiary.

Takim też był i pozostał istotny charakter „syonizmu“ ogromnej większości, niemal powszechności Żydów polskich. We współczesnej dopiero dobie, na miejsce tej zrozumiałej i sympatycznej tradycji czysto wyznaniowej, mającej swoje korzenie wyłącznie w żarliwej religijności tłumów żydowskich w Polsce, zostało sztucznie podstawione i przeszczepione z Zachodu, z krajów ze znikomą stosunkowo ludnością żydowską, zapoczątkowane tam nasamprzód przez politykujących wielkomiejskich Żydów niemieckich, najmniej będących Żydami, będących naprawdę kosmopolitami, nienależących naprawdę do narodowości żadnej, wyzwolonych zupełnie od wszelkiej z religią żydowską wspólności, nie posiadających żadnego zgoła czucia z dziejowym rozwojem, pojęciami i potrzebami mas żydowskich polskich, niedorzeczna i szkodliwa fikcja syonizmu materialnego, geograficznego, nacyonalistycznego, ku największej krzywdzie zarówno żydostwa, jak i kraju naszego. Owóż rzeczą jest ze wszech miar nauczającą i godną uwagi, że ta fikcja fatalna, zanim została podniesioną do godności przewodniego hasła politycznego przez dzisiejszych swych apologetów żydowskich, znalazła sobie wyraz wcześniejszy w denuncjatorskiej pomysłowości Nowosilcowa, i że zanim weszła w użycie dla obłąkania licznej rzeszy nieświadomych Żydów naszych w dobie obecnej, stała się powodem prześladowania pierwszego rzekomego „syonisty“ polskiego.

SZYMON ASKENAZY.

HANKA.

Nachodzi Św. Józef. Imieniny męża Reny. Hanka nie może się wymówić od obiadu, który młodzi Zanieccy wydają w „Grand Hotelu,” na osób dwadzieścia.

Wiosna, dzień śliczny, ciepły, śniegu już ani śladu; jadąc przez Proreznę czuje Hanka błogość jakąś, tak jej lekko! dobrze! Nowa wiosna! nowe nadzieje!...

— Ale czego? czego?

Tyle razy już były, tyle razy rozwiały się bez urzeczywistnienia.

Eh! co tamte! teraz nowe idą! nowe zupełnie! One spełnić się muszą!...

Więc doświadczenia przebyte nic nie znaczą?

Po co truć się tą myślą, gdy dziś tak ślicznie!

Hanka uśmiecha się.

Dobrze jej! dobrze!...

— Czegoś ty taka wesoła? — bada Oleńka.

— Nie wiem sama! to zapewne ten dzień cudny — takby chciała skakać, śpiewać na całe gardło, coś jej piersi rozsadza.

Eh radość życia! radość życia!

Podjeżdżają do hotelu, pierwszą osobą, którą spotykają na korytarzu, jest Karol.

Pomaga paniom zdjąć peleryny i kapelusze, zdaje relację kto jest już, kogo brakuje, przytem spogląda na Hanke pokornym wzrokiem psa, obawiającego się pana swojego rozgniewać. Lecz Hanka nie zwraca dziś na niego najmniejszej uwagi, cała przetrawia radość tę, którą z sobą przyniosła.

Przy przekąskach znowu Karol obok niej się znajduje.

— T...tak m...mnie ciężko było t...tych p...parę dni—mówi jej.

— ?

— Szuk...kaałem p...pani wszędzie!

— Tak się panu towarzystwo moje podobało?—pyta Hanka i mruży ironicznie oczy.

— J...j...ja dla p...pani t...t...tylko siedzę w K...kijowie.

— To bardzo smutne! zasiewy buraków mogą na tem ucierpieć, a o ile wiem dbał pan zawsze o opinię dobrego gospodarza.

— Co m...mnie wsz...szystko tamt...to obchodzi!

Ona udaje, że nie słyszy.

— Niech mi pan kawałek łososia nałoży—zagaduje.

On skwapliwie łapie jej talerzyk, by jaknajprędzej usłużyć, przyczem zrzuca widelec na jej jasną sukienkę; widelec zaczepia o koronkę i rozdziera ją.

— Ach jaki pan niezgrabny — wyrzeka Hanka i odsuwa się od niego niechętnie.

Siada pomiędzy Zygmsiem, a Arturem. Z drugiej strony Zygmsia Lineczka, Hankę więc Artur musi bawić, lecz on się zrobił takim dobrym gospodarzem, tak tylko ciągle myśli, to o żonie swojej, to o swym majątku i ulepszeniach gospodarskich, że Hanka pomimo, iż lubi go bardzo, nie umie znaleźć odpowiedniego do rozmowy z nim tematu.

— Oh jakie nudne te patryarchalne zebrania — myśli przyglądając się ciemnej salce. Kiedyż będzie koniec!—takby chciała użyć trochę powietrza w ten piękny dzień; tam poza murami temi—słońce jasne, ożywcze, tu czuje się jakby w wąskiej klatce, brakuje jej oddechu.

— J...jaka p...pani dziś nie...niedobra—podchodzi do niej Karol, gdy nakoniec wstali od stołu.

— Już ta zmora jest—rozpacza dziewczyna. Staje się szorstką, chce go zniechęcić do siebie, ale on nic nie mówi, tylko patrzy bezradnie przez łzy.

— Podła jestem, co on mi złego zrobił, czego tak nad nim się znęcam? gadałam bardzo dużo o zrozumieniu, litości i tym podobnych pięknych rzeczach, a sama o sto mil od nich jestem—uświadamia sobie, i wstyd jej za siebie.

Panie Karolu.

— S...słucham!

— Czy pan naprawdę ma mnie za taką złą?

— J...ja, j...ja p...proszę p...p...pani n...nie... nie nigdy!—jaka się jeszcze bardziej wzruszony tonem jej Karol, nagle pochyla się i całuje jej rękę na poręczu fotela leżąca. Hanka chce ją

wysunąć, ściągnęła brwi groźnie, już ma wybuchnąć, gdy jej spojrzenie pada na postać Karola skurczoną, jakby przygniecioną jakimś wielkim ciężarem, czy bólem ogromnym, potem na twarz jego raptem rozradowaną i nie odbiera swej ręki.

— Biedak! — myśli — co mu życie da, temu biednemu Quasimodzie, skazanemu na wieczną samotność?

Nie jemu myśleć o kochaniu!

Nie dla niego rośnie cudny miłości kwiat...

Nie dla niego złote sny szczęścia!...

Ani bicie serca ukochanej.

Ani jej uśmiech czarowny.

Zamknięta mu ta kraina!

Matka natura macochą dlań była, a on co jej zawinił?

Gdy inni tyle mają, on nic mieć nie będzie.

Biedny chłopak o twarzy wstrętnej, a kochającym sercu.
Biedny!...

*

*

*

— Moja Haneczko, poszłabyś za Karola—bada ją Rena któregoś dnia.

— Ja?

— No tak! On troszkę nieładny, ale porządny chłopak, złote serce, dobra partya, i taki zakochany!

— Bez miłości nie pójdę—mówi Hanka wolno, kędyś w okno patrząc.

— Dzieciak jesteś, Haneczko.

— Cóż zrobić!

— Każda z nas twierdzi tak samo i inaczej kończy najczęściej.

— I to jest źle!

— Właśnie najlepiej: gdy mąż kocha żonę, a żona dzieci, stara prawda, ale dobra.

— Nie, nie!

— Rozmawiałam z twoją mamą i ona jest za tem.

— Ależ za nic! za nic!

— W takim razie nie trzeba go było bałamucić!—cedzi Rena przez zęby.

— Ja?—otwiera Hanka szeroko przerażone oczy.

— Moja kochana, nie udawaj naiwnej, myśmy wszyscy nie byli ślepymi!

— Co ty opowiadasz!—rzuca się Hanka—ja? ja bałamucić?... kogo? ha... ha... ha...—śmieje się spazmatycznie.

— Po co te komedye, przecie nie ja jedna na to zwróciłam uwagę.

— Ależ, Reno, zastanów się, czy to możliwe?

— Widzieliśmy fakt! I pozwól sobie powiedzieć, tak nie postępują uczciwe dziewczyny!

— A!

Hanka patrzy na nią przez chwilę wyniośle i wolno podnosi się z krzesła.

— Zdaje mi się... nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, zatem żegnaj—przemawia spokojnie i wychodzi.

— Co za niesprawiedliwość—jęczy w swoim pokoju—jak można było jej to zarzucić, jej, co przez litość!... ach, jakie wstrętne, jakie okropne! jacy ludzie nędzni, marni, jak umieją obrócić wszystko według woli własnej, jak zbrudzą to, czego dotkną, każdą biel śnieżną, jak kłamią nieszczernie!

I czuje niesmak i gorycz ogromną i mękę bezsilności zarzucenia im w oczy ich ohydy!

I pozostaje długo na łóżku, nieruchoma, przygnieciona ciężarem wyrządzonej jej krzywdy, z nerwami drżącymi, ze smutkiem, który się na nią wali, a ona go odeprzeć nie może...

I za co? za co?

*

*

*

Hanka jest ogłuszona uderzeniem obucha w piersi, chwilami staje, niiby raptownie ze snu zbudzona i zastanawia się:

— Czy prawdziwie ją? ją? Hankę to spotkało i wszyscy, nawet matka, ją posadzili? Ją, co wzrokiem sięgała wyżyn jakichś, co pragnęła prapiekna ideałów, co szła na szczyt wysoki, w gmach kryształowy? i zdaje się, jak gdyby jakaś obślizgła ręka gada ciągnęła ją w dół czarny, błotnisty, ciemny, jak krater wulkanu!

A nie, nie!—woła przez zaciśnięte zęby.

Jakie to podłe! jakie podłe!

I rozwiewa się jej wiara w szlachetność natury ludzkiej...
 I prawdę przez nich głoszoną.
 I dobro!

Bo przecież ona dobrze czynić chciała!

A teraz pali ją ręka od pocałunku tego Quasimody, oblewa ją zimną wodą, zerwaćby chciała skórę całą z tem piętnem piekącym. Ach, zerwać!

Dawniej, kiedy była jeszcze małym dzieckiem, ogromnie lubiła się stroić, nowa sukienka była jej marzeniem, ale gdy tylko pierwsza, choćby niewidoczna prawie, zjawiała się plama, suknia traciła dla niej urok cały, stawała się czemś nieznośnem, czego się brzydziła i pragnęła się pozbyć jaknajprędzej. I nie pozwalali jej!

To ją męczyło!

Okropnie przykre uczucie, ścigające ją wszędzie. Małą była jeszcze dziewczynką, ale dobrze pamięta. I teraz doznaje uczucia podobnego.

Tylko stokroć silniej...

I boleśniej!...

I znowu łzy!

*

*

*

Lato przeszło bezbarwne, pomnożyło o jedną skalę ton szarego tła życia, i miało dnie pełne słońca, i uśmiechy zórz porannych, i rozkwit kwiecica, i miało grozę burz i błyski nieba, i ciszę parną. I wszystko to razem zlało się, spłynęło w jeden akord bezmiaru popolitości.

— Czy już dla mnie nic niema? — pytała Hanka chwilami i znowu zapadała jakby w odrętwienie.

Parę miesięcy prawie przeleżała w hamaku czytając. Hamak znowu zawiesili w tym samym kłębie sosnowym, znowu tak samo sypały się i żywicą pachniały igielki, tylko Hanka już zaprzestała w nich szukać tej, gdzie miłość zakłęta czeka szczęśliwca, co ją podejmie.

Wszystko, co było—minione... dalekie!...

Było, czy nie?

Czasem jeszcze coś w sercu zakolacze,

Coś drgnie, coś się poruszy,

I znowu cisza martwa.

Rezygnacya powoli rozwiewa misterną koronkę skrzydeł swoich.

— Życ z dnia na dzień, czy to nie najlepsze?

*

*

*

Późną jesienią Hanka jedzie do dziadków. Przyjeżdża w mroźny ranek, taki sam śliczny, jasny, jak ongi... Dawne dzieje! tak dawne, że już ich pamięć zanikła prawie, pokryta nowymi warstwami myśli, wrażeń, uczuć i obojętności.

Więc po co było chcieć czegokolwiek, kiedy wiadomo, iż to minie, a nawet wspomnienie się zatrze?...

Bezsens poprośtu!

I spokojnie przejdziemy obok tego, przed czem dawniej dusza drżała, wzruszymy litośnie ramionami i spytamy siebie: czyż to możliwem było?

A dusza zasypia snem ciężkim.

Hanka od dwu lat nie była w Rohotnej, lecz nic tu się nie zmieniło, „tylko się ku starości nieco pochyliło“—mówi dziadek.

— Widzisz, Haneczko, stary pan, stare rzeczy, stary porządek!

— Ależ dziadzio świetnie wygląda!

— At, trzymamy się jakoś.

Po obiedzie Hanka zostaje z babką, gdyż stary Kotwicz wedle „starego zwyczaju“ idzie się przespać.

— Czy wiesz, Haneczko—odzywa się Kotwiczowa po opowiedzeniu rozmaitych nowinek—że Zdzisław Krzyż zaręczony?...

— A wiem!

— Ale, że zerwał!

— Tak? nie słyszałam!—odpowiada Hanka obojętnie.

— Jest znowu stałym partnerem dziadunia.

— A?

Rozmowa na ten temat się urywa.

Idzie wieczór, jesienna długa szara godzina. Babka różaniec szepcze w kącie salonu, dziadek spaceruje od ściany do ściany, wyrzeka na wiedeński parlament, a Hanka duma.

O czem?

Nie wie sama! nie zdaje już sobie sprawy, nie pyta nawet, odpoczywa! Tak żyją rośliny i—żyją; tak żyją zapewne zwierzęta i—żyją; jeden człowiek się wyrwał... czego?...

Skrzypnęły drzwi od przedpokoju, w jasnej smudze światła od lampy tam zapalanej stoi Zdzisław. Hanka wie, że to on, choć widzi tylko kontur wysokiej postaci. Dziadek go również zobaczył.

— Cóż to, sam jesteś?

— Tam gdzieś za mną człapie się i mój brat. Szacunek pani. Hanka podaje mu rękę.

— Cóż tu u państwa takie ciemności?

— Zaraz zapalą.

I dziadek dzwoni.

W chwilę później snop światła pada na pokój.

— Wieki, panno Hanko!—odzywa się do niej Zdzisław.

— A tak!—odpowiada dziewczyna i przygląda mu się uważnie—to też pan postarzał, broda urosła.

Zjawia się brat Zdzisława, Jerzy, którego Hanka pamięta jako małego chłopca, gdy razem wdrapywali się na sterty ze słomą lub chodzili na grzyby do lasu.

— Czy to pani?—dziwi się chłopak.

— A jak się panu wydaje?

— Nigdybym nie poznał, taka śliczna panna z tej małej piguleczki wyrosła—podziwiał.

— Nie wiem czy mam się rozgniewać, czy za komplement dziękować—śmieje się Hanka.

— Proszę pani, szczerść przedewszystkiem.

— Chłopcy, stolik czeka—nagli dziadek.

— Pani mi będzie szczęście przynosić—zaprasza Jerzy i stawia Hance krzesło obok siebie. Cały czas usta mu się nie zamykają.

Jest bardzo przystojny, z orlim nosem, oczyma dużemi, trochę wypukłemi, wąsikami w górze roztrzepanymi i kędzierzawą ciemną czupryną. Zęby ma duże, białe, jak u młodego psiaka, co chwila widne z za czerwonych warg; ramiona tura, ręce gotowe łamać podkowy. Przy nim brat jego wygląda jak trzcina cienka i wybujała. Zdzisław zbrzydł stanowczo, nosi ostrą bródkę, policzki ma trochę zapadłe, tylko oczy pozostały jednakowo głębokie.

Hanka siedzi naprzeciw niego i myśli:

— Tyżeś to był?

Uśmiecha się.

— Co to było? Jak to było?

Stara się przypomnieć sobie, lecz wszystko się płacze.

*

*

*

— Zagram pani coś ładnego—siada do fortepianu Jerzy, gdy skończyli partyjkę.

— Proszę!

Jerzy wlepia w nią oczy.

„A jeszcze ty kochać nie umiesz.

O moje ty dziewczę figlarne,

Ty jeszcze nie wiesz, co miłość,

To oczy mówią tve czarne!“

Śpiewa. Głos ma miły. Melodya tęskna i on w nią wkłada pełnię uczucia.

„Zapomnieć pragnąłem chwilami,

Mowę serca minionych już dni,

I niby w tobie choć dużąc się,

Z tobą tylko poigrać czasami...“

Hanka przymknęła oczy, stoi bez ruchu oparta o fortepian, w jej sercu coś kołacze, przelewa się jakaś fala powrotna, a Jerzy kończy:

„Igrając, jam serce postradał,

Tyś wiecznie kokietką została,

I niby mnie szczerze kochając,

Tyś jeno wciąż ze mnie się śmiała!“

Obok Hanki staje Zdzisław i powtarza ostatnią strofkę. Ona odsuwa się.

— Widzi pani, jest to moje luźne tłumaczenie—objaśnia Jerzy—oryginał bez porównania piękniejszy.

— Jeszcze coś!—prosi Hanka, by zatrzeć wrażenie, jakie na nią uczyniła pieśń jego.

Jerzy podnosi oczy w górę, jak gdyby szukał natchnienia na suficie. I zaczyna wesołą piosenkę studencką.

„Hej, panowie, przybywajcie, raz, dwa, trzy!
I gazetki przeczytajcie, raz, dwa, trzy!
Są tam wesołe nowinki, wesołe nowinki,
Będzie pobór na dziewczynki! Raz, dwa, trzy.“

Doskonale wybrał, usposobienie Hanki wnet się przemienia, uśmiecha się i:

— Jeszcze coś, jeszcze coś—prosi, gdy skończył.

— Czy pani mnie bierze za gramofon? — pyta chłopak, ale śpiewa jej przez cały wieczór.

*

*

*

Hanka nad maszyną pochylona szyje czerwoną flanelową bluzeczkę. Dziadek rozmawia o polityce ze Zdzisławem, który w Róhotnej jest stałym gościem. To też wszyscy za domownika go już uważają. Do dużej jadalni wkrada się powoli mrok, Hanka spieszy, by jaknajprędzej ukończyć, jeszcze tylko parę ściągów i—nitka pęka.

— Ach! — mruczy, bo, choć dobre ma oczy, nie widzi już uszka od igły.

Zdzisław, nie odrywając się od rozmowy, zapala zapałkę i świeci jej.

— Dziękuję, jaki pan uważny—czyni spostrzeżenie.

Za chwilę kończy i chce, zabrawszy robotę, wyjść z pokoju.

— Do widzenia pani—podnosi się Zdzisław.

— Et, zostałeś jeszcze, zagralibyśmy w pikietę — próbuje namówić dziadek.

Chłopak się zgadza i siedzi do późna.

Będzie się ze mnie śmiał kochany braciszek — mówi potem Hance—powiedziałem, że tylko konia trochę przejadę, by się nie zastał.

Dziewczyna uśmiecha się grzecznie, lecz jednocześnie myśli:

— Co on chce przez to mi wytłómaczyć? — i miałyby ochotę wzruszyć ramionami.

*

*

*

Obaj bracia Krzyczowie prawie codziennie, choć na minut parę, zjawiają się w Rohotnej.

Któregoś dnia Zdzisław proponuje polowanie z chartami.

— Niema tu konia ujeżdżonego.

— Ja pani przyprowadzę.

— Nie wiem, co babcia powie na ten projekt.

— A, moja złota, jesteś pełnoletnią, rób co chcesz, ale ja tego nie pochwalam!—odzywa się Kotwiczowa z naciskiem.

Hanka wie, że babka nie lubi Zdzisława.

— Więc jedziemy, panno Hanko?

— Nie!

— Ależ, proszę pani!...

— Mój Zdzisiu, Hanka jest rozsądną dziewczyną i wcale niema ochoty, byś jej karku nadkręcił.

— Cóż to pani postponuje tak moją opiekę.

— Ech! twoja opieka!—wzrusza lekceważąco staruszka ramionami.

— Ba! ja i panią potrafiłbym się zaopiekować, gdyby pani zapragnęła konno się przejechać.

— Mój kochany, nie błażuj!—odpowiada urażona Kotwiczowa, a Hanka wysuwa się do gabinetu, by nie słyszeć dalszego ciągu utarczki, bo rażą ją słowa i ton Zdzisława.

Za chwilę zjawia się i chłopak.

— Popsowałem całą sprawę, nagadałem niedorzeczności babce pani—mówi żałośnie, a tak chciałem zrobić pani przyjemność.

— O, dziękuję, obejdę się bez niej doskonale — odpowiada Hanka chłodno.

*

*

*

Z Jerzym wkracza jakiś prąd wesołości; chłopiec jest ogromnie ruchliwy, wszędzie go pełno, gra, śpiewa, dokazuje; nawet kiedyś Kotwiczową do mazura porwał, lecz jemu wszystko wolno, jest ulubieńcem staruszki, najwyżej otrzyma dobrotliwym tonem wyrzeczony epitet:

— Ach, ty waryacie!

Hanka przygląda mu się ciekawie, lecz i ją czasem weselem swem porwać potrafi.

— Panno Hanko, niech pani ucieka, będę panią gonił—woła, gdy poszli trochę się przejść do ogrodu.

— Obejdzie się!

— Uwa! to i tak złapię chwyta ją za rękę.

— No, no! puścić zaraz!

— Panno Hanko!

— ?

— Mówmy sobie po imieniu.

— Także pomysł!

— Doprawdy, Haneczko...

— Panie Jerzy, co to znaczy?!

— ...Panno, czemu mi pani nie da dokończyć, jednak ja z panią kiedyś taki „bruderszaft“ wypiję!—dowodzi.

— Dzieciak — myśli Hanka i czuje, że sama przy nim dziecinieje. Tylko, takie usposobienie u niej w jednej chwili znika, ona się zmienia „à la minute,“ jak kameleon, lecz obecność Jerzego wlewa w nią nieznaną dotąd werwę.

*

*

*

Zdzisław Hance coraz bardziej asystuje.

— Co to jest? czego on chce od niej?—zastanawia się i stara coraz bardziej jak mimoza listkami otulić, stara się mrozić chłodem swoim, ale on zdaje się na to nie zwracać uwagi.

— Czy nie widzi? czy nie czuje?

Wiecznie jest obok niej, spełnia najdrobniejsze jej życzenia, prawie je odgaduje.

I Hankę stopniowo porywać zaczyna ta natężona chęć przypodobania się jej.

— Pobawmy się trochę, cóż to szkodzi.

I bawi się. A czas mija, leci i szelestu skrzydeł jego nawet nie stychać.

*

*

*

Hanka idzie na przechadzkę, pierwszy śnieg upadł, na ziemi się ułożył, drzewa olbrzymy owinął. Znowu biało, ogromnie biało i jasno.

Hanka idzie, lecz na nic nie patrzy, tak cała skupiona jest w sobie, pragnie się zrozumieć, obliczyć, więc idzie w dal śnieżną, wśród rozwianych puchów i myśli:

— Co to jest? co?

Czy on ją kocha?

A ona?

Co to znaczy?

Czego on patrzy na nią wzrokiem takim...

Czego ją po rękach całuje?

Czemu ona nie mówi nic?

Było tak: zebrało się parę osób z sąsiedztwa, panowie w gabinecie w karty grali, on był wychodzącym i przyszedł ją bawić. Wziął rękę jej, niby linię życia, co wzdłuż dłoni biegnie, obejrzał i ucałował jej palce. Cofnęła rękę bez słowa.

Nie wie sama, dlaczego poczęła się z nim drażnić, a potem przyglądać kącikami oczu, jakie to na nim czyni wrażenie.

Wzięła papieros od dziadka.

— Niech pani nie pali?—prosi Zdzisław.

— Bo?

— I niezdrowo, i nieładnie.

— Można nie patrzeć, ja nie wszystkich uwagi przyjmuję.

— Racya! przepraszam panią.

Gdy skończyła, wyjął własną papierośnicę.

— Służę pani.

— Nie! dziękuję.

— Czy pani teraz nie bierze, bo „ja“ podaję?

— A jeśli?

Zdzisław wydyma usta, odchodzi i przez całą godzinę, czekając na swą kolej, przygląda się grającym.

Gdy Hanka, podczas partyjki wista, obok Jerzego siada, Zdzisław patrzy na nią z pod najeżonej czupryny niechętnie i smutno. Opowiadał o swej chorobie.

— O pani podobno bredziłem—i patrzy na nią. Hance wydaje się, iż ją bada i nic nie pyta, choćby wiedzieć pragnęła.

— Nie spodziewałem się żyć—kończy Zdzisław.

Kiedyś stali oboje przy fortepianie; kręcili ruletkę.

— Niech pani co zamysli.

— Nie wierzę w podobne przepowiednie.

— Więc ja zamyszę—czerwone to kocha!

— Ależ kocha! kocha!

Zdzisław patrzy jej w oczy.

— Skąd pani wie?

— Ba! słyszałam!—mówi Hanka i odchodzi od fortepianu.

W okolicy niektórzy opowiadali, że on jeszcze nie zerwał ze swą Amerykanką „Miss Amy.“

I teraz przez myśl Hanki suną się te wszystkie obrazki, nie może się połapać, gubi się w chaosie swych wrażeń.

*

*

*

— Panno Hanko chodźmy strzelać do butelek — proponuje Jerzy.

Idą do ogrodu.

— Ciężka strzelba — narzeka Hanka.

— Niech mi ją pani oprze na ramieniu i teraz celuje. O doskonale.

— A jeśli zamiast w butelkę w pana trafię?

— Będzie ze mną kaput! upoluje pani grubego zwierza.

— Szkodaby mi było pana.

— Ot co dobra kobitka! dobre słowo choć rzekła!

— Czyż to ja jedna na panu się poznałam?

Jerzy mruży przekomicznie oczy.

— A ponoć! jestem taki biedny *piccola creatura!*

— Ma pani feblik do mojej braty — uważa Zdzisław.

Hankę razi ten sposób odzywiania się.

— Mam!

— Widzę to!

*

*

*

— Jutro odpust i jarmark w miasteczku—mówi babka Hance — jeżeli chcesz, możemy pojechać do kościoła.

— Ależ i owszem.

Więc jadą raniutko, bo do miasteczka wiorst ze dwadzieścia. Chłodny ranek, a taki śliczny.

Zrazu niebo ciemne, ołowiane, potem coraz jaśniejsze, tylko u dołu, gdzie się z ziemią styka, biegnie pręga sina. Na nią powoli wpada jasność i zabarwia ją liliowo-złotym tonem; teraz wyrrywają się różowe blaski coraz ciemniejsze, coraz czerwieniejsze, aż wkrótce cały szlak tryska krwawą łuną i słońce wschodzi. Na drutach telegrafów mróz wygrywa cudne pieśni, co niby omdlałe dźwięki lutni, niby melodye harfy tajemnicze i nieuchwytnie ulatują w przestworza... Konie prychają radośnie.

— Zdrów, zdrów! — słychać od czasu do czasu głos starego stangreta.

Hanka siedzi cichutko w kącie powozu zaszyta w futra, babka stale różaniec odmawia.

— Kocha czy nie? — duma Hanka.

— Kocha!

— A może nie?

— A ja?

— Nic nie wiem, nic! — szepcze wolno, przykrywając twarz zarekawkiem od wiatru.

*

*

*

Przy wyjściu z kościoła na wschodach spotykają braci Krzycz.

— Panna Hanka właśnie dziś na zapowiedzie dawała — żartuje Jerzy.

— A cóż? ma was dwu do wyboru—śmieje się Kotwiczowa.

— Kiedy babciu obaj panowie już zajęci.

— Jam wolny — mruczy Zdzisław.

— Szkoda, że mi się nie może przydać ta wiadomość.

Zdzisław patrzy na nią pytająco.

— Nie wybieram się wcale za męża.

On wpił w nią oczy swe szare, przejmujące.

— Czy pani umie kochać?

Hanka się śmieje, lecz w śmiech ten wsunął się nieznacznie smutek i dźwięczy żałośnie.

— Ja i miłość to — antypody!

— Niech pani tak nie mówi, gotowa pani zrazić tego, który panią pokocha.

— Eh! im dłużej się żyje na świecie, tem mniej wierzy się w miłość!

— Skąd w pani ten pesymizm?

— Z życia — odpowiada Hanka krótko i łączy się z babką.

*

*

*

Jerzy siedzi naprzeciw Hance przy stole. Składa buzię w ciup i szepcze coś cichutko. Hance wydaje się, iż słyszy wyraz „buzi.“

— Cooo?

— Panno Hanko, taką mam szaloną ochotę.

— Jeśli dobrze słyszałam to — nie brakuje panu śmiałości.

— Bo czego pani mnie bałamuci, kiedym już zajęty.

— Ja pana bałamucę? bogowie! gdzie sprawiedliwość?

Tu Hanka poważnieje.

— Panie Jerzy, czemu my nigdy poważniej nie porozmawiamy?

— Uwa, czego się tej kobiecie zachciało!

Poważniej nieraz rozmawia ze Zdzisławem, lecz on tak arbitralnie swe zdania głosi, tak apodyktycznym tonem, że Hanka choć zaprzeczy, prędko zaprzestaje dyskusji, bojąc się, aby w kłótnię nie przeszła.

— Ma pani ducha przekory no! no! szczególnież ze mną!

— Litości godzien człowiek, o gołębicj łagodności! „Nagroda doskonałości chrześcijańskiej!“

— Niech pani nie szydzi, nie takim zły za jakiego uchodzę, uważam nawet, iż ludzie bezwarunkowo źli nie egzystują zupełnie, ja jestem tylko złośliwy i szalenie prędko.

— Może! nie zastanawiałam się nad tem.

— A?

*

*

*

— Starzeję—myśli Hanka—gorzknieję, stając się typową, starą panną, złośliwą, niezadowoloną ze wszystkich i wszystkiego. Dlaczego?

Czyż już dla mnie wszystko skończone?

I nie żyłam wcale...

W dali coś majączy jeszcze niby płomień dziwny a nieuchwytny, niby ognek błędny o zielonkawym kolorycie, niby motyl co się trzepocze...

— Co to? — wyteęza Hanka wzrok boleśnie.

Lecz owo coś już zagasło i ona go nie szuka, nie docieka co dzień nowy jej przyniesie.

Czasem postawi sobie pytanie.

— Co ze mną się zrobiło? czy to prawda, że miałam kiedykolwiek tyle pragnień, tyle nadziei, tyle marzeń, czy to prawda, że się szarpałam? że się rwała? czy to ja byłam?

Halucynacya!

Rozproszyłam się, a nie żyłam!

I nie będę już żyła, jeszcze parę lat i młodość przejdzie, ukłoni się i pożegna nazawsze!

Więc co mi zostanie?

Wzrusza ramionami.

— Wszystko jedno! tymczasem bawmy się!

I dziwna ta zabawa. Polega na ciągłym pojedynku dwu jaźni, odrzucaniu sobie wzajemnych pocisków i badaniu.

Hanka czyni wszystko, by Zdzisława podrażnić. Siedzi obok niego przy partyjce. On przegrywa szalenie.

— Zmień miejsce — radzi dziadek — może szczęście powróci.

— Nie!

— Co mu radzić, wiadomo — nie zechce — mruczy Jerzy.

— Wierzy pan w szczęścia powrót? Podobno jednak ono „znikome! z wieczystej zagłady na świat nie powraca!“

Zdzisław jest niby pilnie grą zajęty.

— Kapryśne z pani stworzenie — mówi cichutko, a potem ciszej jeszcze — kochane! — i biorąc karty z jej rąk, leciutko ścisła paluszki.

— Ha! ha! ha!

Zdzisław zagryza usta.

— Z czego pani się śmieje? — pyta głośno.

— Z pana — odpowiada dziewczyna.

Żegnają się chłodno.

Babka w starych jakichś rupiecicach wynalazła grę towarzyską „wróżkę.“ Hanka, Zdzisław i Jerzy często ją nakręcają, ot tak, byle czas zabić.

— Panno Hanko, niech pani przeczyta to zdanie—podaje jej kartę Zdzisław.

„Niedość jest kochać, trzeba umieć kochać, trzeba umieć nauczyć kochać!“

— Wspaniałe! tylko jako heroglif egipski jest dla mnie!

— O, pani trzeba zaimponować, by się podobać!

Hanka nań patrzy przeciągle.

— Kto wie, może pan ma rację.

W tej chwili Jerzy zasiada do fortepianu.

„Ach jeszcze ty kochać nie umiesz!“

Hanka zwabiona powstaje i zbliża się do niego.

„Igrając jam serce postradał,“

Wtóruje głos Zdzisława.

„A jeszcze ty nie wiesz co miłość!“

I oczy jego są w Hanke utkwione.

W jej sercu znowu coś drgnęło, leciutko, leciutko; na cichą wodę stojącą listek upadł, lecz drobny listek tylko, więc jeno powierzchnię zamącił, wewnątrz cichem zostało. Hanka otrząsa się.

— Panie Jerzy zna pan cygańską piosnkę:

„Zechcę pokocham, zechcę zapomnę!“

— Znam!

— Proszę zagrać.

Parę taktów i Hanka zaczyna nucić półgłosem:

„Jam jak wicher wolny sam!

Życia radość dana nam!“

*

*

*

— Czy my się tylko bawimy? — powraca pytanie.

— Tak! tak!

Szukamy wrażeń ulotnych, chwilowych, poczem rozjedziemy się i zapomnimy; każde pójdzie drogą swoją.

Tak być musi!

Tak! tak!

Hanka biega w wielkiej alei aż do umęczenia, gorączkę ma w duszy.

— Dzień dobry pani.

Przed nią Zdzisław.

Ona wita się i chce do domu zawrócić.

— Chodźmy dalej — prosi chłopak.

Idą. Śnieg chrzęści, drogą przesuwają się sanki chłopskie z chrustem, w dali bielą się dachy chat, snują siwe smugi dymów.

— Przegrała mi pani „słodkie słowo“—przypomina Zdzisław.

— *Va banque!*

On śmieje się.

— Już przestało być słodkiem.

— Cóż ja panu powiem innego? nie mam składu słodyczy.

— Niech pani mi jedno, jedyne powie.

Hanka miałaby ochotę rzec „Amy,“ lecz boi się go urazić. Noc zapada, zimowa noc chłodna i długa, płynie niby cichy cień smutku przestworzem...

— Wracajmy!

— Jeszcze chwilę!

— Późno już!

Lampy płoną we dworze. Uderza kłębem ciepła fala.

W przedpokoju Zdzisław pomaga Hance zdjąć żakiet.

— Zimne łapki—mówi i bierze delikatnie w swoje. Całuje.

— O jak głupio! jak głupio! — jęczy w duchu Hanka.

*

*

*

— Słuchaj Hanko, zdaje mi się, że ty kochasz któregoś z tych dwu chłopaków — dopytuje dziadek.

Hanka się śmieje.

— Oba dziaduniu!

— Nie wykręcaj się, powiedz prawdę.

— Ach najświętszą, o ile w jej egzystencję się wierzy!

— Bo widzisz, Jerzy poczciwy chłopak, ale tak jakby już zaręczony, od małego po słowie jest ze swoją kuzynką, a tanten bałamut, szerszeń i w dodatku kto wie, czy już zdrowy zupełnie!

— Niech dziadzio będzie spokojny, nie kocham nikogo, nie uniem! — szepcze dziewczyna.

O jak smutno to brzmi, jak rozpaczliwie!

Lecz dziadek nie rozumie.

— Dobrze moje dziecko — gładzi ją po twarzy.

— Dobrze?!...

Hanka siedzi na tym samym foteliku, na którym kiedyś siedywała, czekając na Niego.

— Czy on pamięta te czasy?

Nie mówią o ten nigdy. Ich stosunek znowu zmienia się trochę, mniej już się kłują słowami, nawet kiedyś powiedział: „iż wolałby się powiesić, niż widzieć ją płaczącą“ i „że jest jej najszczęśliwym przyjacielem.“ Lecz ona uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Dlaczego mi pani nie wierzy?

— Tyle rzeczy mówi się często bezmyślnie!

Nazwał ją jeżem.

— Bo?

— Pamiętam, gdy po raz pierwszy jeża zobaczył, byłem zachwycony—jaki śliczne stworzonko!— chciałem pogłaskać, jeż kolce nastawił, zraniłem się. Do pani też nie można się zbliżyć.

— Więc po co próbować?

Milczenie.

Hanka uważa, jaki Zdzisław, z ludźmi wogóle, jest szorstki i złośliwy, sam przyznaje, że o nich lubi „w minusach“ się wyrażać, i to właśnie dawniej ją raziło, teraz — bawi więcej; o bo dziś i ona na świat sceptyczniej spogląda.

— Zresztą mnie nikt nie oszczędza, a ja tak zwany „czarny charakter“, czemu mam kogokolwiek oszczędzać, niech pani wspomni Prometeusza Eschylosa, już on rzekł: „Litowałem się nad ludźmi, przeto nie ulitowali się nademną.“ A ja nie mam ambicyi być lepszym od innych, lub przez tłum kochanym, sam sobie wystarczył powinienem — dowodzi Zdzisław.

*

*

*

Hankę co wieczór zapędzają do kart. Babka się irytuje.

— Że też wy bez tego zielonego stolika nie możecie egzystować!

Hance stale sprzyja szczęście.

— Proszę pani, jadę zbierać składki na kościół, byle panna Hanka choć raz przegrała — obiecuje Zdzisław Kotwiczowej.

— Eh ty bezbożniku, zmów sam choć raz pacierz pobożnie!

— Po co mam się trudzić klepaniem, kiedy wiem, że mię pani wyręcza!

— Nie bądź zanadto dowcipnym! — i staruszka szybko wychodzi, żeby jeszcze czegoś nie posłyszeć.

— Czy ten chłopiec ma jakie uszanowanie dla wieku?—mruży niechętnie.

— Panno Hanko, seryo pani w miłość nie wierzy? — bada Zdzisław.

— Nie zadaję sobie teraz nigdy tego pytania, po co mi ono, gdy wiem z góry, że nie znajdę na nie odpowiedzi?

— Przyjdzie czas, kiedy pani pokocha i szczęśliwy ten co zdoła sobie taki skarb pozyskać.

Hanka ubawiona się śmieje.

Podczas gry Zdzisław zagarnia jej pierścionek.

— Proszę oddać.

— Dam pani inny.

— Wolę mój!

— Nie kiciu! — odpowiada on ledwo dosłyszaniem szeptem.

Znowu w sercu Hanki zatrzepotało wzruszenie.

— Dlaczego? po co ten niepokój? jedno takie drobne słówko!

Może zaczyna kochać?

Może staje u wrót jakichś zamkniętych, u progu rzeczy bezimiennych, nieznanych sobie?

Miłości jasna, tyżeś to?

Czy ty to owiana purpurą szat królewskich?

W wieńcu z kwiecica o narkotycznym zapachu?

Z czarą o podwójnym napoju?

Z uśmiechem szczęścia czy bólu?

We mgłach tęsknoty i rozpaczy?

Z potęgą uczucia —

I odrodzeniem?

Ty?

Milcząca otchłań do odpowiedzi wzywa.

Napróżno!

— Nic nie wiem! — pulsuje w niej myśl.

Nagle czuje, jak Zdzisław ją bierze za rękę. Ciepła fala płynie od serca po szyi i policzkach, aż pod ciemne włosy HANKI.

— Nie gniewa się pani na mnie?

Ona nie rozumie, patrzy nań przez chwilę rozszerzonymi oczyma i przypomina sobie:

— Ach prawda! — nie powinien był do niej słowa tego powiedzieć, prawda, prawda!

— Gniewam!

— Panno HANKO!

W tej chwili Kotwicz na niego spogląda. Staruszek jest w doskonałym humorze. Niewiadomo skąd przyszła mu na myśl eks-narzeczona Zdzisława.

— Czy masz jej fotografię? — dopytuje.

— Nie! — rzuca Zdzisław — oddałem Harasymowi.

HANCE krew uderza do głowy.

— Więc to tak jest?

Tak się ceni pamiątki?

Tego co było przez jakiś czas treścią życia?

Ach jakie to wstrętne!

— O nie mój panie! — ja ciebie kochać nie mogę, o nie! nie! — powtarza sobie.

I znowu w jej duszy cisza śmiertelna!

*

*

*

HANKA czyta „Dumania nad zagadnieniami człowieka,” Góturowskiego.

— Zamiast tych bzdurstw weź lepiej „Drogę pobożnego chrześcijanina” — radzi babka.

— Owszem, mogę i tamto przeczytać.

Bierze wogóle wszystko, co jej pod rękę popadnie, męczy się nieraz nad zrozumieniem, ale czyta wytrwale.

— Jakie nam słabe dają początki—biedzi się — wychowanie bez żadnego systemu, wykształcenie bez planu i żadnego niewzruszonego dogmatu, a potem rzucają nas samych, zmuszonych iść omackiem na ślepy traf wśród ciemności, gdzie ciśnie się na nas wszystko, tłoczy, gdzie myśl musi pracować ciężko, nieraz nad siły, i mąci się, gdy czuje, że wala się gmachy wierzeń, na

wiotkach podwalinach oparte, że iść trzeba naprzód, a tam pewnego nic: jeno —

Tęsknota do absolutnej wolności.

Trwoga pozaziemskiego jutra.

Gehenny zwątpień...

Nicości...

I idzie się najczęściej bez dogmatu żadnego.

To najrozpaczliwsze!

Zdzisław jest bardzo inteligentny, ma dar słowa, czasem tłumaczy Hance to, czego ona dobrze pojąc sama nie mogła. I powoli zaczyna na nią wpływ wywierać. Hanka stara się zeń otrząsnąć, ale już nie potrafi. Zdzisławowi jednak nie mówi nic, przeciwnie, usiłuje mu zawsze indywidualność swoją okazać, a ukryć głęboko swe myśli prawdziwe i wrażenia.

Gdzie jej szczerłość, w którą wierzyła?

On czasem prosi wtedy.

— Niech pani spojrzy na mnie.

— Co?

— Nic!. Chciałem po oczach pani coś poznać.

I niewiadomo poznaje czy nie, nie dzieli się wiadomością.

Są chwile, w których Hance się zdaje, że ten Zdzisław, którego ma przed sobą, a tamten... z owych czasów minionych... to coś zgoła odrębnego; inny człowiek! Tamten przepadł, rozpląnął się w nicości, lub może wtłoczył się w ramki jednego z wielu „romansików“ dawniej przez nią czytanych i z nich wychyla się rzadko, bardzo rzadko, jako rozwiana mara, jeden z najbezbarwniejszych bohaterów, gdyż i życie najczęściej — więcej zwykłe, ciche i szare od najbardziej szarego opisu swojego w powieści.

Więc i Hance to, co przeżyła, wydaje się mdłym i bezbarwnym. Czasem pyta:

Czy to nie był sen tylko?

Taki męczący, co swobodnie odetchnąć nie dawał, gniótł nieznosnie ciężarem swoim, a po obudzeniu zostawił jeno jeszcze resztki niepokoju i taki był nikły i niewyraźny, jak wszystko zwykle gdy już — minęło.

A Zdzisław nieznacznie, krok za krokiem zbliża się do niej, ona go bada ciągle, kącikami oczu nań spogląda i przyznaje, że nie poznać nie umie. Czasami zdaje się już, już... gdy Zdzisław, niewiadomo pod wpływem czego, czyni raptowne jakieś psychiczne *salto mortale* i Hanka znów gubi się w domysłach.

— Zapewne i on szuka rozrywki, goni za dreszczem odrobinię subtelniejszym i bardziej przejmującym w tej szarzyźnie tła życiowego. Pewnie!...

— Więc pani miłości nie uznaje — mówi jej — zatem za mąż pójdzie, ot tak — byle wyjść! Miłość wedle pani pojęcia to bzdurstwa niegodne wyższej duszy, to funt fig, dobre dla dorastających podlotków i gołowąsych gimnazystów, pani stoi ponad temi marnemi uczuciami ludzkimi, one mogą się tylko u nóg pani przelewać, a panią, „pół-boginię!“ na ich widok ogarnia znudzenie, zniechęcenie, wstręt, gniew! O tak, pani nigdy kochać nie będzie!

Hanka uśmiecha się smutno bez słowa.

*

*

*

Któregoś dnia Krzyczowie przywożą do Rohotnej Kazia Lisowskiego. Hanka mile go wita, przypominają sobie dawne dzieje, kiedy jeszcze tak różowo, po dziecinnemu na świat spoglądali. Przez cały wieczór siedzą razem. Podczas kolacyi dziadek pyta Zdzisława co mu jest? czemu taki smutny? Chłopak wygląda zmieszany.

— Czyżby był zazdrosnym? — stawia sobie Hanka wahając pytanie. Eh! nie! co mi chodzi po głowie!

Po wieczerzy siada przy rozstawionym stoliku do kart i kredką bazgrze jakieś kabalistyczne znaki.

— Kiedy mi pani owo przegrane słodkie słowo powie? — siada obok niej Zdzisław.

— Jeśli pan chce koniecznie, napiszę.

— Proszę.

— Miss A..

On wykrzywia się.

— *Tempi passati!* — odpowiada — to jednak wyszło trochę gorzko.

Wygląda tak jakoś biednie, jak pies obity i skulony. Hance robi się go żal.

— Przepraszam pana, nie chciałam urazić — odzywa się miękko.

— Nie zachowuję uraz — cicho szepta Zdzisław.

A Hance po mózgu się kręci głos nieznośny jak brzęk utrupionego owadu:

— Żle się bawimy, źle się bawimy.

Zdzisław wyjmując kredkę z jej rąk i pisze:

„Ko...m panią.”

Do serca jej ktoś niby zimnym palcem dotknął, przez plecy dreszczyk przebiegł, nerwowym ruchem ściera białe litery ze stolika i odchodzi.

Jerzy przy fortepianie śpiewa swą ulubioną piosenkę, a ona zaczyna bawić Kazia, choć ją to męczy, bo zamęt straszny czuje w głowie.

*

— Moja Hanka sensu niema twój flirt ze Zdzisławem, cała okolica ten tylko zajęta—czyni babka uwagę, siadając wieczorem na jej łóżku — a z tego nic być nie może.

Hanka morskie swe oczy na staruszkę zwraca.

— Dlaczego?

— Czy ty nie widzisz, że on chory kompletnie? zresztą to nie partya dla ciebie! my o kim innym dla ciebie marzymy.

Hanka znowu musi powtórzyć to, co już tyle razy mówiła:

— Bez miłości nie pójdę za mąż,

— Moja kochana lepiejby było kamień młyński do szyi sobie przywiązać i do wody odrazu się rzucić, niż wyjść za niego. Już nawet nie mówiąc o zdrowiu jego i ciągłym szpitalu w domu, ale charakter, posłuchaj co o nim opowiadają...

— Może się zmienić, a podłości żadnej nikt mu zarzucić nie może—rzuca Hanka przez usta ściśnięte.

— O tem niema mowy; ale nie rozumiesz, jak ważną rolę gra delikatność w życiu domowem. Największe smutki i niepowodzenia łagodnie przechodzą, gdy są wzajemne ustępstwa, a ten chłopak to uosobienie despotyzmu; jeżeli on dla mnie starej kobiety, przyjaciółki jego matki takim jest szorstkim i niegrzecznym, pomyśl, jakim będzie dla żony, piekło jej zgotuje...

— Moja babciu — woła Hanka, która czuje, iż nerwy jej wszystkie drzeć zaczynają — przecie ja nie mam najmniejszego zamiaru...

— Chwała Bogu dziecinko, to też nie trzeba tego bałamucić.

— Dobrze babciu! tak mi się spać chce—kłamie na przódce, byle tylko przerwać rozmowę.

— Tak, babka ma rację, pora przerwać zabawkę, która się zadługo przeciąga i zanadto ją przejmuję. Łatwo jej przyjdzie, ona przecież go nie kocha! ani on!

A jeśli? miga myśl.

Czemu ona nie może zrozumieć? czemu? Ach jakie zmęczenie ją ogarnia, całą duszą rwie się do spoczynku, już myślała, że go dosięgła, a tu znowu w niej jęczy wszystko, i znowu taka samotna, i ludzie ci, co obok niej codziennie się przesuwają, nic nie widzą, nic nie rozumieją!

I on też pewno się bawi!

Bo właściwie czego ona chce? Co wyrwało ją z odrętwienia? dlaczego?

Czy ona pragnie go kochać, czy boi się tej miłości, o której dawniej tak marzyła?

Wpatruje się w duszę własną.

Leży z rękoma na piersiach skrzyżowanymi, z oczyma w sufit wbitemi.

Biedny ptak, co wlecze swe skrzydła zranione i chciałby je ułożyć wygodnie, by go jaknajmniej bolały, lecz czuje, że już nie ma władzy nad niemi.

Więc one krwawią.

*

*

*

Hanka wstaje z szalonym bólem głowy.

— Pójdę trochę się przejść—mówi babce i idzie wałęsać się po ogrodzie, bo się boi nowych pytań, nowych uwag.

Lecz te nie mijają jej.

— Haneczko, proszę cię na słówko—rzecze dziadek po obiedzie prowadząc ją do swego gabinetu.

Ona idzie ledwo nad łzami panując.

— Czy Zdzisław się stara o ciebie?

— Nie wiem dziaduniu.

— A któż będzie wiedział dziecko?

Łagodny dźwięk głosu dziadka bardziej jeszcze rozstraja jej nerwy.

— Ja nie wiem!

— A więc ja go zapytam! będzie mi tu dziewczynę cymbał bałamucił, narażał tylko na obmowę, natrę ja mu uszu! — sapie staruszek.

Hanka wybucha płaczem.

— Mój dziadziu to ja sama, doprawdy on nigdy... on nic... Chyli się do ręki staruszka.

— Dziadunieczku jedyny, zostawmy to czasowi.

— Dziecinko, czy ty go kochasz?.

Hanka szlocha z twarzą w dłoniach.

Kotwicz gładzi jej włosy, radby pocieszyć ukochaną wnuczkę, ale nie umie, więc tylko powtarza:

— Kochasz!

— Nie wiem! zostawcie mnie, nic nie pytajcie, niech sama siebie zrozumie, niech się zastanowie. Odrobinę czasu mi dajcie!—żebrze wśród łez.

I dziadek zmartwiony obiecuje wszystko uczynić wedle jej woli.

*

*

*

Hanka przez kilka dni nie widzi Zdzisława, Jerzy sam przychodzi. I ona o nic nie pyta.

— Dowiedział się zapewne o plotkach i nie chce jej narażać, bardzo szlachetnie—myśli dziewczyna i porywa ją smutek ogromny. Siada w kąciку na fotelu, uśmiecha się niby, gdy do niej Jerzy zagada, lecz niema sił zapanować nad tem, co w duszy jej się łamie.

Nie kocha jej!

Przekonała się teraz! i tak jest, jak tego pragnęła. Jezu, Jezu dlaczego on jej nie kocha!

A Jerzy darmo ją chce rozbawić.

Cały wieczór siedzi smutna i cicha. Nie skarży się, bo nawet nie umie, ile razy życie uderzy ją silniej swem szarem skrzydłem rzeczywistości, ona bardziej zamyka się w sobie i pielęgnuje prawie ból swój.

Tak mija tydzień cały, aż Hanka otrząsa trochę swe przygnębienie i idzie brodzić po śniegu.

Odwilż, błoto! Posuwa się z trudnością drogą, w wielką kałużę zamienioną. Coś ją ciągnie.

Nagle w dali punkcik czarny. Przybliża się, olbrzymieje i — przed nią Zdzisław.

— Wyjeżdżałem — mówi — odprowadzałem Kazia do Kijowa.

— A?

— Wie pani, on się okrutnie w pani zakochał — patrzy jej w oczy badawczo — co pani na to?

— A no nie!

— Co mu pani odpowie, gdy się oświadczy?

— Będzie czas nad tem się namyślić.

— Ależ pani niezdecydowana! a w Jerzym mogłaby się pani kochać?

— Co się panu stało? czy pan sędzią śledczym?

— Panno Hanko, niech mi pani szczerze powie.

— A więc nie! lubię go tylko bardzo.

Hance się zdaje, że Zdzisław mówi cichutko:

— Ukochana!

Ciemnieje. Hanka wraca do domu. Zdzisław odprowadza ją do furty ogrodowej.

— Nie zajdzie pan?

— Dziś nie mogę, robotnicy czekają z wypłatą.

— A zatem dowidzenia.

Podaje mu rękę i on do ust ją długo przyciska.

Hanka czuje dotknięcie miękkich wąsów.

Ucieka!

— Boże! Boże! czy my się tylko bawimy, czy tylko ćwiczoną ręką za struny serca targamy dla chwilowego wrażenia, a prawdziwie się porwać uczuciu nie damy?

Przymyka oczy, widzi zanadto wyraźnie postać Zdzisława i źrenice jego w siebie wpatrzone, na rękę czuje muśnięcie wąsów. Mimowolnie dłoń przykładła do twarzy rozpalonej.

*

*

*

Hanka maluje słupy pod kwiaty, wynajduje najrozmaitsze roboty, byle tylko czemkolwiek zabić czas, który żółwim pelza krokiem.

— Byle nie myśleć! nie myśleć o niczem!

— Haneczko, przyprowadzam ci pomocnika — wchodzi dziadek ze Zdzisławem.

Ona nie odpowiada, tylko nogi drżeć poczynają.

Dziadek bierze gazetę, idzie się położyć, oni sami zostają.

Rozmowa się nie klei, każde z nich powie słów parę i milknie, nakoniec Zdzisław odzywa się jakby do siebie:

— Tak! ten, co sobie panią zjedna, wygra wielki los na loteryi życia.

— Cóż to znowu?

— Luźna moja uwaga. Jednak jaka pani niedomyślna, nieraz tyle rzeczy chciałbym pani dać do zrozumienia, a pani nie!

— O co panu idzie? — szepcze Hanka i jednocześnie uczuwa złość za niedorzeczność pytania.

— Idzie mi bardzo! więcej, niż pani może przypuszczać! — a po chwili — Czy pani już kiedy kochała?

— Nie dokuczać mi! — prosi Hanka.

— Dlaczego pani nigdy nie chce mi się dać poznać, kryje swą duszę przedemną. Ale tak! prawdę mi pani kiedyś powiedziała, iż nawet nie rozumie miłości, tak, tak, niema co się ludzić.

— Ma pan rację.

On rzuca się.

— Niech pani nie potwierdza, czy pani nie rozumie, jaką mi przykrość tem sprawia!

Milczenie. Hance smutno szalenie, w krtani spazm dusi, on siedzi bez ruchu, wpatrzony w kwadrat posadzki. Podnosi głowę.

— Ostatni raz kwestyę tę wszcząłem, widzę, że ona panią zanadto męczy, lecz może za jaki rok... jeżeli pani wtedy inaczej myśleć będzie!...

Hanka nie rozumie i nie stara się zrozumieć słów jego, sam ton głosu ją przygnębia, czyni heroiczny wysiłek i odwraca rozmowę.

W błyszczących kafelkach pieca przegląda się zachodzące słońce, barwi je na wszystkie tęczy kolory i promienie drgają, ukazując bajeczne, znikome fata-morgany.

— Wszystko mija! — myśli Hanka.

Zdzisław coś mówi do niej jakimś głuchym głosem, ją żal straszny porywa.

— Po co takie uszucznienie życia, odarcie z uroku?

Dotyka palcem jego rękawa.

— Jeśli zrobiła panu przykrość, przepraszam.

On zrywa się, chwyta jej rękę, oczy mu błyszczą, jakby rozradowaniem wielkiem, nagle wypuszcza rękę jej ze swoich i wybiega.

Za chwilę wraca. Hanka stoi jeszcze w tem samym miejscu, o stół oparta. Zdzisław na paluszkach jej łagodnie dłoń swoją kładzie.

— Jak mię pani nie zna! to nie słowa, tylko przekonania pani przykrość mi sprawiają.

Wszedł dziadek, babka, zaczęła się banalna rozmowa o naj- obojętniejszych rzeczach, a Hanka znowu sobie rady dać nie może z myślami swemi. Jakiś chochlik złośliwy zgarnia je, tak, iż zdaje się w mózgu pusto, strasznie pusto, potem wysypuje je wszystkie razem i one huczą znowu, jak rój pszczół w ulu na wiosnę.

W ucho Hanki raptem wpada Zdzisława głosem wyrzeczone zdanie: „Nie ożenię się nigdy!“

— To chwała Bogu — mówi babka — jedną nieszczęśliwą żoną będzie mniej na świecie.

— Czego ja tu siedzę? — odzywa się półgłosem Zdzisław do Hanki.

— Żeby dostać szklankę herbaty, bo zaraz wieczerza! — odpowiada już uspokojona dziewczyna.

*

*

*

— Kocham go! — mówi sobie Hanka i dziwi się, jak ona mogła tego nie widzieć tyle czasu.

Przymyka oczy i wszystko w niej i poza nią śpiewa chórem wciąż jedną melodyę, jedno wciąż słowa powtarza.

— Kocham, kocham — łopocze trwożnie serce.

Zegar, co wisi na ścianie, szepcze tajemniczo: — kocham!

W piecu wesoło trzaskają polanka: — kocham, kocham!

Dziadek coś mówi — kocham!

Przez okno wpadają promienie słońca, układają się jej na twarzy, wsuwają złote nitki we włosy ciemne, całują zamknięte powieki. Słodycz w jej żyłach się przelewa, powtarza sobie jedno po drugim to wszystko, co jej wczoraj powiedział, i marzy...

Hej cudne sny!

Przez jedną noc bezsenną zatraciła siebie taką, jaką była przez ostatnie lata, odrodziła się nanowo, i praca ta wykonała się tak szybko i lekko, iż nie uczuwała jej wcale.

Z popielisk powstały wizye szczęścia, o którego istnieniu już dawno zwątpiła, i jak cudne kwiatów jaskrawe kielichy, wyłaniają się nowe nadzieje, nowe pragnienia, nowe światy całe.

A miłość stoi przed nią uśmiechnięta, kryształową pełną czarę do ust jej chyli.

Chwila jeszcze i Hanka w nią wargi zanurzy.

Jedna chwila!...

*

*

*

Kulig! Kilka sań wesoło się sunie po wyslizganej drodze. Dzwonki dzwonią. Jak okiem sięgnąć widna olbrzymia równina bez kresów, skrząca i zamrąta w śnieżnym całunie.

Hanka w malutkich saneczkach ze Zdzisławem. Babka z ukosa, niechętnie na to patrzyła, lecz ona udała, że nie widzi i pojechała.

Chłopak jest dziś ogromnie wesoły, co chwila się śmieje, próbuje nałożyć jej ciepłe rękawiczki, które mu na trzy palce ledwie wchodzą. Dokazuje!

A Hankę ogarnia nieokreślone uczucie gniewu.

Czy on teraz udaje? czy wtedy?

Czy on ją kocha?

Jakaż nieznośna ta niepewność, i ten brak odwagi, by prosto, śmiało postawić pytanie.

Ona, co kiedyś tłumi przenikać chciała, teraz nie może poznać myśli jednostki. Zaiste, wielką jest ludzka potęga!

Wsuwa głowę w kołnierz futra, aby on oczu jej nie widział, bo musi mieć nieskończenie smutne oczy i zmęczone...

Położyłaby mu głowę na ramieniu i wtedy musiałyby przyjść wielki spokój, ukojenie i odpoczynek, lecz wie, że tego nigdy nie uczyni.

Cóż znowu? — wychowana w ścisłym przestrzeganiu kano-nów „co wypada lub nie,“ rozumie, jak podobny postępek srogo byłby przez wszystkich sądzonym, zresztą on sam — coby o niej pomyślał?

— To niemożliwe! trzeba zatem siedzieć spokojnie, tulić niby od mrozu głowę w ramiona i zмагаć się z sobą dalej tak cicho, by nikt tego nawet nie dojrzał.

A sanki lecą i Zdzisław wciąż się śmieje!

*

*

*

Hanka stoi przed wielkiem lustrem, czesze swe długie, prawie czarne włosy. Na łóżku leży przygotowana biała sukienka. Kotwiczowie zaproszeni są do Iwańki do Krzyczów. Dziadek we fraku już spaceruje po wszystkich pokojach i narzeka na guzdranie kobiece, lecz Hanka nie spieszy się. Pragnie uczesać się jak najstaranniej, ubrać jaknajlepiej, by ładnie wyglądać. Babka w czarnym aksamicie i koronce na głowie, pomaga jej. Przytem rozmawia.

— Mówiła mi Krzyczowa, że Zdzisław znowu rozpoczął korespondencję ze swoją amerykanką, podobno ona zgodziła się czekać na niego lat parę, lecz on ma się znowu gorzej. Głupia dziewczyna—wzrusza ramionami staruszka—co ona w nim widzi? dobrowolnie toczy nóż na swoją szyję.

Hanka nic nie odpowiada, a babka dalej ciągnie:

— Wy! panny, jesteście strasznie głupiutkie, wydaje się wam, że będziecie umiały lepiej z mężami waszemi postępować, niż wasze matki i babki, że miłość dopiero od was weźmie początek, potrafi przemienić najgorszy charakter i życie wasze popłynie spokojnie równem korytem! Bajki! Miłość przejdzie i wtedy przekonacie się dopiero, jakieście się myliły, ale same musicie sobie palce przy tym ogniu przysmalić, bo w zarozumiałości waszej młodzieńczej, nie chcecie wierzyć doświadczeniu starszych, co was nauczyć pragną, oszczędzić wam walki niepotrzebnej...

Tu dziadek stuka do drzwi.

— Moje panie, już od godziny konie czekają.

— Zaraz, zaraz, a to w ukropie kapany!

W chwilę potem gotowe są już zupełnie. Hanka do przedpokoju wychodzi w futrze i w białym kapturku, z pod którego świecą ciemne oczy w smych obwódkach. W milczeniu przechodzi droga. Hanka ma usta zaciśnięte, zaniknęła jej w maskę obojętnego znieczulenia.

— Co za głupi sentymentalizm w niej? on tamtę kocha, a nią się bawi? dobrze, o cóż chodzi, i ona mu pokaże, że tylko śmieje się z niego. I ona potrafi być zimną, kokietką, na każdym kroku szyderstwem kłuć. O! on jej nie zna jeszcze. O nie...

Omylił się, jeżeli mu się zdało, że ona biernym pionkiem w jego rękę będzie...

— Byłe tylko ładnie wyglądać!—tę jedyną chęć wynosi z labiryntu uczuć i w przedpokoju u Krzyczów, gdy zdejmuje futro, czas dłuższy w lustrze się przegląda.

Jest trochę blada, usta białe prawie płaczą, choć kąciki są równe, nie wykrzywione cierpieniem, pół uśmiechu jeno do nich, pół bólu przywarło, lecz oczy błyszczą wspaniale, naciera trochę policzki dla nadania cerze kolorów i wchodzi do salonu.

Wita się swobodnie ze wszystkimi, śmieje, tańczy bez przerwy. Kokietuje Jerzego i innych chłopców.

Zdzisław siedzi sam ogromnie smutny. Spogląda na niego.

Cały przymus wnet z niej opada.

— Co mu jest? — usiłuje odgadnąć.

Pod koniec wieczoru on zbliża się do Hanki.

— Pisał do mnie Kazio, pytając o panią.

Ona milczy.

— Może pani chce, bym go sprowadził?

— Ależ i owszem.

— Co za flirciarka z pani — w głosie niechęć brzmi.

— Zabiera się pan do studyowania mojej duchowej istoty?

— Na podstawie własnych słów pani wybudowałem sobie gmach o jej charakterze!

— Kruchy gmach! lecz ciekawam.

— Pomiedzy dwiema myślami o flircie i Hersem zastanawia się pani, choćby—nad wpływem jednostki na ogół, lub epoki napoleonowskiej na rozwój poczucia wolności.

— Ha! ha! ha! — śmieje się Hanka — to nie przeszkadza, że flirt lubię i zapewne dlatego mam pańskie łaski—szydzi.

— Bo pani jednej tylko wszystko wybaczam, za pobłażliwym jestem dla pani.

— I to jedyna, dodatnia strona pańska, patrząc z mego punktu widzenia.

Pojedynek rozpoczyna się z nową siłą. Hanka jest ze Zdzisławem szalenie wesoła, zalotna, żartuje, sprzecza się; on usta wydyma, lecz odplaca najczęściej podobną monetą.

— Jak żyję nie spotykałem równie przekornej osoby—dowodzi—przekonałem się, iż pani zawsze na złość mi czyni. Teraz już wiem, jak mam postępować.

Minę ma wściekłą.

— I w gruncie na co cała ta komedia?—zastanawia się Hanka, lecz dalej tonie w tym labiryncie.

A on ją znowu po rękach całuje, korzysta z pierwszej lepszej okazji, znowu śpiewa w oczy jej patrząc:

„Igrając jam serce postradał,
Tyś wiecznie łokietką została?”

— Tak, pani nigdy miłości odczuć nie potrafi, ze strony pani gra jeno być może—mówi, a Hance się zdaje, jakby mu w głosie drżała gorycz i zniechęcenie — nawet uważałem, jak, pomimo swej zdolności do analizy, pani nie zdolna rozumieć takich odcieni jak — kochać i kochać się.

— Stanowczo widzę, że mię pan obrał za cel swych studyów psychologicznych.

— Staram się poznawać ludzi, z którymi obcuje, dążeniem naszym jest, mieć wszystko wytłómaczonem... lecz nad panią nie zadawałem sobie specjalnej fadygi!

Chwilę czeka, a potem kończy:

— Bo mi w głębi duszy tkwi przekonanie — wszystko na nic! — widzi pani, jestem kawałem filozofa. Zobaczyłem, że nie przeskoczę, więc darmo sił nie rozpraszam... No, dość tego tematu, dałem sobie słowo nigdy panią tem nie nudzić i znowu zacząłem. Lecz teraz to już po raz ostatni, wkrótce ze mną będzie kłapa!...

— A toż co nowego!

— Nowego nic, stare suchoty.

I Hanka dowiaduje się, iż on podobno prawdziwie ma się gorzej. Czyni to na nią przygnębiające wrażenie, zastanawia się coby ona czuła, gdyby wiedziała, że jest już na śmierć osądzoną, i życia ma tylko na pewien czas oznaczony. Czy ona bałaby się śmierci?

Pamięta niegdyś, kiedy koń ją nosił i śmierci pewną była, nie czuła lęku żadnego! Tylko—niechby ona przyszła cicho i nieznacznie, bez bólów żadnych, jako sen niosący odpoczynek po bezcelowym trudzie żywota.

Tak ona! lecz Zdzisław?

Tyle jeszcze energii, tyle wiary w siebie, nawet egoizmu i uniłowania własnego ja odczuwa w nim Hanka, że męką dlań musi być myśl, iż wszystko to na nic, iż przed nim stoi posepna konieczność, Ananke bez serca w piersi, sfinks nieodgadniony, po za którego uśmiechem duma chytra noc zgonu, a jego młodość, siły, niezucyżte jeszcze porywy i chęć życia rozplyną się, zaginą, jakgdyby nie istniały zupełnie.

— Lecz może temu on sam nie wierzy? nieraz ludziom najtrudniej we własne słowa co do własnej osoby uwierzyć? Boć przecie i ona jeszcze nie może dać wiary zupełnej tym jego zdeklarowanym suchotom? A choćby je nawet miał? Taki młody jest, młodość mu sił może użyczyć do zwalczenia choroby!

Co jej się roilo po głowie? dlaczego miałyby go mieć za skazanego...

Nie, nie! on wyjdzie, wyjść musi, inaczej... Ach jakie straszne, jakie okropne... jak ona nawet o tem mogła myśleć spokojnie!...

Boże, mój Boże! nie daj mu umrzeć, nie daj!

I Hanka klęka, wyciąga ten sam różaniec, który już niegdyś na jego odmawiała intencję, i znowu powtarza:

„Abyś zdrowie jemu raczył wrócić Panie!“

„Ojcze nasz...“

*

*

*

Hanka wraca do Medówki.

Ze Zdzisławem skończyło się już wszystko.

Ostatecznie co miało się skończyć? kiedy właściwie nic nie było. Jej przez chwilę się zdało, że go kochała, jemu? jemu? o nim nie nie wie...

Zapewne podobała mu się, może też trochę się łudził, zatem z obu stron było znowu jedno złudzenie więcej, a po niem jeszcze jedno pęknięcie w jej sercu, lecz, że człowiek to zwierzę ogromnie żywotne, więc...

Tu Hanka ramionami wzrusza. Co tam z życia robić tragedję, kiedy ona rzeczywiście nie istnieje; są wprawdzie nieraz smutne i przykre na razie rzeczy, ale do nich człowiek się ogromnie łatwo przyzwyczaja! Tak i jej pożegnanie ze Zdzisławem.

Jechał z nią. Rozmawiali długi czas wesoło, choć Hanka czuła rosnące rozdrażnienie. W końcu nerwy zawołały „dość już,“ i uznała walkę z niemi za niemożliwą. Położyła się zatem na ławce wagonu i milczała.

Podał jej swoją czapkę pod głowę.

— Zgniecie się.

— Nie, nie kiciu!

— Nie trzeba tak mówić, panie Zdzisławie.

— Jaka pani wrażliwa, każdy ton trochę fałszywy razi panią.

Wziął jej rękę w obie swoje i trzymał. Nie odbierała mu. Szalona cisza spłynęła w jej duszę, umilkły nawet myśli wszelkie, naprężone nerwy do snu się układły, miała wrażenie, że nie ona tu leży na tej kanapce, lecz istota jakaś nieskończenie lekka, powiewna, która nie czuje ciężaru własnego.

A cisza trwała.

Nagle on mówić począł.

— Pani szczęśliwa, nie zna buntów ducha, kiedy uczucie walczy z rozumem, to jest męka... a jeśli rozum zwycięża — serce cierpi... Widzi pani jestem skrzypiącem drzewem, nie pociągnę długo...

Chwilowa pauza, a potem:

— Pani?... niech się nauczy nazw kwiatów... to pani pasuje... tylko to...

Hanka nie może skupić uwagi, głos jego dochodzi do niej z oddali, czy też ona pokryta jak skorupą, pancerzem znieczulenia, przez który słowa przedostają się z wysiłkiem.

On rękę jej sobie po czole przesuwając, a potem do oczu przyciska. Dziewczyna czyni nieznaczny ruch, jakby cofnąć chciała, lecz wnet myśli:

— Niech!... co mnie...

— Ale on dłoń jej już puszcza. Wstaje, opiera się łokciem o szybę i patrzy w dal tę:

„Gdzie zmierzch siedzi mroczny, a siny...

Tam gdzie noc siedzi u niskich progów.“

Ćmi papieros po papierosie.

— Nie powinien pan tyle palić — odzywa się Hanka.

— A!... i pani nie wierzy w zdrowie moje!... To nie!... rozdrażniony jestem.

Znowu cisza.

Konduktor przechodzi przez wagon, poprawia świecę w latarce, płomień światła jaśniejsze leje blaski wokoło, tylko głowa Zdzisława ginie w cieniu od zielonej firanki, z boku latarki zawieszanej.

Chłopak rzuca papieros, siada, wysuwa ręce. Hanka udaje, że tego nie widzi. Przymyka oczy.

— Proszę o łapkę.

— Nie powinnam! — zdaje sobie sprawę, lecz nie ma sił odmówić.

— I to pan twierdził, że jestem przekorna! — usiłuje się uśmiechnąć.

— Czy pani myśli, że ja nie rozumiem jaką to łaską z pani strony? Wiem, jak samolubnie postępuję nadużywając jej, przykrość pani sprawiam... ale to jedyne... co mi wolno...

Hanka znowu oczy przymyka bez odpowiedzi, niezdolna obudzić się z odrętwienia, a pociąg dalej mknie w przestrzeń czarną, a czas nigdy niestrudzony nie zwalnia lotu ani na chwilę.

— Pohrebyszcze! 15 minut. — Woła głos jakiś za okienkiem.

Zdzisław wzdycha, podnosi się; tu krzyżują się pociągi i on wysiąść musi.

— Panno Hanko; już! — szepcze.

Wyciąga obie ręce, ona machinalnie obie swoje podaje, więcej nie pamięta, czy do ust je podniósł, czy tylko uściśnął, nic nie wie, wie tylko, iż w głowie jej strasznie huczało.

Wyszli na korytarz. Stoją jeszcze przy drzwiach.

Na peronie pusto. Kilka latarń oddalonych od siebie słabo oświetla stacyjny budynek. Hanka czoło przycisnęła do szyby. Zdzisław z zarekawka wyjął jej rękę i gładzić zaczął leciutko.

— Czy bardzo wielką przykrość pani sprawiam?

— Nie — krztusi ledwo przez ściśnięte gardło.

— A gdyby panią... w usta... pocałować?

Od szyby zimnej chłód idzie, przesuwają się wolno przez ramiona, aż pod serce Hanka i mrozi krew całą.

— Nie poświęciłaby się pani... wiedząc, że komuś większą przyjemność tem robi... niż sobie przykrość?

Ona leniwie zwraca twarz ku niemu.

— Mnie tylko mąż pocałuje! — odpowiada poważnie.

— Więc... nie? nie?

Hanka przecząco głową wstrząsa i znowu na peron spogląda. Zdzisław chwilę oddycha ciężko i głośno.

— Co ze mną się dzieje, wszystko burzy się we mnie.

A ona lodowato spokojna. Poczwała, jak obcy są sobie, jak każde z nich patrzy jeno w duszę własną.

— Proszę pani, nawet Żydzi nie parują araba czystej krwi z dychawicznym wozowodą. — Głos mu drży.

— Trzeba coś odpowiedzieć — myśli Hanka.

— Nie rozumiem.

— Rozu... mie... pa... ni dobrze...

Ten dźwięk jeszcze ją przesładuje, okropnie nieznośny.

Po co on do niej tak mówi? Czego chce? Czemu z niąjechał i nie idzie już sobie?

Jęknął dzwonek.

— Niech pan wysiada.

— Jeszcze czas!... Panno Hanko, niech mię pani nie ma za bałamuta.

Poddaje jej tę myśl, bo obecnie sama niezdolna do sformułowania żadnej.

— Tak o panu słyszałam.

— A ja na to zasługuję?! — nie można poznać, pyta, czy twierdzi.

— Po co pojechałem? przedtem możeby pani nie pomyślała tego o mnie.

Dzwonek trzeci.

— Żegnam panią.

— A niech pani futro włoży, ze stacyi jadąc, niech się pani nie zaziębi.

Stał na asfalcie peronu w kręgu światła i kłaniał się.

Minęli go.

Hanka wraca na miejsce swoje, kładzie się i zasypia. Szary świt ją budzi. O brudne szyby wagonu, fala za falą, biją strumienie deszczu, po szkle spływają z szelestem; wichur z furią tłucze o ściany, posyła jęk za jękiem w przestworza; podnosi się dzień chmurny.

I ta rozplakana natura wrywa ją z odrętwienia, działa na nią podniecająco, każdy fibr w duszy drgać poczyna i żałość ogromna serce jej tłoczy. Nad łzami nie umie zapanować, łka zgarbiona, bezradna, lecz bez buntu, przytulona do poręczy kanapki, łka podjeżdżając do stacyi, gdy wynoszą jej pakunki i wszyscy oglądają się za nią, łka jeszcze w budzie powozu, a wiatr policzki wnet suszy.

Hanka w domu wpada w wir. Jest Oleńka z mężem i małą córeczką. Paula przed miesiącem za męża poszła i z pierwszą wizytą poślubną do ciotki przyjechała.

Wydaje się ogromnie zakochaną, nic się nie zmieniła, zawsze jednakowo wesoła i Hankę porywa swym śmiechem.

Czas ich pobytu przechodzi w gorączkowym rozbawieniu. Hanka niema chwili wolnej na rozmyślanie. Urządzają się ciągle kuligi, tańce, zbiera się sąsiedztwo, Witek zaręcza się przytem z Julcią Zawiejską, więc nowy szereg zabaw, mówek, toastów. Szampan płynie obficie. Tak mijają dwa tygodnie. To niewiele—lecz dla Hanki wydłużają się tak, jakby wiekiem były, i gdy po wyjeździe gości, kiedy już tylko z Oleńką zostaje, zwraca się znowu myślą w przeszłość, widzi, że ona odsunęła się gwałtownie i Hanka spogląda jeno na nią, jako na blade widmo, na jakiś okrucz z zaledwie przeczutej wielkości.

Czasem rumieniec ją oblewa.

— Jak on śmiał do niej tak mówić?—ale pytanie to jej samej wydaje się fałszywem, sztucznie wywołanem, gdyż do niego nie czuje żalu żadnego. Usiłuje go zrozumieć i coraz bardziej gmatwa się w sprzecznych pojęciach, jedna tylko myśl jasna wypływa — Nie kochał jej!

Nie! to nie była miłość! ona miłość inaczej przedstawiała sobie. Jako uczucie potężne, jako zrozumienie duszy ukochanej bez słów, bo słowa męczą jeno, jako harmonię wielką... niczem nie znąconą... Tam tego nie było!... I razi ją teraz brak zobopólnej szczerości, dziwne — ona nigdy taką nie była? więc dlaczego? Zapewne on, o ile czasem przypomni sobie ten epizodzik, taki nikły i blade, pomyśleć o niej musi mniej więcej podobnie: zimna kokietka, bez serca, flirtująca dla zabawki z pierwszym lepszym! — I ostatecznie może będzie miał rację. Radził jej kwiatami się zajmować, uważa ją za niezdolną do życia rzeczywistego, nie wierzy w nią, lecz i ona nie wierzy już w siebie, lata całe jej przeszły na czczem deklamowaniu o rozmaitych pięknych rzeczach, nieudolnem pozowaniu na wyższą duszę, gdy była właściwie jedną z tych, „co skomlą u stóp ołtarzy o swe osobiste szczęście“ i z niego nie poświęciłyby ani kropli nikomu, ani z siebie nie zdołałyby uczynić wielkiej ofiary. Nie ludzi się, poznała siebie nakoniec, choć trochę późno...

A jednak dlaczego tak się stało, gdy kiedyś czuła w sobie tyle wzniosłych porywów? gdy dobrowolnie poszłyby sama na całopalenie?

Dlaczego?

Nikt nie umiał wyzyskać jej chęci i ona sama nie umiała.

A przecie ongi paliły się w niej ognie ideałów wielkim płomieniem, chciała światu całemu nieść dołą dobrą i nie umiała się nawet wziąć do dzieła. I ludzie ją zrazili, więc ona, małego ducha istota, odsunęła się od nich, choć nie pogardziła tłumem, ani pragnęła mu swej wyższości okazać, lecz stał się jej obojętnym. I wtedy jej własne „ja“ poczęło się wysuwać na plan pierwszy, zapragnęła szczęścia dla siebie, wokoło go nie znalazła a w sobie nie szukała, nie znała drogi...

Zapragnęła ciszy!

I jeszcze jeden spotkał ją zawód, ten pancierz obojętności, co niby ją pokrył, a miał być tak silnym i niewzruszonym, jak owe średniowieczne ze stali — kruchym się okazał, za pierwszym dotknięciem sam się rozleciał.

Miłości!

Ale ona mignęła, raz jedyny wydała się blisko, tuż obok, byle ręką sięgnąć, i, spojrzawszy jej w oczy, zgarnęła szaty swoje powłóczyście, w świat poszła... już nawet pamięć ulatuje...

— Więc nic?

Przez życie goniła sny swoje młodzieńcze, lub może nie goniła! one same przesuwwały się, jak w kalejdoskopie, a ona na nie beczynnienie patrzyła i trawiła się w mglistym dociekaniu metafizycznym.

Dziś powtórzyć może słowa poety:

„Życie me było jałowe, bezpłodne!
Serce me było jako upiór głodne!“

Co jeszcze ją czeka?

Ze strachem spogląda w przyszłość oczyma, do których przywarł uśmiech i ból.

*

*

*

— Jaka śliczna moja Wandulka — zachwycą się Oleńka.

Hanka dnię całe spędza z siostrzeniczką, nie widzi wprawdzie jej piękności, lecz lubi patrzeć na to maleństwo, jak się rozwija, jak próbuje się uśmiechnąć, jak marszczy drobne czoło, niby rozmyślając nad czemś głęboko, jak piąstki zaciska, niby łapiąc nieuchwytnie zjawy jakieś.

— Śliczna! nieprawdaż!

Hanka uśmiecha się.

— To mniejsza, wychowaj ją tylko dla niej samej, a nie dla siebie — odpowiada.

Oleńka ramionami dźwiga.

— Naturalnie! niema nawet o czem mówić.

— Bo widzisz, Oleńko, starzejąc i zdobywając zdolność sądzienia na podstawie własnego życia i życia innych, widzę, jak niewyrobieni duchowo, nieprzygotowani, wstępujemy w świat. I wtedy okoliczności urabiają człowieka, nadają mu charakter, oddziałują na niego, paczą najczęściej. Pomyśl, duszę ludzką powierzać brutalnym rękóm losu? duszę, co jak kwiat cieplarniany, wymaga starannego pielęgnowania, by w siłę wzrosła!

— Tyś, Hanko, zawsze dziwna! wszystko bierzesz tak jakos tragicznie! — czyni Oleńka uwagę i dalej bawi się dzieckiem.

*

*

*

Czyżby ona, Hanka jeszcze rzeczy zanadto tragicznie brała, choć jej się inaczej zdawało?

Kto wie?

Czy dlatego, że ona wikła się bez odpoczynku w sieci bytu, inni mają być tacy sami?

Ona, mgławica!

Prawda — mgławica!

Lecz z mgławic pono słońca powstają, a ona nigdy słońcem nie będzie. W jej duszy niema ani odrobiny zapału, ani krzty nadziei. Wypaliło się w niej wszystko, zastęły popioły, jeśli co przyjść może, to z zewnątrz tylko, w niej samej niema już pragnień żadnych, młodość przechodzi, siły niezużyte, a niepotrzebne, gdzieś się rozeszły, stanęła po za tą granicą, przed którą od siebie oczekuje się jeszcze czegokolwiek — a nie cofnąć wstecz wody rzeki! nie cofnąć!

— Płyńcie fale zapomnienia!

*

*

*

Stefan przyjeżdża.

Podmuch wiosny zwiewa różane zapachy, pieszczotliwie dźwięczy głos słowika, po ugorach tańczy ciepły wietrzyk majowy, ponad siołem płynie, szumią trawy — szumią, kłęb białych motylków nad barwnym kwieciami się wznosi, białe strugi światła na bladą drzew zieloność się kładą.

Wiosna!

Hej nowa wiosna! jedna jeszcze idzie w przestrzeń żywotności pełna!

Stefan jest w Medówce.

Od paru miesięcy gospodaruje już u siebie

Zmężniał jeszcze, opalił się, jest wesół i zadowolony.

— Nie nudzisz się na wsi sam jeden? — pyta p. Zaniecka.

— Eh nie ciociu! tyle mam zajęcia, niema czasu na nudy!

— Powinieneś ożenić się teraz, czas już.

— A tak!

Wieczorem Hanka i Stefan spacerują w księżycowym świetle naokoło klombu.

— Pamiętasz Haneczko tante czasy?

Ona nie odpowiada.

Przez okna salonu płynie melodia ulubionego walca Oleńki *reponse amoureuse!*

A Stefan mówi, opowiada całe swoje życie.

— Przechodził walki różne...

Teraz się uspokoił, stał się już wołem roboczym, cierpliwie znoszącym piasek pod fundament dobra społecznego, przekonał się, iż dziadek miał słuszność, twierdząc, że nie zaczyna się budowy gmachu od wieży, zaciągnął się do pracy u podstaw jego, a mimo to nie uważa się bynajmniej za nieszczęśliwca pokrzywdzonego. Prawda! praca zmuśna, wolna, nieraz przedstawia wiele trudu w przeprowadzeniu jakiejś użytecznej nowości, w wykorzenieniu zaśniedziałego przesądu, lecz za to pomyślne rezultaty ile mu radości sprawiają, jak go zachęcają do wytrwania na raz obranej drodze!

Hanka słucha obojętna, daleka!...

Co ją to wszystko obchodzi?

On dalej ciągnie, aż wreszcie...

— Obraz twój, Haneczko, jasny nie opuszczał mnie nigdy na chwilę, dodawał energii i mocy...

Hanka wyrwana z kręgu swych myśli zwraca ciemne swe źrenice ku niemu.

— Ach po co jeszcze to! po co?

— To niemożliwe—mówi głośno—ja nikomu mocy dodać nie mogę, bom sama jej nigdy nie miała...

— Czyś ty nie widziała, że kocham Ciebie? Tak! dawno, bardzo dawno, od pierwszego dnia, lecz taką chłodną tyś była, nie śmiałem nic rzec, bałem się... Moja Haneczko, wysłuchaj teraz.

I ona słucha. Usiadła na trawie rosą pokrytej, w zielonkawej smudze miesięcznej.

A Stefan dalej opowiada miłość swoją, tęsknotę długą, co do niej go rwała.

Ona słucha, nie przerywa, lecz słowa te nie wywierają już najinniejszego na nią wrażenia; po wulkanicznych wybuchach nastąpiła cisza zupełna, i tylko wznosi się myśl drobna, rośnie, potężnieje, nagłym blaskiem piorunowym świeci. Dojrzewa w niej postanowienie niezłomne. Powstaje zwolna, kładzie rękę na ramieniu Stefana.

— Mój drogi—przemawia łagodnie, prosząco prawie—ty musisz się mylić. Jak człowiek taki jak ty, człowiek czynu kochać może bezużyteczną istotę, steraną w walkach słabych i bezcelowych? Byłabym tylko zawadą ci w życiu, wysysałabym soki, tobie potrzebne, zmarnowałabym zdolności twoje, nic nie zdolne wstrząsnąć mną, napić chęcią do życia; jestem skończonem istnieniem, niepotrzebnem, a zatem, według własnych twych słów, szkolidwem dla społeczeństwa, i wycofuję się z niego...

— Hanka!

— Nie bój się, nic nadzwyczajnego nie posłyszysz. Idę tam, gdzie mi się wydaje największy spokój i cisze osiągnąć. W tych dniach Oleńka jedzie do Rzymu; pojedę z nią osiaść w klasztorze jakim. Jeszcze jedno dziwactwo, jadę do Rzymu, gdy miałabym toż samo w Galicyi, lecz trzeba mi słońca jak najwięcej, zimy nie znoszę. Słońca! ciszy! spokoju! Tu zanadto wiele nitek ze wszystkim mię łączy, nie zdobyłabym tego nigdy całkowicie. Trzeba rzucić zaporę nieprzebytą między przeszłem, a przyszłem życiem, na minionem krzyż postawić i nie tykać więcej grobowców.

*

*

*

I Hanka odjeżdża.

Nic nie pomogły prośby żadne, zakłęcia, nawet łzy matki.

— Czego wy mi odmawiacie jedynej rzeczy, której pragnę jeszcze? To jest egoizm z mej strony, ale tak lepiej, jam niepotrzebna tutaj nikomu.

— Czy ty myślisz, Haneczko, iż tam odgradzisz się zupełnie od spraw ziemskich — pyta Stefan — czy ci się mylnie nie wydaje, że zaśniesz niby snem nieprzerwanym?

— Nie mów nic! nie zniechęcaj mnie, rozumowaniami wasze- mi nie starajcie się zachwiać wiary mej w możliwość odpoczynku, dajcie mi wykonać ten jeden czyn, na jaki się zdobyłam.

I pani Zaniecka ostatecznie się zgadza.

— A co ze mną będzie? — szepcze Stefan.

W Hance na chwilę ocknęła się dawna Hanka. Żal jej się robi kuzyna.

Zbliża się do niego.

— Niema czem się martwić, Stefanku. Doprawdy, wierz mi nigdybym dobrą żoną nie była, nie, to darmo, ani dzieci nie umiałabym wychować, widzę jak nie trzeba, lecz nie wiem jak trzeba, by nie uczynić z nich istot do mnie podobnych. Więc tak najlepiej, wierz mi!

*

*

*

Śliczny ranek słoneczny. Stepową drogą do stacyi dąży parę powozów. Oleńka z Hanką wyjeżdża, rodzina je odprowadza jeszcze na pociąg.

Pani Zaniecka płacze. Hanka siedzi spokojna, smutna bezbrzeżnie, żegna na zawsze to wszystko, gdzie lata jej płynęły.

Na zawsze!

Jak rozpaczliwie dźwięczy wyraz ten!

I będzie miała tam słońce przez resztę życia, lecz kto wie, czy znajdzie to, czego szuka?

Kto wie?

Na stacyi ruch, gwar, pociąg już stoi.

Zadźwięczał dzwonek, ostry gwizd lokomotywy przeciął powietrze, rozpaczliwy płacz pani Zanieckiej zajączał mu do wtóru.

I ruszył pociąg wolno najprzód, jakby z namysłem, pełzając. U okna powiewa jeszcze biała chusteczka Oleńki i złota jej główka bizantyjskiej madonny się wychyla. W głębi za nią Hanka ręce do oczu przyciska, stoi przygwożdżona do miejsca, nieporuszona.

— Co ja robię? co ja robię? — tłucze się myśl po czaszce. W sercu szarpia się, łamιά, druzgocą resztki, co w zakątku jakimś gdzieś się czaiły; lecz to nic! potem musi już przyjść spokój zupełny.

— Musi!

Na pustym peronie Stefan pozostał.

Czeka na pociąg, który go za chwilę w przeciwną stronę uwiezie, do domu!

Do jego domu!

I wróci sam...

Ta nadzieja, która mu przez lat szereg świeciła, rozplynęła się.

Sam wróci do pracy.

Sam!

Gończkowsko chodzi po torze kolejowym, uderzając laską o szyny, a one dźwięczą wesoło.

Łkanie suche bez słów pierś mu rozdziera.

— Po co to wszystko?

Czemu ta dziewczyna sobie życie marnuje?

Czemu marnuje jemu?

Dlaczego nie umiała żyć?

Dlaczego jej nie nauczyli?

Dlaczego?

ORY JELSKA.

KONIEC.

O CYPRYANIE NORWIDZIE.

Próba charakterystyki. Przyczynki do obrazu życia i prac poety, na podstawie źródeł rękopiśmiennych.

Koniec tragedji serca. — Stosunki rodzinne. — Działanie emigracyj-
ne. — Poglądy polityczne i społeczne Norwida.

Dochodzimy do najczarniejszego punktu w tragedji życia Norwida. Zawiodło go wszystko: i kobieta, ukochana najgoręcej, której samo wspomnienie było mu po wielu latach „silniejszym uczuciem, niż miłość, przyjaźń i obecność realna drugich,⁴ którą kochał „dlatego, że to jest kochać;⁴ ¹⁾ zawiodły go literackie i artystyczne aspiracye, niezrozumiane, wyszydzone nieraz; począł więc tracić wiarę w siebie i—zaniechał artystycznej pracy.

Był to zresztą czas, w którym niejednokrotnie o uszy jego obijać się musiało w Paryżu nazwisko Maryi Kalergis, która już nie tylko królowała w najświetniejszych salonach nadsekwańskiej stolicy, lecz odgrywała pierwszorzędną rolę w świecie politycznym, jako wielka przyjaciółka Ludwika Napoleona, ówczesnego prezydenta, mającego być wkrótce cesarzem Francuzów! ²⁾ Jakim-

¹⁾ Z listu do Maryi Trembickiej z Nowego Yorku, 1853. „Chimera.“ Tom VIII, str. 369.

²⁾ Z tych czasów opowiadał mi Stanisław Koźmian anegdotę bardzo znamiennej, która uwydatnia znaczenie Maryi Kalergis, a zarazem jej niezwykły wpływ i przytomność umysłu. Zawsze bardzo liściwego serca, jak niegdyś owym Dąbrowskim w Warszawie, tak teraz interesowała się mocno losem uwięzionych w czasie zamachu stanu. Za jednym z nich posta-

że bólem ścisnąć się musiało serce Norwida, któremu wszystko „szło jak z kamienia,“ gdy dochodziły go wieści o świetnej roli, jaką na europejskiej scenie odgrywała ta „Pani Marya,“ którą on zawsze tak kochał, z którą był niegdyś w tak serdecznej zażyłości, a do której teraz pewnie zbliżyć się nawet nie mógł!

I w tym to, jak sędzę, czasie, przyszła mu myśl dziwna, wyrażona półsłówkami w liście do Maryi Trembickiej, nie noszącym daty, a umieszczonym w tomie VIII „Chimery“ pod № 20. Gdy wymarzone szczęście odbiegło go na zawsze — kto wie, czy nie znalazłby ukojenia w związku z tą wierną przyjaciółką, tą powiernicą, nie zawodzącą nigdy, tą „siostrą“ bardzo kochaną, istotą niezwykłego rozumu i serca? Ona chyba jedna ocalić go mogła od rozpacz. Ratowała go już nieraz, gdy tonął w bezbrzeżnym smutku, ratowała słowem rozumnym a serdecznym; w jej uczuciu, jakby braterskiem, znajdował spokój; czyżby to uczucie w ściślejszym, małżeńskim związku nie mogło mu przynieść zapomnienia i ulgi, naprostować drogi życia? Nazywało się to przyjaźnią, lecz czy nią było rzeczywistość?

I napisał do Maryi Trembickiej:

„Boleść, wiek, doświadczenie, nauczyły mnie, iż *przyjaźń* w moim i Pani wieku jest niepodobieństwem...”

„*Od Pani*—mówił dalej, podkreślając wyrazy—*wszystko zależy—mogę już oddać tylko wszystko, co jest, niestety, mniej niż ma-
to — albo nic.*“

nowiła wstawić się osobiście i bez wahania udała się do potężnego dyktatora Ludwika Napoleona. Przyjęta z największą uprzejmością, przedstawiła mu swoją prośbę za owym więzieniem stanu. Ludwik Napoleon wysłuchał cierpliwie i nie nie odpowiadając, ujął za rękę piękną petentkę, podprowadził do wielkiego zwierciadła i patrząc z uśmiechem na wspaniałą w niem odbijającą się postać, zapytał: „Niech mi pani powie, jaka jest różnica *entre un miroir et une femme?*“ A gdy spytana nie znalazła odpowiedzi, Prezydent, dowcipną grą wyrazu: *réfléchir*, mającego podwójne znaczenie: odbijać się i zastanawiać się, rozważać, różnicę wyjaśnił: „*Le miroir réfléchit toujours et la femme jamais!*“ Teraz Marya Kalergis odparła z miejsca, zapytując o różnicę, zachodzącą *entre le miroir et le Président?* Ludwik Napoleon znalazł się z kolei w kłopotcie i wyznał, że odpowiedzieć nie umie. „A jednak—odparła, śmiejąc się, piękna pani — różnica widoczna!“ I korzystając z takiejże gry wyrazu: *poli*, mającego podwójne znaczenie: polerowany i grzeczny, wyjaśniła: „*Le miroir est poli, et le Président ne l'est pas!*“

Tej zręcznej odpowiedzi kalamburem na kalambur, zawdzięczył podobno ów więzień — wolność.

Oddając więc to wszystko, co mu jeszcze zostało w sercu i duszy na służbę dozonną tej, w której widział wcielenie szlachetności i rozumu, prosił wszakże Norwid o ścisłą dyskrecję:

„Ufam charakterowi Pani, iż w razie przeciwnym ¹⁾ list ten milczenie i płomień ognia strawi.“

Pragnie jednak mieć odpowiedź, bo inaczej, co znów podkreśla: *nie mógłby swobodnym być.* Podkreśla to snadź na oznaczenie, że inaczej nie mógłby mieć swobody ruchów. W odpowiedzi tej była jego jedyna jeszcze nadzieja, która go trzymała na miejscu. „Czekam—kończy—w Zbawicielu ufny, jak zawsze.“

Jaka była odpowiedź panny Trembickiej? nie wiemy. To pewna, że musiała być pełna dobroci, łagodna, rozumna, chociaż „przeciwna,“ odmowna. Musiała mu przedstawiać, że z miłością w sercu i to jeszcze tak gorącą dla „Pani Maryi,“ niepodobna myśleć o związku z inną, niekochaną kobietą, że związek taki przyniosłby obojgu nie spokój i zadowolenie, lecz ciężką niedolę. Tak pełną dobroci i taktu musiała być ta odpowiedź, iż nie tylko nie rozgniewała poety, lecz uczyniła go rzewnym i wdzięcznym.

„A Tobie dzięki i błogosławienie!“

pisal w wierszu następnym, ²⁾ w tej „smutnej pieśni, zaśpiewanej nie w odpowiedzi“—bo odpowiedzi w tej kwestyi panna Trembicka mieć nie chciała. Prosi ją już tylko Norwid „o trzy słowa na grobie“ łacińskie, mową pisane niezwywych... O to samo prosił kiedyś Bohdana Zaleskiego (w liście z końca 1851 r.) „o kawałek kamienia z napisem: „Morituri te salutant,“ lecz teraz wątpi już „czy uczyni to kto inny.“ W wierszu tym już bez ogródek wylewa całą gorycz zawiedzionego serca. Czekał lat tyle i wierzył, aż wreszcie zdobył takie doświadczenie:

„Straciłem wielką rzecz — uszanowanie
Dla pici, jak dawni czynili poganie,
I do dna onej zstąpiłem bez-wiary...“

W jego przekonaniu niema już odtąd różnicy zasadniczej pomiędzy pogańską a chrześcijańską kobietą — „towarzyszki są i — niewolnice.“ Z pod tej klątwy potępienia wyjmuje tylko jedną, jedyną, to jest tę, do której pisze: „mamże tu dodawać: nie Ty.“

¹⁾ To jest w razie odmowy.

²⁾ „Chimera.“ Tom VIII, str. 359 (nr. 21).

Ostatni list przedamerykański do Maryi Trembickiej, noszący datę: septembre 1852,¹⁾ jest poniekąd uzupełnieniem tego wiersza. „Nieobacznością i nierachowaniem się z pierwszemi poruszeniami swemi“ nazywa „mało potrzebne słów kilka, które był jej rzucił.“ Ona „prostotą swoją umiała błogo je osłonić i usprawiedliwić.“ To też „roszczytywał się,“ jak dawniej przed przyjaciółką swoją, bo dawne „nałogi“ zostały mu, prócz jednego, „najnieszczęśliwiej pięknego,“ „który—dodaje—Pani lepiej zna we mnie, niżli ja go znałem i znam może.“ Ale on jest teraz jak podróżny, który przeszedł Alpy w czas straszliwej burzy, a jeżeliby mu przyszło kiedy przechodzić tę samą drogę, „przechodziłby już spokojnie, mogąc nawet wspominać: „oto tu a tu piorun odwalił płachtę skały—tam stoczyło się dwieście dębów w przepaść—tędy przeszedł huragan śniegu i cztery wsie zasypał.“

I przy końcu listu znowu powraca do owych „mało potrzebnych słów kilku,“ w których oddawał siebie, „wszystko, co w nim zostało.“ Wspomina o mistycznej legendzie, mówiącej o człowieku, uratowanym z topieli „przez próżny rękaw skórzany“ i zapytuje, czy człowiek ten nie miałby potem „nijakiego providencyonalnego prawa zapytać o rękę samą?“

Otóż i on, tylekroć ratowany przyjaznem słowem panny Trembickiej, niby owym próżnym rękawem skórzany, urościł sobie prawo „zapytać o rękę samą“—ale teraz wie, „że to są rzeczy, których ludzie sami rozsądnymi swymi mózgami nie robią, ale jakoś tak stało się.“

I jeszcze raz miał do tego epizodu powrócić, pisząc już z za oceanu, w r. 1853, do Maryi Trembickiej²⁾. „Przekonałem się — powiada—że to, co lat temu wiele *wyplakałem w Berlinie na ręce Pani*, jest moją śmiercią i życiem mojem...“ „W epoce najboleśniejszego wszechzastężania wyciągnąłem ku Pani rękę...“ „Owóż byłem się zapominał, rozsądny byłem! i tego zrealizowania mi nie wolno...“ „Przebacz mi Pani, że śmiałem się oprzeć o ramię Pani na chwilę jedną—człowiek upadający z wieży, gdyby obłamał gałązkę topoli zielonej—drzewko nieme przebaczyłoby mu tę niedelikatność... chwilową... i oceniło grób... natura jest tak grzechna...“ „To do wszystkich przyjaznych mi kobiet i do najbliższej z nich—do Pani,—ale nie do Tej, którą nie wiem, czy kiedy już zobaczę.“

¹⁾ „Chimera.“ Tom VIII, str. 361.

²⁾ „Chimera.“ Tom VIII, str. 369.

Ta strona życia—miłość kobiety—była już tedy rozstrzygnięta. Ta, którą ukochał nie była w stanie go pojąć i doprowadziła wreszcie do tego, że „stracił uszanowanie dla płci“—ta zaś, którą wielbił jak najzacniejszą i najrozumniejszą, której charakter nazywał „arcydziełem szczerości i piękna,“ nie mogła przyjąć serca, w którym płonęła ciągle nigdy nieugaszona miłość. Ona tonącemu rzucić mogła na ratunek tylko przyjazne słowo — próżny rękaw — nie zaś rękę samą.

Druga strona życia—miłość sztuki—przedstawiała się również rozpaczliwie. Przez swoich niezrozumiany, przez obcych nie przyjęty, pozostał osamotnionym.

Wizerunek jednak duchowy Norwida, który usiłuję ze szczątków listowych odtworzyć, nie byłby zupełnym, gdybym pominął milczeniem chociaż drobne szczegóły, odnoszące się do jego stosunków z rodziną, działania w Emigracyi i poglądów tak politycznych, jak społecznych w czasie pobytu w Paryżu.

O stosunkach jego z rodziną nie wiele posiadamy szczegółów. Te jednak, które nas doszły, świadczą, że był dla niej wylany. Oto jakie świadectwo daje bratowa jego, pani Anna Norwidowa, w wielokroć już cytowanym liście z 18 czerwca 1908 r.:

„... *Maintenant je puis Vous donner quelques détails sur l'homme qu'était Cyprien: une douceur de caractère rare chez un homme, une grande noblesse d'âme, et une bonté inépuisable. J'étais bien jeune lors de mon mariage — 17 ans — c'est Vous dire que ces premières années il m'a été difficile de pouvoir l'apprécier. Il aimait beaucoup causer avec moi, mais malheureusement alors je ne le comprenais pas. Ses deux héros privilégiés de l'histoire, c'étaient César et Alexandre. J'ai été bien malheureuse par mon mariage, car mon mari ¹⁾ m'a perdu une très belle fortune; c'est alors que Cyprien, quoique lui même pauvre, a fait tout ce qu'il a pu pour m'aider et consoler. Mais je n'ai rien à me reprocher à son égard, car tant que j'ai été riche, il n'a manqué de rien. Après, hélas, nous avons connu de bien mauvais jours.*“ ²⁾

¹⁾ Ludwik Norwid.

²⁾ Mss. „A teraz mogę panu podać kilka szczegółów o tem, jakim człowiekiem był Cyprian; posiadał on słodczy charakteru, rzadką u mężczyzny, wielką szlachetność duszy i dobroć niewyczerpaną. Byłam bardzo młodą, wychodząc za mąż—17 lat—pojmie więc Pan, że w tych pierwszych latach było mi trudno go ocenić. Lubił on bardzo rozmawiać ze mną, ale, niestety, wówczas nie rozumiałam go. Jego uprzywilejowanymi bohaterami w historyi byli Cezar i Aleksander. Byłam bardzo nieszczęśliwa wskutek mego małżeństwa,

Piękne to świadectwo, oddane charakterowi Cypryana przez bratową, stwierdzają i jego własne listy, chociaż nie obfitujące w szczegóły rodzinne. Są w nich wszakże charakterystyczne wzmianki.

Oto przedewszystkiem w liście, pisanym do Bohdana Zaleskiego w jesieni 1851 r., z którego liczne wyjątki już powyżej kilkakrotnie przytaczaliśmy, czytamy na wstępie:

„Szanowny i kochany, godziny i dnia, którego pisałeś do mnie, pisałem do Ciebie, albo rysowałem, co odebrałeś już. Myślałem tylko o tem, czy nie zapłaciłeś za wiele porto i czy nie stłucze się szkło, ale późno było, kiedy oddawałem, i do Fontainebleau nie sądziłem, aby bajecznie drogo wypaść mogło.

„Pytasz, czem żywię się? Owo (Tobie jednemu powiem). Owo tem, niestety, że co mogę, to robię. Pojmujesz, że Chrześcianin połowę robi, jeżeli to, co *może*, nie swoje tylko siły mając, powinien robić i co *mógłby*.

„Robię jednak to: 1-o, dwom braciom pomagam pracą rąk moich, co dość trudno, bo jeden o paręset, drugi o kilkadziesiąt mil.“

Jeszcze wymowniejszym jest pod tym względem list Norwida, ogłoszony w „Kuryerze Lwowskim,“ ¹⁾ a pisany do Karola hr. Krasieńskiego w Warszawie. Karol Krasieński w r. 1845 był w Rzymie Norwidowi ojcem przy bierzmowaniu; obrzędu tego dokonał kardynał Franzoni i nadał Norwidowi imię *Kamil*, które on potem stale dodawał do chrzestnego.

Otóż w liście tym, pisanym z Paryża w r. 1858, czytamy:

„...nie mogę w tym miesiącu pisać do siostry, ale gdybym śmiał cię prosić o to, abyś raczył ją widzieć, byłoby to dla mnie wielkie dobrodziejstwo, albowiem mało kto może jej o mnie powiedzieć, że daję sobie radę i że ani wrócić nie godzi mi się, ani też prace moje nie są zupełnie bezużyteczne, nawet dla Ojczyzny — ktoby jej to powiedzieć miał: to jest, że można wiele braków, cierpiąc dla celu pięknego, wiele też znieść — i musiałby znać się trochę na powołaniu i na walkach od onegoż nie rozłącznych.

gdyż mąż mój stracił bardzo piękny majątek, jaki posiadałam; wówczas to Cypryan, chociaż sam ubogi, uczynił wszystko, co tylko mógł, aby mi przyjść z pomocą i pocieszyć. Ale nie mam sobie względem niego nic do wyrzucenia, gdyż dopóki tylko byłam bogata, nie zbywało mu na niczem. Potem, niestety, zazналиśmy bardzo złych czasów.“

¹⁾ „Dwa listy Norwida...“ „Kur. Lw.“ z d. 18 kwietnia 1908 r.

„Z Twoich ust, jako mającego Dom i poważne imię, byłoby to dla biednej, albo raczej ścierpianej siostry mojej, wielce uspokajające i błogie.

„W przyszłych miesiącach będę pisał do niej, bo pisuję tylko, kiedy mogę ją w czem pocieszyć...“

I dalej pisze:

„Siostra moja jest osoba święta, a była ongi bardzo piękna. Chwała Bogu, nic im nie zbraknie, ale nie chcę, aby czemkolwiek bądź dla mnie niepokoiła się zmęczona i cudem prawie żyjąca siostra moja i cokolwiek może ją błogo uspokoić, jest mi drogą. A wymagać nie mogę, aby innem zupełnie życiem żyjąc, uspokoiła się tem, co mnie tylko wystarcza i mnie tylko jest zrozumiałe.“

Hr. Krasieński zadość uczynił życzeniu poety, który mu też w liście następnym dziękuje za to.

Ale list ten, z którego powyżej ustęp przytoczyliśmy, jest nie tylko pod względem uczuć rodzinnych Norwida znamienym, lecz zarazem jest jednym z wielu, a dobitnym dowodem, co było główną przyczyną wyjazdu poety do Ameryki. Niestety, przez zbytnią jakąś delikatność, wydawca tego listu — bardziej dyskretny od samego Norwida, który był, jakto stwierdziliśmy, niezmiernie dyskretny — opuścił, a raczej wykropkował jeden, cały ustęp, mający, zdaniem jego, „ściśle prywatny charakter,“ a odnoszący się niewątpliwie do nigdy niezapomnianej „Pani Maryi.“

Początek tego ustępu brzmi:

„Otóż w Warszawie są dwie partykularnie najdroższe mi rzeczy: 1) spokój siostry mojej i 2)“

To 2) odnosi się bez żadnego wątpienia do pani Kalergis, która właśnie w r. 1858 przebywała u ojca w Warszawie, gdzie zajmowała się gorliwie utworzeniem konserwatorium muzycznego, dawała z ogromnem powodzeniem koncert na rzecz Moniuszki, który przyniósł artyście 15,000 fr., wreszcie na wieczorze, na jej cześć wydanym, improwizowała na fortepianie, akompaniując Deotymie do improwizacji wierszowanej, na temat, podany poetce przez panią Kalergis, a opiewający śmierć Chopina ¹⁾.

¹⁾ „Marie Muchanoff-Kalergis,“ Listy jej do córki. Str. 34—44. Między innymi, czytamy tam: „...Je développe tous les talens que Varsovie possède en les ignorant... On va, je l'espère, fonder ici un conservatoire. M. Muchanoff, le ministre de l'intérieur, me l'a promis...“ „Mon concert pour Mo-

Norwid pisze dalej:

„...ale po to przepłynąłem ocean, aby być silnym i wyleczyć się z tej słabości.“

Nie był też obcym Norwid działaniom i pracom, podejmowanym w Emigracji ówczesnej. O ile mógł, starał się dopomóc biedzie; widocznie usiłował skupić rozproszone siły i zorganizować „młodą Emigrację.“ Mamy tego ślady w listach do Bohdana Zaleskiego. A przede wszystkim w tym, wielokrotnie cytowanym, obszernym liście z jesieni 1851 r., w którym na zapytanie: „czem żywi się?“ i po odpowiedzi, że 1-o braciom pomaga, pisze dalej:

„2-o. Zdaje mi się, że wkrótce młoda Emigracja postawiona będzie, jako całość moralna historyczna, akta męczeństw swych zbierze w wewnętrznem poczuciu, co budującego jest, *na korcu postawi* i nie będzie się więcej społeczeństwo polskie, wiedzące komeraże Pana Barras z Panem Montalembert, dziwić, że istnieje na świecie młoda emigracja!! O tem zaś (co tobie tylko mówię) nikt, prócz ciebie, nie będzie wiedzieć, że Pan Bóg dał mi spełnić to.

„3-o. Zdaje mi się, że wkrótce, to jest w przeciągu dni dwudziestu kilku, 300 naszych młodych, robiących drogę publiczną z Koryntu do Aten (!), albo ważną pomoc, albo stanowcze ulżenie w smutnem swoim otrzymania położeniu — co także miej jako tajemnicę, bo rzecz jest w robocie, a jak błysnie tylko, to zaraz zawiści psują wszystko. Jeśli będzie potrzeba w ciągu rzeczy pomocy twojem słowem, w pewnym kierunku użytym, zgłoszę się do ciebie w sprawie tej. Jeżeli Byron okręty posłać mógł kosztem swym, to cóż u licha, aby *w ojczyźnie Sokratesa synowie*

nuszko a merveilleusement réussi-une recette de 15000 fres., un honnête homme heureux un beau talent qui va s'élançer dans des voies nouvelles! Cela me donne une véritable satisfaction... Le public de Varsovie porte aux nues la bonne action que j'ai eu le bonheur de réaliser... „On a donné une soirée en mon honneur... L'obligation d'y parler le polonais me gêne un peu, car je ne suis pas forte dans ma langue natale, mais je me suis rattrapée sur le piano, en accompagnant Deotyme, avec une improvisation musicale, tandis qu'elle improvisait des vers admirables sur le sujet que j'avais choisi: la mort de Chopin. Je tâcherai tant bien que mal de vous traduire ce morceau, un des meilleurs qu'elle ait faits. Dans ce moment cette remarquable personne écrit un poème sur le Piast; elle est versée dans l'histoire de son pays à la Niebuhr, ce sera du plus haut intérêt...“

Kopernika kamienie, bez nadziei wyjścia z tych trudów rozbijali—horrendum!“¹⁾

Tą ostatnią sprawą troszczył się Norwid niemało i już 26 marca 1852 mógł donieść z pociechą Bohdanowi:

„Co do dawnych kłopotów moich, to Panu Bogu się podobało, że ci z Grecyi już wypłynęli. Pan Bóg zrobił, bo ledwo, że list nasz ztąd do Aten doszedł.

„Pan Bóg zrobił.“

„I drugie co do młodej Emigracyi, Pan Bóg drogami swemi zrobi.“²⁾

Podnieść tu należy, że to działanie dla ulżenia rodakom i dla zorganizowania ich sił rozproszonych, podejmował Norwid w chwili, gdy sam czuł się przez swoich odepchniętym, a po śmierci najlepszego przyjaciela swego Włodzimierza Łubieńskiego, zupełnie osamotnionym, w chwili, gdy z głębi duszy wyrывał mu się okrzyk:

„Gorzki to chleb jest Polskość!“

Było to wówczas, gdy pisał do Bohdana:

„Pokój, ach pokój! Mówiłem ci już jak pojmuję ten pokój³⁾ i *bywa, że mam go*, a niema ramienia jednego, okrom ducha Włodzia Łubieńskiego, tego, z owąd...“⁴⁾

Było to w czasie, gdy się zwierzał przed Zaleskim, że „od społeczeństwa swego nic już nie wymaga, bo ono opuszcza ludzi na pastwę, a nie wesprze nikogo niczem,“ gdy się skarżył, że mu „trudno-biedno, że zdrowia organizmu, życia czasem brak,“ a tak skarżąc się, dodawał: „nikomu tego nie mówiłem, co tobie dziś—przemilcz.“⁵⁾

Ale równocześnie czuł, wiedział i przyznawał Norwid, „usiłujący miłość Ludzi z miłością Ludzkości zespolić,“ że „Emigracya, to także ciężki chleb!“⁶⁾. I z całym poświęceniem, z zupełnym zapomnieniem o sobie, usiłował przyjść z pomocą pracującym ciężko „synom Kopernika.“

W epoce tej, w łonie Emigracyi podnoszona była wielokrotnie myśl przyjęcia amnestyi i jakichś „koncesyj“ od rządu rosyj-

1) Mss.

2) Mss.

3) Jako wyzywający do walki warunki zewnętrzne.

4) Mss.

5) Mss. List z jesieni 1851 r.

6) L. c. Mss.

skiego. Widzieliśmy, że jeszcze w r. 1850 Bohdan Zaleski, wydając Brodzińskiego „Posłanie do Braci na wygnaniu,“ uważał to „Posłanie“ za antidotum przeciw „truciźnie amnestyi.“ W sprawie tej zabrał także głos z za Oceanu Ignacy Domejko, a o radach jego, przysłanych emigracyi, a przedstawiających bezcelowe marnowanie sił polskich na wychodźstwie, sił, któreby mogły z pożytkiem użyte być w kraju—pisze 10 maja 1852 r. Cypryan Norwid do Zaleskiego:

„To co o Domejki radach, Emigracyi radach ekonomicznych wspominałeś, prawdę masz, jest *amerykańskiem zepsuciem*, bo odsunawszy nawet moralne względy i na interes spojrzawszy, fałszywe.

I.

„Niema sił, któreby co warte były tam, gdzie nie można dewelopować sił...

II.

„Te cienie koncesyi, które Mikołaj Imperator Moskiewski robi już dziś i te quasi koncesye, które zrobi i robić będzie są i zawsze będą tylko owocem różnic, jakie się okazały i okazywać będą pomiędzy myślą ogólną kraju a myślą Emigracyi.

III.

„Owszem, o ile w dwoistości koniecznej *ducha i ciała*, idealność i praktyczność myśli polskiej widocznie będzie się wyróżniać, o tyle w kierunkach praktycznych kraju koncesye rząd też czynić będzie, uważając tę sprzeczność (powierzchnową i konieczną) za polityczny rozbrat, uważając, mówię, tę *różność* za poróżnienie i ankurując je. Rząd albowiem (i w tem jest zbroja prawdy), pojmować nie może tej różności, jako różność, bo musiałby nie być despotycznym, jeżeliby różność tę ducha i ciała, postępu i ciężenia, pojął.

„Rządowi więc jest to *zakryte*, jak mówi Pismo, bo on tylko jedność, tylko ciężenie pojmując, wszelkie rozdwojenie za szramę, za bliznę, za ranę uważać musi i nie może inaczej.

„W miarę więc, jakby w Emigracyi położyło się krzyczącemi barwy akcent na *wiecznem*, a w kraju na *czasowem*, Rządby robił koncesye *czasowemu*, (uważając to)¹⁾ za fragment i odłam, a nie za kategorię tylko tej samej całości. I tak też się już poczyną robić. Różnice więc te są właśnie całą tajemnicą możebnego nie-

¹⁾ Wyrazy te lub im podobne, widocznie opuszczone.

stracenia sił, a siły, które tu się marnują, jak mówi Domejko, są tak, jak mózg np. się marnuje, kiedy dlatego walczy z życiem człowieka (biedząc się), aby to życie godnie *zużyć i utrzymać*. Jasno więc zda mi się widzieć, że światłemu człowiekowi takie głupstwo zepsucie tylko społeczeństwa, w jakim żył, natchnąć mogło...“¹⁾

Z tego wyvodu nie trudno wyrozumieć, jak wysokie znaczenie przypisywał Norwid istnieniu Emigracyi, jako takiej, w życiu całości narodu. Jest to *duch*, jest to dążenie ku dobru *wiecznemu*, jest to *postęp*, jest to wreszcie *mózg*, troszczący się o godne utrzymanie życia narodu. To zaś, co Domejko lub inni mówili o „marnowaniu“ wrzekomem sił w Emigracyi, jest głupstwem, podyktowanym zinateryalizowaniem, zepsuciem społeczeństwa.

Tak wysoko oceniając znaczenie Emigracyi, widział jednak dobrze Norwid jej rozkład i strony ujemne. Te nawet osądzał surowo. Osobiście przyszedłszy do przekonania, że z rodakami „nie zrobić nie jest w stanie“—pisze w ostatnich miesiącach 1851 r. do Bohdana Zaleskiego:

„Wspomniałem ci, szanowny i kochany, czem się żywię, co robię; smutków i goryczy aż po wręby widnokregu osobiściego.“

Zaznaczywszy, iż działać z rodakami „próbował do ostatka sił“—kreśli następujący obraz własnego społeczeństwa:

„To, co jest *konserwatywnego* zakryte ma oczy na wszystko, co się dzieje, przymrużone na to, co się działo, zasłonięte rękoma na to, co się dziać będzie, wszelako są to jeszcze *ludzie*.

To, co jest *postępowego*, jest naprzód bez przeszłości, a więc bez miary w sobie. Ludzie, z którymi się na żadnym polu, czy to myśli, czy to życia, czy to sztuki, czy to towarzystwa nie spotkałeś, przychodzą do ciebie *sami sobie świadcząc*—tonem!

„Jakże więc tu stanąć? jak się jąć? Energia obrazi miłość własną, która się z niczem pierwej nie zmierzyła i miary nie ma; delikatność wyda się koncesją i miękkością... Niech ich Bóg ma w swojej opiece; niezadługo, jak budownicy wieży Babel, nie porozumieją się—rozdzielą—w różnych staną ekstremach i rozejdą, jak po pomieszanju języków... Po różnych narodach się rozejdą, na boje różne, eksterminując nawzajem jednostronności własne... jeden nad drugiego szukając miary swojej: to to *jest wieża ona Babel*.

¹⁾ Mss.

„A czas już coraz bliższy; niezadługo porozstępuje się karta Europy, jak rzeka odmarzająca szybami lodów zwierzchnich. O ile w nas całości zbożnej i dobrowolności społecznej, o tyle wśród tego stanąć moglibyśmy... Ale cóż? Bóg tylko jeden sam to sprawi, bo *żaden ludzki trud tam podołać nie jest w stanie, gdzie prorocstwo jest lekceważone, a męczeństwo uczczone rzadko.*

„Ja już kroku nie zrobię, wojenny nie jestem, za cel tego stanu nie uważam, pójdę sobie *czasu mojego* jak do spowiedzi i odejdę — do cieniów, albo do samotności. 1)“

W żadnym z listów nie zaznaczył tak wyraźnie Norwid swych przekonań, jak w tym liście do Bohdana, nie mającym wprawdzie daty, lecz pochodzącym niewątpliwie z października lub listopada 1851 r. Nie przyznając się stanowczo do żadnego stronnictwa, skłania się on jednak widocznie do obozu konserwatywnego, którego ślepotę i nieoględność potępia, lecz widzi w nim i ceni *ludzi*. W stronnictwie postępowem brak tradycyi, zatem brak miary; z ludźmi tymi nic go nie wiąże, ani myśl, ani życie, ani sztuka, a zraża ich do nich samolubny, despotyczny ton. Iście proroczym duchem podyktowane są słowa o „rozejściu się na boje różne.“ Spodziewa się Norwid ważnych niebawem wypadków, jakichś zmian w karcie Europy. I rzeczywiście świtają już zamach stanu bonapartystowski.

Zmiany te miały zastać Emigrację bez „całości zbożnej i dobrowolności społecznej,“ a więc chyba cud Boży mógłby z nich jakąś korzyść przynieść społeczeństwu polskiemu, które przestało czcić swoich proroków i męczenników. Tam „rola wzniosłych chęci nigdy się nie uda,“ powtarza Norwid za Malczewskim, kładąc te słowa, jako motto swego znamienitego listu.

A oto rzeczywiście niebawem nastąpił przewrót. Dn. 2 grudnia 1851 r. pisze Bohdan Zaleski z Paryża do żony, która pozostała w Fontainebleau: „Trafiłem na samo coup d'Etat bonapartystowskie. Miasto jednak spokojne, obojętność ludu niesłychana. Zgromadzenie Narodowe zamknięte, naczelnicy stronnictw uwięzieni... Ogromne masy wojsk na Polach Elizejskich i około Izby deputowanych.“ 2)

Tak było d. 2 grudnia. Niebawem jednak zaczął się żywszy ruch, walka na ulicach. Bohdan powrócił do swoich, do Fontainebleau, nie odwiedzwszy tym razem Norwida, który wcale nie

1) Mss.

2) Koressp. J. B. Zaleskiego. Tom II, str. 196.

obojętnym był świadkiem rozgrywających się na bruku paryskim wypadków. Ulegał on powszechnemu podówczas wśród Emigracyi polskiej nastrojowi: kochał Francję, jak drugą ojczyznę, i na parę miesięcy przedtem, w jednym z listów do Zaleskiego, pisał: „Mówisz o francuskich rzeczach. Mój kochany, od początków roku 1848, kiedy pisałem „Jeszcze słowo,“ aż do dziś, widziałem to, *bo cierpiałem za Francję, jeżeli nie więcej, to tyle, co najlepszy Francuz...* Na co? Albo ja wiem, ale cierpiałem i dlatego wiele też widziałem.“¹⁾

Z takim też uczuciem pisany jest list do Bohdana z d. 6 grudnia 1851 r.—list także bardzo charakterystyczny, zawierający bowiem poglądy Norwida na rozgrywające się wypadki, na upadek zapału i „władzy,“ na różnicę „ofiar w przyszłość“ i „ofiar wstecz,“ które to ostatnie są konsekwencyą niekonsekwencyi.“

List ten brzmi:

„Mimo, iż w mieście byłeś, nie miałem przyjemności widzenia i uściskania ciebie od tak dawna; teraz ażeby ci dać wiadomość o tem, co dzieje się, pióro do ręki biorę. Sami tu, oficjalne tylko i najskąpiej oficjalne mamy wiadomości, cóż tam dopiero wy?

„Nigdy zapewne za pamięci żyjących tak fenomenalne nie było położenie Francyi, jako teraz. Jeżeli to nie chwilowe osłupienie, to upadek wymiarów wielkich. Od trzech dni bój bez planu i chorągwi, dziś zda się wysileniem zatrzymany. O 50 kroków od padających pod strzałami, ludzie w bluzach i nie bluzach, stoją i prawie poziewają; gwardya narodowa pozwala, aby jej broń brano, a sama siedzi w domu; żołnierz bije się z ludem; możnaby powiedzieć, że co najprostszego i najpocziwszego, to rozłamane na dwa obozy eksterminuje się. Byłem w kilku miejscach i widziałem, i jeżeli gwizdzących kul nie słyszałem, to dlatego, że wilgoć i szum mam w uszach, ale powiadam ci, że nigdy nie wyobrażałem sobie obojętności takiej zbliżonego tłumu spektatorów. Zaprawdę, do smutnego przekonania (doszedłem)²⁾, że to nie są ofiary w przyszłość.

„Ofiary antycypowane nie na 50 kroków, ale na pięć tysięcy pięćset pięćdziesiąt, porywają, unoszą, w chorągiew współczucia obejmują, zwłaszcza w najlotniejszym tu ku poderwaniu ludzie tym. Te ofiary w przeszłość, na wstecz, to tylko kosekwencye niekon-

¹⁾ Mss.

²⁾ Wyraz opuszczony.

sekwencyi, to tylko ostatnie strzały walki, która się rozpoczęła z uderzeniem szablą żandarnską pierwszego reprezentanta, a potem dwóch, a potem więcej i tak dalej; to ostatnie strzały tej tak niepojętej przez reprezentantów sponiewieranych walki. To koniec tym, którzy się z reprezentantów ludu na mandataryuszów partyi przerobili. To najwyższy stopień reakcyi, która, będąc prześcigniętą, stała się niepotrzebną, zastąpioną.

„Bo jeżeli nie tak jest, to poniżenie ostateczne i wygaśnięcie wszelkich pierwiastków twórczych, to chyba teraz z naważną Francyi ktoś tak poniży naród ten, jak poniżona jest godność jego w Izbie...”

(Słowa te Norwida zdają się dzisiaj proroczem zaiste przeżuciem tego, co w niespełna dwadzieścia lat później nastąpić miało!)

„...w Izbie — pisze on dalej — rozbitej dwa lata temu przez lud, dziś przez najwyższego urzędnika, przez rowolucyę i przez konserwatyzm. Cóż tedy, gdzie sanctuarium, zkąd nowy absolut władzy, cóż świętego?”

„Prezydent już zanadto zdrażnił, aby obrany był, a zanadto na głosowaniu powszechnem oparty, by go (sic!) znieważył—albo baza odmówi mu, albo on bazę z pod nóg sobie wysunie. Wszystko tak zawikłane! Ale co to już logicznie rozwiązywać? Ani on, ani lud, ani idea tego nie robią.

„Zbliżka patrząc, w twarze blade bijących się patrząc, widać to—gdzieś się to podziewa, ale nie dzieje się, coś z upadającego Rzymu tu i owdzie zawiewa — legie sobie celem — Imperator fortuny próbuje — Retorowie wygnani, bo dzienniki zamknięte. My, emigranckie blade twarze, jak Nazarejczyków, co wiedzą, co za tysiąc lat, ale co pod rękoma mają, to im zakłete i nieprzystępne—obozy—ognie pancernymi otoczone. Barbarzyńcy od Ne-wy zdala, zdala. Bogu was polecam. *Cyprian Norwid.*“

Norwid wobec Towiańszczyzny. — Niezależność jego sądów. —

Stosunki przyjacielskie i towarzyskie. — Ostatnie prace paryskie i ostateczne rozczarowanie.

Zaznaczyłem na wstępie głęboką religijność Norwida. Religijność ta, nawskroś prawowierna, strzegła go i ustrzegła od błędu Towianizmu. Widzieliśmy, jak w Rzymie oparł się nawet wpływowi Mickiewicza. Pokuszeń wszakże i później nie brakło. W epoce wydania Promethidiona usiłowania wciągnięcia Norwida

do szeregów wyznawców doktryny „Mistrza“ snadź znacznie się wznogły, w liście bowiem Cypryana do Zaleskiego, pisanym w jesieni 1851 r. „przy krótkich promieniach słońca,“ znajduje się ustęp następujący:

„Odebrałem z ramienia mistyków naszych szkoły P. Andrzeja Towiańskiego, że:

„Ciężko“ za to zapłacę, iż do filozofii ziemskiej skłaniam się etc. (trzy arkusze blisko). Odpisałem:

„że nic od nich nie wzięwszy, z niczego nie zdaję rachunku, że Mistrza, ani Pana innego, okrom Zbawiciela, nie znam, że nic przeciw nim i wierze ich nie mam, bo *każdemu wedle wiary jego*, nawet uzdrowienie wedle stopnia wiary uzdrawianych. Następnie, że *stawiają pod korcem* ¹⁾; że ja nie taję nic, że gotów jestem powiedzieć, kto Cezarem, a kto Bogiem moim, że każdemu oddaję, co jego jest;

„że Cezarem moim jest 1-o *duch Epoki*, 2-o *najstarszy w Narodzie obywatel*, 3-o najstarszy wedle słowa Narodu wieszcz, czy prorok ²⁾, 4-o Matka Makrena Mieczysławska; jak oni z sobą są, to nie moja rzecz, to ich rachunek, co mi do tego?

„Odpisałem im jeszcze, że męczeństwo u mnie nie *celem*, ale najniebezpieczniejszym środkiem, że pracuję, aby nie było męczeństw, że celem moim *wolność zbożna*, którą nad wszystko kocham.

„Że ofiar wszystkich Cezar mój wymagać odemnie może, okrom *ofiar duchowych*, bo tych nikt na planecie z niewiasty urodzony (a i duch Epoki jest z niewiasty, bo z czasu) wymagać odemnie nie jest w stanie, bo wolny i odkupiony jestem i te rzeczy są pomiędzy Przedwiecznym a mną.

„Zmilki i robią nawet niektóre rzeczy, które radziłem, w których pomocy potrzebowałem.“

Tu następuje ustęp, przytoczony już gdzieindziej ³⁾, a opisujący zajście z upełnomocnionym ministrem rosyjskim, w skutek którego Norwid więziony był i uchodzić musiał z Berlina w roku 1846. Poczem czytamy:

„... a teraz mam się kłaniać ludziom, którym się podoba duchem moim rozporządzać? Waryatyzm! A juściłoby mi prościej

¹⁾ Odnosi się to zapewne do tajemniczości zasad Towianizmu. Patrz „Promethidion.“ „Bo nie jest światło, by pod korcem stało.“ W tym ustępie listu winno też być niewątpliwie: „stawiają *światło* pod korcem.“

²⁾ Aluzya, zdaje się, do Mickiewicza.

³⁾ Patrz rozdział: „W Brukseli.“

było tam ¹⁾ się pokłonić, gdzie mnie w rękę trzymali. Co im się w głowach porobiło??...

„Piszę ci to wszystko prawie temiż słowami, jakie mi pisa-
no, o tyle różnicy tylko, o ile dwa razy nie jednakowo powie-
dzieć można.“ ²⁾

List ten jest nie tylko dowodem prawowierności Norwida, która ani pokuszeniom, ani groźbom „mystyków“ zachwiać się nie dała, lecz zarazem cechującą go zawsze niepodległości zdania. Niezależność tę zachowywał on w stosunkach ze wszystkimi ludźmi, a nawet względem najbliższych swych przyjaciół. Przyjacielem zaś umiał być serdecznym, przedziwnie delikatnym. Najbliższym mu był ten, z którym łączyła go „więcej niż przyjaźń, więcej niż miłość,“ którego pamięci, gdy umarł, poświęcił Promethidiona, Włodzimierz Łubieński. Od czasu pobytu w Rzymie zbliżony z Bohdanem Zaleskim, okazywał mu zawsze wielkie poważanie i czułość serdeczną. W listach, jakie powyżej przytoczyliśmy i jakie przytoczymy jeszcze, obejmujących, z wielkimi, nie-
stety, przerwami, ogromną przestrzeń czasu od 1847 od końca 1882 r., t. j. prawie do śmierci Norwida (umarł 23 maja 1883 r.), przechowały się ślady tej szczerej, pełnej zaufania przyjaźni. Przesyła mu szkice swoje i wiersze, dzieli się myślami i uczuciami — o jednym tylko, najsilniejszym, nie czyniąc wzmianki. Wystarcza zaś jakakolwiek „głucha“ wieść o strapieniu Bohdana, by Norwid natychmiast troskliwie o nie się pytał. I tak np., W czerwcu 1851 r. niepokoił się Zaleski o rodzinę swoją na Ukrainie: „Dowiaduję się — pisał 4 czerwca t. r. do panny Michaliny Dziekońskiej ³⁾ — że w tych czasach dużo tam łez, dużo bóleści.“ Trapiły go złe przecucia. Skoro tylko o tych troskach Zaleskiego dowiedział się Norwid, wnet pisze do niego d. 9 czerwca 1851:

„Drogi, szanowny Bohdanie, głucha i tak głucha, że nawet bez najłżejszego określenia, doszła mię wieść o jakimś smutku twoim. Bliski ci jestem sercem i bładami mojemi modlitwami. Nic nie wiem, ale tak absolutnie nic, że nie umiałbym nawet w najmniej formalny wyraz ubrać wieści, jaka mię doszła od Gałęzowskiego. Wszakże dziś *nad ranem* śniło mi się, że mówiłem do ciebie: „*iż z przecucia tylko sądzisz, że nie masz żadnej wiadomości realnej, i że najbystrzejsze przecucia nawet omylają.*“ Tak

¹⁾ W Berlinie.

²⁾ Mss.

³⁾ Koresp. J. B. Zaleskiego. Tom II, str. 179.

mi się śniło, widzi Bóg i tak ci piszę. Dant powtarza, co u wszystkich ludów, a więc z zaświata kiedyś zachwycone krąży, że sny nad ranem są prawdziwe, Ramię twoje ściskam najserdeczniej i cały dom pozdrawiam.“¹⁾

Z innymi ludźmi, a zwłaszcza zajmującymi wysokie stanowisko społeczne, postępował Norwid z ogromną, może nawet względem niektórych, z przesadną rezerwą. Mając wysokie wyobrażenie o swej osobistej, a także rodowej wartości, przestrzegał skrupulatnie granic towarzyskiej etykiety, a niezależności swych opinij strzegł jak najściślej.

Z księżną Marceliną Czartoryską i hr. Władysławem Zamoyskim utrzymywał dobre stosunki. W domu pierwszej bywał nawet zrazu częstym gościem. Ale nie obchodziło się i tu bez dysonansów. Norwid, wierny swym zasadom, a mocno drażliwy, ostro nieraz i bezwzględnie wypowiadał swe zdanie. W jesieni 1851 r. musiało też przyjść do pewnej scysyi, o której snadź mówić poczęto, bo dowiedział się o niej Bohdan i zapytał o powody. Nie bez ironii odpowiada Norwid:

„Pytasz o księżnę?”

„Jest księżna... wyższa natura, estetyczna, sympatyę prawdziwą miałem dla niej i mam, ale była ze mną też najprzrzyżniej i najśłodziej — taki stosunek *obowiązuje*. Powiedziałem jej, co za prawdziwe uważam, że kierunek Ich zacnych chęci jest fałszywy, że Pan Zamoyski nie pojmuje różnicy pomiędzy władzą a despotyzmem, że jednego czasu przychodzi do mnie na herbatę w soboty, w Rzymie, do atelier mojego, a drugiego razu w Paryżu, kiedy podnoszę się, aby uszanować zasługi jego, to głośno poleca, abym usiadł. „*Jużci kto wie kiedy wstać, można się spuścić na niego, że wie i kiedy usiąść.*“ Te słowa powiedziałem — zresztą, że aby była walka, trzeba różnorodności pierwiastków walczących, i że dlatego *walczyć* stanowczo z Rosyą nie możemy, ale tylko się mierzyć, bo mniej więcej despotyzm jest w krwi każdego szlachcica Polskiego. Podając rękę księżnie i poufnie z nią będąc, uważałem za słuszne to jej powiedzieć. Oto historia cała.

„*Gubię się i zgubię się — chcę tego.*“²⁾

Co się tyczy tych stosunków osobistych Norwida i jego zachowania się pod tym względem, charakterystycznym niezmiernie jest list jego do Bohdana Zaleskiego z czasów późniejszych, bo

¹⁾ Mss.

²⁾ Mss.

już po powrocie z Ameryki pisany, a mianowicie z r. 1858, t. j. z drugiej epoki paryskiej. Dla wyczerpania tego przedmiotu, przytaczam tutaj list ten, spowodowany następującym wypadkiem:

Syn profesora Jarnowskiego, Belwederczyka i sybiraka, ojca bratowej Norwida ¹⁾, był uczniem Szkoły Polskiej w Paryżu. Za jakieś przewinienie chłopcu groziła kara. Ojciec napisał do Norwida, ten zaś udał się o wstawiennictwo do Bohdana. Dlaczego nie wprost do d-ra Gałęzowskiego, ówczesnego prezesa Rady szkolnej Batignolskiej, którego orzeczenie mogłoby być od razu stanowczem w tej sprawie, treść listu wymownie wyjaśnia, potrącając również o stosunki z księżną Czartoryską i jej mężem, rozbijające się o względy — któżby się domyślił? — etykiety, czy konwenansu towarzyskiego...

List ten brzmi:

Rue de Bellefond 38
Środa 6 Oktobra 1858.

„Niesłuchanie mi przykro, że muszę cię, szanowny i kochany Panie Bohdanie, trudzić następującą rzeczą:

„Z załączonego tu listu profesora Jarnowskiego to tylko wyciągnąć mogę, że jeżeli tak jest w *Szkole Polskiej*, tedy niema środka do odpowiedzenia obowiązkom swoim, czy to ojca, czy pośrednika. Chłopiec bowiem boi się kary za zeznania swoje, a ojcu albo pośrednikowi nikt na list nie odpowie.

„Byłbym cię tem nie trudził niezawodnie, ale pisać tylko mogę do Doktora Gałęzowskiego, *iść* zaś nie mogę. Gdybym zaś napisał, a mnie by nie odpowiedziano, chłopcu zaś karę naznaczono, byłbym więcej niż nielogicznym, może byłbym niesumiennym.

„*Iść* zaś nie mogę do Doktora Gałęzowskiego dla przyczyny bardzo prostej, albowiem szanuję go jako filantropa czynnego, a musiałbym zdecydować się na to, że kiedy ja u niego będę, to on nie będzie u mnie wzamian, że zaś szanuję, nie mogę o to nie dbać czy przyjdzie, czy nie przyjdzie, bo o to się nie dba lekceważąc tylko, ale nie szanując kogo.

„U samej księżnej M. Czartoryskiej byłem raz, i to dlatego, że raczyła zająć do mnie, czego się nie wymaga od kobiety, ale że u tej Damy można co wieczór bywać, a mąż jej nigdy ci nie przyjdzie karty rzucić, więc w wyjątkowym tylko jakimś wypadku można i tam być. Zresztą mam do tego prawo, albowiem poczawszy od Hr. Montalembert, Para Francyi, Hr. Zygmunta Kra-

¹⁾ Żony zapewne Ksawerego Norwida.

sińskiego, Bohdana Zaleskiego, P. Kraszewskiego, kuratora etc. aż do najmniej bogatego intelligencyą, imieniem, majątkiem, w dziurawym surducie emigranta, zupełnie równo bywam i z zupełną równą miarą dla każdego, kto raczy mi to zawdzięczyć. Ani przeto z tej przyczyny nawet nie mogę być u Doktora, pisać zaś, jak rzekłem wyżej, w tej okoliczności mało jest logiczne i sumienne.

„Racz że przeto proszę pokazać mi drogę, którą wyjaśnić się da ten oddalony od rodziców pacholęcia interes, i przyjmij wyrazy poważania.

Cyprian Norwid.

„Proff. Jarnowski jest wprawdzie ojcem mojej bratowej, ale to rzecz najmniejsza w tym kroku, który robię. Ważniejsza jest, że p. Jarnowski należy do liczby Belwederczyków i w *kajdanach* był na *Syberyi*, co ja wiem, bo byłem wtenczas w Warszawie. Jeżeli przeto sama sprawiedliwość bez historycznych kolorów nie wystarczy, to te mogą służyć, car bien des fois chez nous la justice purement humaine est en scission avec ce qu'on appelle la cause.“

Tak wrażliwa i drażliwa natura poety, pełna niezrozumiałych często dla innych subtelności, musiała oczywiście być narażoną na ciągłe przykrości i rozczarowania. Tę przesubtelnioną wrażliwość musi mieć ciągle na uwadze ten, kto chce wnikać w ducha poety, zrozumieć jego nastrój, a zarazem wytłómaczyć sobie koleje jego bardzo nieszczęśliwego życia.

Gmatwało się też ono coraz bardziej w ostatnich czasach pierwszego pobytu w Paryżu. Targany rozpaczą z powodu zawiedzionej a niewygasłej miłości, widząc usuwającą się łagodnie lecz stanowczo i tę rękę, od której wyglądał ratunku, a która tonącemu tylko „próżny rękaw skórzany“ ku ocaleniu ofiarować mogła, ścigany surową krytyką swoich, zawiedziony w swych aspiracjach artystycznych i przez obcych, nadto dumny, by się pokłonić możnym tego świata i szukać protekcyi, nie chcący dla odmiany losu uczynić nawet „czterech kroków i zużyć pary rękawiczek“¹⁾, nadto głęboko czujący i wyznający Prawdę, by usta fałszem pokalać, poczuł się wreszcie Norwid na bruku paryskim prawdziwym rozbitkiem. A do tego przyłączyły się jeszcze i troski materyalne. Zaczęły się wówczas prawdopodobnie owe „złe czasy“, o których w liście swoim wspomina pani Anna Norwidowa.

Literackie prace nadaremnie spoczywały w tece, nie znajdując hojnego wydawcy. Z myślą już o opuszczeniu Paryża i po-

¹⁾ Z listu do Maryi Trembickiej. „Chimera“, tom VIII, str. 393.

dróży za Ocean, odesłał Norwid wszystkie rękopisy Bohdanowi Zaleskiemu dla przechowania. Dnia 11 czerwca 1852 pisze:

„Szanowny i kochany Bohdanie, nie odpisałeś mi nawet, aby dać znać, że odebrałeś rękopisma, które proszę cię na boku u siebie zachować. Jeszcze zdaje mi się, iż nikt *wdzięcznie* korzystać z nich nie będzie później“ ¹⁾.

W tymże samym czasie „na dwa albo trzy miesiące przed wyjazdem do Ameryki,“ malował Norwid głowę Matki Bolesnej. Malował bez modelu, ale musiał wcielić w wyraz twarzy Matki Zbawiciela cały ogrom własnego cierpienia; obraz ten znalazł nabywcę i uzyskał pochwałę wielkiego znawcy. Mówi o tem sam Norwid w liście, pisany już po powrocie z Ameryki, do Bohdana Zaleskiego:

„Na dwa czy trzy miesiące przed wyjazdem moim do Ameryki, malowałem głowę Matki Bolesnej, która gdy była skończona, ażeby ją zobaczyć przyjechał do mnie nieoszacowany Ary-Scheffer i powiedział mi, że tak jest skończona, iż 3 głowy w niej widzi; dziwił się jako bez natury mogłem tak wykończyć. Ten obraz sprzedano Panu Xaweremu Branickiemu za dwieście (200) franków, co bynajmniej nie było nadto, ale było po prostu mówiąc, *pomyślnie*. To było na parę miesięcy przed wyjazdem moim do Ameryki“ ²⁾.

„Sprzedano“ pisze Norwid. Więc nawet nie on sam sprzedawał, lecz pewnie za pośrednictwem agenta, zatem może i ta marna kwota 200 franków nie doszła w całości do rąk twórcy obrazu, tak wysoko ocenionego przez Ary-Scheffera! Musiała też wówczas bieda doskwierać mocno Norwidowi. Ta bieda, o której on pisał w parę lat później do Zaleskiego:

„Ja wiem już tylko: że kiedy *bieda* odmienia pole działania, *nędza* odmienia siłę działania, że *nędzy* największą nędzą jest, iż *nie umie się spodziewać*, że ponieważ nędza wytrąca umiejętność spodziewania się, więc uderza na przyszłość, więc odmienia przyszłość...“ ³⁾

Ówczesna więc „bieda,“ połączona z największą nędzą nędzy, to jest z brakiem wszelkiej nadziei, miała odmienić pole i siłę działania Norwida, wygnąć go za Ocean.

Jak wielką musiała być owa „bieda“ poety świadczą ostatnie jego listy do Bohdana Zaleskiego z tych czasów. Znajduje-

1) Mss.

2) Mss.

3) Mss.

my w nich nieznanym, a iście bolesny szczegół, że Norwid zmuszony był wówczas zostać robotnikiem w jakiejś fabryce i pracować w lesie Fontainebleau! W przytoczonym już liście z 11 czerwca 1852, w którym jest mowa o odesłanych rękopisach, czytamy:

„Upraszam cię, ażebyś (jeśli i ile szkodzić ci to nie będzie), ażebyś raczył wystarać się dla mnie pożyczki nie mniej jak sto franków, z powodu, że w tych dniach przechodząc na *ouvriera* do fabryki przy ulicy Montmartre, której adres niezwłocznie doniosę, jest mi absolutnie niepodobna bez wydatków przejście to wykonać, a nie mam nikogo, absolutnie nikogo, co by mi w tem pomógł.

„W każdym razie odpisz proszę słowo. Mógłbym wiele pisać, ale czasu nie mam. Bogu polecam.“

Cyprian Norwid. ¹⁾

Bohdan Zaleski, mimo zapewne chęci najszczerze, nie mógł sam uczynić zadość żądaniu. Obiecał poczynić starania u d-ra Gałęzowskiego, ale Norwid, czując zawsze pewną do niego niechęć czy urazę, propozycję tę odrzucił. Wówczas już zdecydowany był stanowczo porzucić bruk paryski, a pomocą społeczeństwa polskiego wprost się brzydził. Dnia 17 czerwca 1852 pisze do Bohdana:

„Szanowny i kochany Bohdanie, nie wiedziałem nic o niepomysłności Twojej, byłbym pewno z moimi drobiazgami nie kłatał do ciebie. Do Gałęzowskiego proszę ani kroku nie rób. Sam da Bóg postaram się wyjść z tego jakoś. Gdybym mógł siedemdziesiąt siedem razy oddać każdą pomoc, od społeczeństwa polskiego odebrana, a usunąć z pod nogi każdy kamień bruku francuskiego, nazwałbym się szczęśliwym. Bogu polecam. *Cyprian Norwid.*“ ²⁾

W tym to zapewne czasie, gdy powziął decyzję opuszczenia nie tylko Paryża, lecz i Europy, Norwid postanowił zniszczyć wszelki nawet rękopiśmienny ślad swych myśli. Mówi o tem krótki liścik do Bohdana tej treści:

„Szanowny i kochany.

„Racz z łaski swojej spalić wszystkie rękopisma, które raz byłem posłał; do tego czasu prace te tylko mi na obinowę posłużyły.

„Więc spalone? Z poważaniem *Cyprian Norwid.*“ ³⁾

¹⁾ Mss.

²⁾ Mss.

³⁾ Mss.

Liścik ten nie ma daty. Sądzę jednak, że tylko do tego czasu, do epoki „najboleśniejszego wszechzasłużania,“ jak ją sam nazywał poeta ¹⁾, odnieść go można. Po powrocie bowiem z Ameryki, w czasie drugiego swego pobytu w Paryżu, Norwid pisał wiele, lecz niema śladu, aby myślał o paleniu manuskryptów.

Równocześnie pozbywał się najcenniejszej rzeczy, jaką posiadał, pozbywał się jej na rzecz instytucji publicznej, bo pomimo doskwierającej biedy sprzedać jej nie chciał. Oto, co mi pisze w tym względzie pani Bronisławowa z Dziekońskich Zaleska w liście datowanym z Grodna 27 kwietnia 1908 r.:

„W roku 1851 czy 1852, gdzie nabył, jak znalazł, nie wiem, a może już od powrotu z Włoch posiadał szkic oryginalny Rafaela. Mnie go nie pokazano. Mówił o tem ze stryjenką (generałową Dziekońską), bo tak eksperci z Luwru, jak i poważniejsi artyści w Paryżu uznali ten rysunek za zupełnie ważny, prawdziwy; chciano go nadyć do Luwru. Stryjenka rada była, że będzie ten rysunek drogo opłacony, a on (Norwid) na to: „Co też Pani Generałowa mówi! Rafaela sprzedawać!“ Głowę wcisnął w ramiona ze śmiechem itonycznym, który miewał przy takich okolicznościach. Nazajutrz rysunek wysłał do Krakowa, czy do Biblioteki, czy do Muzeum, nie wiem. Nigdy więcej o tem mowy nie było.“ ²⁾

Szczegół ten, podany przez naoczego świadka, wobec znanych nam ówczesnych warunków bytu Norwida, stanowi rys znamienny subtelnej szlachetności uczuć poety-artysty.

Co jednak stało się z manuskryptami, skazanymi na spalenie? Mamy ślad, że Bohdan Zaleski rozpaczliwego polecenia nie spełnił i odesłał manuskrypty owe w sześć lat później, na żądanie poety, autorce powyższego listu, panie Michalinie Dziekońskiej, jak tego dowodzi list Norwida do Zaleskiego z r. 1858, który brzmi:

„Dziękuję bardzo za łaskawe odesłanie rękopismów Pannie Michalinie Dziekońskiej i upraszam o za-adresowanie Teofilowi Lenartowiczowi załączonego doń listu mego, iż adres nie jest mi wiadomy. Przyczem łączę słowo pamięci dla całego domu. Przyjacieli i sługa *C. Norwid*.“ ³⁾

Może właśnie otrzymawszy to rozpaczliwe polecenie spalenia rękopisów, a niewątpliwie zaniepokojony o przyjaciela, Zaleski

¹⁾ List do M. Trembickiej. „Chimera,“ tom VIII, str. 369.

²⁾ Mss.

³⁾ Mss.

usiłował osobiście się z nim rozmówić, lecz widocznie odszukać go nie mógł, chociaż Norwid był tuż blisko, bo w tem samym, co Bohdan, Fontainebleau. Oto bowiem, co czytamy w liściku Norwida z 24 lipca 1852 r.:

„Szanowny i kochany, jeżeli będziesz łaskaw chcieć mnie widzieć w czas obiadowy lub wieczór, bo wtedy tylko nie *jestem u roboty w lesie*, to racz mi adres swój przesłać do hotelu du Cadran bleu ¹⁾ № 22 (przy rue Grande). Numer w hotelu jest 22. Ten za nazwisko służę mi tam. Od dni dwóch przebywam w Fontainebleau. *Cyprian Norwid.*“ ²⁾

Zatem „bieda“ w połączeniu z „nędzą nędz“, rozpaczą, odmieniła już pole działania artysty i całą siłą „uderzyła na przyszłość.“ Jakże straszną być musiała tragedia duszy tego myśliciela, artysty i poety, gdy opuszczony i osamotniony, pracował jak robotnik, mając tylko numer pokoju hotelowego za nazwisko!

Powyżej przytoczony list jest ostatnim z szeregu listów, pisanych do Bohdana Zaleskiego, w czasie pierwszego pobytu w Paryżu.

Musiano wszakże w tym czasie czynić zabiegi, aby przeciw przyjść Norwidowi z pomocą. Władysław Zamoyski ofiarowywał mu jakąś posadę, ale poeta, pomimo biedy, w jakiej wówczas był pogrążony, hardo odmówił. Powód odmowy charakteryzuje Norwida. Oto, co mówi on sam w liście do Bohdana Zaleskiego, piśnianym już po powrocie swoim z za Oceanu.

„Wyjeżdżając do Ameryki ³⁾, Pan Władysław Zamoyski przez księdza Kaczanowskiego powiedział mi, że nie tylko miejsce, ale i dwadzieścia franków ⁴⁾, do miejsca przywiązane dostać mogę. Przyjąłem miejsce, pieniądze odmówiłem z wielu powodów, a mianowicie, iż Pan Zamoyski znał mię kiedyś i bywał u mnie.“ ⁵⁾

Nie przyjąwszy tedy pomocy, mając „dwie gwineje“ w kieszeni, puścił się rozbolały poeta za Ocean, „nie aby szukał Ameryki — jak sam pisał ztamtąd do Maryi Trembickiej — lecz żeby nie być *tam*...“

„*Tam*,“ gdzie pogrzebał miłość gorącego serca i najpiękniejsze aspiracye artystycznej swej duszy...

¹⁾ Hotel w Fontainebleau.

²⁾ Mss.

³⁾ Winno być: „Gdym wyjeżdżał do Ameryki.“

⁴⁾ Zapewne omyłka w cyfrze.

⁵⁾ Mss.

VI.

Stosunki Norwida z Mickiewiczem i Krasińskim.

Na tem, co powyżej, wyczerpaliśmy dzieje Norwida w czasie jego pobytu w Rzymie, Berlinie, Brukseli, i z pierwszej epoki paryskiej, o ile one na podstawie listów i dokumentów, w naszym posiadaniu będących i znanych już źródeł, odtworzyć się dały. Usiłowaliśmy z tych szczątków złożyć bezstronnie wizerunek poety; zaznaczyliśmy też, jakie były stosunki Norwida w pierwszej chwili poznania się w Rzymie z Krasińskim i Mickiewiczem; z pierwszym odrazu serdeczne, z drugim odrazu oziębłe, a niebawem protestem Norwida przeciw „Składowi Zasad“ popsute.

Mniemam, że obraz tych stosunków i sądów Norwida o tych dwu największych poetach epoki, zasługuje na to, by mu dać w pracy niniejszej osolne miejsce i zawrzeć w nim to wszystko, co, oprócz znanych już epizodów rzymskich, mieszczą w sobie dokumenty nasze, sięgające w czasy późniejsze. Z rozproszonych i dorywczych wzmianek trudno złożyć obraz zupełny, dadzą one może jednak pewne o nim wyobrażenie.

Osiedliwszy się w Paryżu, Norwid nie tylko widywał się z Mickiewiczem, ale nawet bywał u niego w domu, do czego, jak to już mogliśmy stwierdzić, przywiązywał większe znaczenie, wymagając wzajemnych odwiedzin.

W liście do Bohdana Zaleskiego ze stycznia 1851 r., pisze Norwid:

„Widziałem niedawno Pana Adama, który jest dziwnie miły teraz i w blasku prawdy swojej, prosty, słodki. Mówiłem, że masz nawiedzić Paryż ¹⁾, pytał czy zdrowe dzieci twoje. Nie bywam tam często, owszem jak najoszczędniej. Chórów greckich nie lubię, a ten wielki człowiek ma ich dwa, jeden echem mu, drugi śmiechem. Oba nie chrześcijańskie!²⁾”

Więc bywał u Mickiewicza, ale nie często, „jak najoszczędniej,” przyznawał, że jest *teraz* miły, prosty i słodki, jakim nie był pierwej, w Rzymie, ale stosunków bliższych zawrzeć nie mógł, raziała go bowiem atmosfera, otaczająca tego „wielkiego człowieka,” jak go najczęściej z ironią nazywa.

¹⁾ Bohdan mieszkał już w Fontainebleau.

²⁾ Mss.

W jesieni tegoż 1851 r. właśnie wówczas, gdy się żalił, iż „osobiście żywi się jadami, niezrozumieniem, zawiścią marną, bezsilnemi pogróżkami i paskudną małością,“ gdy polemizował z „pełnymi jadu“ listami inteligencji poznańskiej, z atakami „arcy-liberalno-socyalnego“ stronnictwa i „mystyków szkoły Andrzeja Towiańskiego,“ właśnie wówczas pisał do Zaleskiego:

„Widzisz, jak mi biedno i ciasno. Pan Adam jeden, lubo rzadko niezmiernie go widuję i lubo szeroko nie mawia, serdecznie mię uściśnie, jak spotka gdzie. Ci, co się sami nadarli po tej bronie żelaznej, to czują, choć nie mówią.“¹⁾

W tymże samym mniej więcej czasie, gdy Mickiewicz bawił u Bohdana w Fontainebleau, Norwid, jakto już widzieliśmy, pisząc do Zaleskiego, prosił, by go „rzewnie“ w jego imieniu pozdrowił.

W miarę jednak, jak Norwidowi coraz ciężej stawało się na świecie, w miarę, jak się przekonywał, że wobec wielkości uznanych, on nie zdoła znaleźć ani u swoich, ani u obcych rozgłosu, znikająca owa „rzewność,“ coraz bardziej oddalały go i zrażały „chóry greckie,“ otaczające „wielkiego człowieka.“ Raz jeszcze jeden tylko miał złożyć hołd Mickiewiczowi, hołd szczery z serca, przepełnionego żalem na wieść o śmierci Wieszcza.

W styczniu 1856 r., gdy w Paryżu gotowano się na przyjęcie zwłok Adama, gdy, wedle słów Bohdana, „uczucie i myśl były w rozterce“ z powodu nieodżałowanej straty Wieszcza, w którego obliczu „coś Dawidzkiego i Napoleońskiego przyświecało, który na czele niósł gwiazdę proroka i bohatera, a widny był na rozstrzeniach i w Polsce i w Słowiańszczyźnie i po świecie“²⁾, w tej chwili powszechnego popłochu i żałoby, porywa się Norwid i pisze wiersz, jeden może z najcelniejszych, jakie stworzył, zestawiając Mickiewicza z Sokratesem, Dantem, Kolumbem, Camoensem, Kościuszką i Napoleonem. Wiersz ten przesyła Bohdanowi z przypiskiem, w którym protestuje przeciw urządzaniu Adanowi pogrzebu *parafialnego*. On zasłużył na pogrzeb *historyczny*, lecz może społeczeństwo do takiego pogrzebu jeszcze nie dojrzało.

Zdawałoby się, że już wówczas, iście wieszczym duchem przezuwał Norwid, że pogrzeb *historyczny* odbędzie się, ale w wiele lat później, gdy trumnę Adama tłumy nieść będą na Wawel, że grób jego „odemkną powtórnie“ i że inaczej przyszłe pokolenie, które go „człowiekiem widzieć nie mogło,“ uczei jego zasługi...

¹⁾ Mss.

²⁾ Koresp. J. B. Zaleskiego. Tom II, str. 243 i nast.

Wiersz ten, niezatytułowany, brzmi:

1.

„Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie,
 Że ci ze *złota statwę* ¹⁾ lud niesie,
 Otruwszy pierwej...

„Coś ty Italii zrobił, Allighieri,
 Że ci *dwa groby* ²⁾ stawi lud nieszczerzy,
 Wygnawszy pierwej...

„Coś ty, Kolumbie, zrobił Europie,
 Że ci *trzy groby we trzech miejscach* ³⁾ kopie
 Okuwszy pierwej...

„Coś ty uczynił swoim, Camoensie,
 Że po raz drugi ⁴⁾ grób twój grabarz trzęsie,
 Zgładziwszy pierwej...

„Coś ty, Kościuszko, zawinił na świecie,
 Że *dwa cię głązy* we dwu stronach gniecie ⁵⁾
 Bez miejsca pierwej...

„Coś ty uczynił światu, Napoleonie,
 Że cię w *dwa groby* ⁶⁾ zamknięto po zgonie,
 Zamknąwszy pierwej...

„Coś ty uczynił ludziom, Mickiewiczu?...

.....

2.

„Więc mniejsza o to, w jakiej spocznieś urnie,
 Gdzie? kiedy? w jakim sensie i obliczu,

Przypiski Norwida:

1) Sokratesowi w kilka czasów po śmierci jego, Ateńczycy statwę ze złota postawili.

2) Dante pogrzebany w Rawennie i we Florencji.

3) Krzysztof Kolumb jest grzebany w Hiszpanii, w S.-Domingo i w Havannie.

4) Cztery lata temu szukano na cmentarzu komunalnym, gdzie był pochowany jednooki, beznogi żebrak, żeby Camoensa pochować.

5) Kościuszko leży w Solurze i w Krakowie.

6) Napoleona drugi pogrzeb niedawny.

Bo grób Twój jeszcze odemkną powtórnie,
 Inaczej będą głośić twe zasługi,
 I łez wylanych dziś będą się wstydzić,
 A łac ci będą lży *potęgi drugiej*
 Ci, co człowiekiem nie mogli cię widzieć...

3.

Każdego z takich jak Ty, świat nie może
 Odrazu przyjąć na spokojne łożę,
I nie przyjmował nigdy, jak wiek wiekiem;
 Bo glina w glinę wtapia się bez przerwy,
 Gdy sprzeczne cała zbija się aż éwiekiem
 Później... lub pierwej.“

Pisałem w Paryżu 1856 w styczniu.

Cyprian.

Przypisek do tego wiersza opiewa:

„Jeżeli masz głos w urzędzeniu ostatnich usług ś. p. Adamowi, racz wnieść, aby nie robiono mu pogrzebu z myślą tak *czasową*, z jaką dzienniki tylko pisze się, ale nie popioły grzebie. Jest *pogrzeb historyczny* za dojrzeniem sumienia czasów i pogrzeb *parafialny*. Nie sędę, abyśmy już dojrzeli dosyć, aby pierwszy ś. p. Adamowi *sumiennie* urządzić można było, lecz życzyłbym takiej błogo-zacności czasowi naszemu.“¹⁾

Po tym hołdzie, złożonym Mickiewiczowi, nie wiele znajdujemy już o nim wzmianek w listach Norwida, a jeśli są jakie, to z ironicznym przydatkiem. „Ubałwochwalony Mickiewicz,“ wspomina raz o nim w r. 1872 w liście do Bohdana Zaleskiego. Charakterystycznym też jest zdanie Norwida o wykładach Mickiewicza w Collège de France. Oto, dowiedziawszy się, że Lenartowicz podjął podobne wykłady w Bolonii, pisze do Zaleskiego 5 grudnia 1882 r.

„Donoszą mi, że Lenartowicz w Bolonii naśladowuje lub kontinuuje kursa ś. p. Adama Mickiewicza. Pojąć nie mogę, jak można kontynuować rzecz tak personalną. W całych kursach Mickiewicza jest tylko „l'histoire du génie de Monsieur Mickiewicz, mais l'histoire de la littérature polonaise n'y existe presque point.“ Ja mam nieszczęście, że nigdy nie lżę; jakże u licha mógłbym się modlić, lżąc od rana do wieczora!! Dopiero, kiedy widząc, iż

¹⁾ Mss. Na kopercie: „à Fontainebleau, rue de France-Monsieur Joseph Dieudonné Zaleski.“

prawie słówka niema o Juliuszu S. w kursach literatury, podniosłem ja tego poetę i za mną poszli inni, bo mi wstyd było takiego personalizmu, lubo personalizmu geniusza!“ *Cyprian Norwid.*¹⁾

Piekącem szyderstwem nacechowany jest także ustęp listu do Bohdana również 2 grudnia 1882 r.

„Odniosł się do mnie Pan Władysław Mickiewicz z zapytaniem, czy *jakiś wiersz w rękopiśmie jest mój, czy jego Ojca, nieśmiertelnego Adama Mickiewicza?* Nie miałem czasu rozemnać i odesłałem do Lenartowicza. Zapewne myślił, że to wielkie wrażenie na mnie zrobi!—niestety, nie mam czasu na to, a odpowiedziałem, że rozrzewnia mnie tylko sprzeczka o to, czy to wierszyk *Pupy* Mickiewicza nieśmiertelnego, czy mój? wtenczas, kiedy u mnie leżą rękopisma, czekające na coś więcej!“²⁾

Nad wyraz przykre wrażenie czynią słowa powyższe, a usprawiedliwić się dadzą tem tylko, że Norwid, chory już podówczas, a w ostatniej pograżony nędzy, patrzył z rozpaczą człowieka blizkiego już śmierci, na zmarnowany i nieuznany trud całego życia, na manuskrypty swe, czekające napróżno nakładcy, i „na coś więcej!“ Wobec pośmiertnej sławy Mickiewicza, którego najdrobniejszy utwór, każde słowo podnosił z rzadkim pietyzmem syn, a czięż otaczał naród cały, krwawiło się i zalewało goryczą serce nieuznanego poety. W rozżaleniu swem zapomniał, że sam stawiał Mickiewicza na najwyższym piedestale, obok największych bohaterów i poetów ludzkości, zapomniał, że ten Mickiewicz, jako człowiek, był z nim *prosty i słodki*, i że wówczas, gdy inni poili go jadem i zawiścią lub krytyką zjadliwą ścigali, on „jeden“ darzył go serdecznym uściskiem...

Równiejszym znacznie, choć nie bez zachmurzeń, był stosunek Norwida z Zygmuntem Krasińskim. Widzieliśmy, jak się z nim poznał w Rzymie i jak odrazu przyłgął do niego. Było to w r. 1848. Następną wzmiankę o Zygmuncie znajdujemy w liście Norwida do Bohdana Zaleskiego, pisanym 22 listopada 1850 r. Podówczas Krasiński bawił w Paryżu, lecz pragnął, aby o tym jego pobycie, wiadomym wszakże Norwidowi, nikt inny nie wiedział, co jednak utaić się nie dało. To też Norwid pisze:

„Że zaś wiesz zarówno, że Zygmunt tu *był*, to byłoby śmieszne, ażebym formalnie życzenia już trzymał się, pobyt ów wszystkim prawie wiadomy, tając. Zestarzał dużo—twarzą star-

1) Mss.

2) Mss.

szy od ciebie, dużo starszy, całkiem już posiwiął, twarz ociągnęła się, zdłużyła, nos wyorlony, oczy tylko tyńże samym blaskiem zapalone. W *duchu* wypokojony najobszerniej, ale (*do pewnego stopnia*) z tej przyczyny, że tak niewiele w *prawdzie* żyje. W tem dużo roztropności, że tak ogranicza zewnętrzny owoż widnokrag praktyki ducha swego, ale też i to, że gdyby go rozszerzył, toby może za wiele (względem wewnętrznego punktu wyjścia) niepokoju wywołał zewnętrznego, toby może za wiele wziął do walki. Z niezależną przynajmniej pozycją jego można tak do czasu nad widnokręgiem ducha swego panować...

„Ja z nim, jak od czasu kiedym z nim. Kocham piękność geniuszu i tę życzliwość szczególniejszą, którą mi jest bliskim i którą wysoko umiem cenić. W myśli często oszczuplonym napotykam, i nie taję mu tego, ale mówię jak teraz, jak to u ludzi genialnie w szczególnym jakim kierunku wystrzelonych prawie zawsze *konieczne*. W *duchu* wielkim, w *prawdzie* skąpo okrętnym. Tak *cenie*, bo nie *adoruje*, bom przyjazny—prawdziwie i homo sum!¹⁾”

List ten pozwala rozpoznać miarę, wedle której Norwid oceniał wielkich swoich współczesnych. Ciesząc się „szczególniejszą życzliwością“ Zygmunta, był mu za to wdzięczny i uznawał wielkość jego ducha, lecz do „adoracyi“ się nie posuwał, a nie szczędził mu nawet krytyki, znajdując, że nie wiele „w *prawdzie*“ żyje i że jest „w myśli często oszczuplonym.“

Kraśiński ze swej strony nie posuwał swej „szczególniejszej“ dla Norwida życzliwości tak daleko, by się pozbawiać krytycznego punktu widzenia. Pisząc w kwietniu 1851 r. do Stanisława Koźmiana i opowiadając niemiłe zajście swe z Julianem Klaczką, Zygmunt tak się o tym ostatnim i o Norwidzie wyraża:

„Mam go (Klaczkę) za charakter daleko wyższy od Norwidowego i inteligencyę daleko potężniejszą.“²⁾

W początkach roku 1852 czytano w Paryżu z zachwytem „Resurrecturis.“ Bohdan Zaleski w liście do ks. Hieronima Kajsiewicza z d. 8 lutego niema dość słów na wyrażenie swego zachwytu, podziwia styl „zsiadły, nakamienny,“ przyznaje, że Zygmunt jest „dziś na zenicie słoneczności swej,“ że duch wieszcz, który w Polsce „jeden jest, wspólny,“ teraz przebywa w piersi Zygmun-

¹⁾ Mss.

²⁾ Stanisław Tarnowski: „Julian Klaczko.“ „Przegląd Polski,“ styczeń 1908, str. 62.

ta, więc „my—dodaje—milczym, pochłonał bo on w sobie wszystkie światło i ciepło nasze.“¹⁾)

Inaczej Norwid. Bohdan, pełen uniesienia, mówił mu zaraz o poemacie Krasińskiego i zdaje się, czytał czy też deklamował wyjątki, jakto wnosić można z listu Norwida do Zaleskiego z 7 marca 1852 r. Ze słów tego listu okazuje się jednak, iż Norwid odrazu z ustną wystąpił krytyką poematu. Nie zarzucał mu pewnie tego, co w jego własnych poezjach zawsze brało górę, to jest przewagi dydaktycznego pierwiastku nad bezpośrednim wyrazem poetycznego natchnienia, tego zarzucać mu nie mógł; lecz nie dostrzegał, czy też dostrzedz nie chciał, że „Resurrecturis“ była ostatecznem niejako skryształizowaniem pojęć Zygmunta, najsilniejszym, bo najbardziej zrównoważonym, najczystszy, bo przepiękny w ogniu doświadczeń, wyrazem jego wiary, nadziei i miłości. Tego nie dostrzegł Norwid a wobec wywodów Zygmunta pospieszył roztoczyć przed Bohdanem swoją własną bardzo mało przejrzytą teorię:

„Miałem w rękę na chwilę oddruk *Resurrecturis* — pisze w owym liście z 7 marca 1852 r. — nieco odmienny od tego, co słyszałem, albo co nie dosłyszałem. Nie zmieniam zdania, lubo *całość rotacyi słowa* widzę. Jużci tak jest:

„Zbawiciel, jako wódz wielki, przełamawszy w kości pacierzowej nieprzyjaciela, odszedł. Męka jego nie byłaby arcydziełem męki, gdyby tryumfu czekał.

„Dla tego to *świat zwyciężony*, a zwyciężany wciąż. Zbawiciel tylko sztandar swój zatknął, to jest *pewność*.

„I dla tego choć odszedł, jest.

„Bo odszedł Ten zmartwychwstały i pociągnął, a został Ten męczony i pociąga. Tak jest i w biegunach globu tego naszego.

„Inaczej jakżeby kielicha z Nim kosztować, a więc jakby zmartwychwstać?

„To w tem leży owa polarna kontradycya *ofiary i miłosierdzia* equacyami dziejów harmonizująca się.

„Aż się i pochylenie biegunów zniesie, i jak za Zbawiciela, kiedy na świecie był, glob był najwięcej oświecony (o ile tabelle astronomiczne pokazują), tak ona światłość światłości się pokaże. Jużci słońce zczernieje przy niej, jako wór włosiany, tak, jak przy elektrycznej iskrze świeca zapalona jak *siatka pajęczyny* się wydaje.

1) Koresp. J. B. Zaleskiego. Tom II, str. 200.

„Astronomia i filozofia magów, którzy przyszli ugiąć czoła przed Zbawicielem, musiała być zaiste inną od astronomii i filozofii, w jakiej nas kąpią Akademie.

„Synowie Kopernika powołani będą do wyprowadzenia onej mądrości z cieniów tych, — już są ku temu i bazy i coraz więcej poczuć twórczych.

„Jaka piękna robota przed nami!

„Bo dwie są podobnie i mądrości. Ta, co *wiedzą* pozdrowiła dzieciątko Zbawienia.

„I ta, co *wiedzą* męczyła, zamęczyła i męczy Zbawiciela.

„Dla tego to u nas tak zupełnie inaczej rozwija się *wszelka umięjętność*. Kopernikowi to winniśmy.

„Trudna droga... *To też wchodźcie przez ciasne bramy, bo szeroka jest* etc. jak wiesz.

„Współcześnie z wykreśleniem całoprofilu *realności* w Resurrecturis:

„Bal na ubogich w Warszawie i *kontusze na scenie*, i pozwalają na to.

„Ani ci, co na scenie, ani ci, co pozwalają na to, *nie wiedzą co robią*.

„Może sobie przypominasz, co mówiłem, kiedy Resurrecturis mi mówiłeś, że tamta *realność* już fikcją, już na scenie; posłyszałem to w rotacyi słowa w Resurrecturis.

„Co też Paskiewicz myśli pozwalając na to? A co Hamlet grabarzom gada, kiedy nad grobem Ofelii piją?

„A jakże ma co zmartwychwstać, co by nie umarło?“¹⁾

Znacznie później, bo już w r. 1860 Norwid w jednym z listów do Bohdana pisał:

„Żeby też Zygmunt spojrział sobie spokojnie w piękny wiersz Resurrecturis i zapytał się siebie: „To-to-to sumienie narodu?“ toby się powinien przestraszyć. Bo więcej w hymnie tym ironii, niż w lekkich Weneckich powieściach Byrona!“

Z powyższych wywodów i tej ostatniej uwagi okazuje się, jak dalekim był Norwid od wniknięcia w istotę myśli utworu. Znaczne bowiem i zasadnicze różnice w pojęciach i zapatrywaniach dzieliły Norwida z Krasieńskim, które też z czasem mimowolnie oddziaływać musiały i na ścisłość ich wzajemnych stosunków. W roku 1857 załił się Norwid na Zygmunta w liście do Zaleskiego z 16 czerwca. Było to w czasie, w którym Norwid nikogo nie

1) Mss.

widywał, a z żalem i goryczą śledził, jak inni, młodsi, zdobywali sobie rozgłos i znaczenie. Czuł się opuszczonym nawet przez tych, w których przyjaźń wierzył i którym przyjaźni swojej dawał dowody. Wówczas to Krasiński bawił w Paryżu kilka miesięcy; przepędził tam całą zimę (1856), mocno zajęty nie tylko literackimi lecz i politycznymi sprawami. Czas swój dzielił między prelekcye J. Klaczki o Mickiewiczu i rozmowy artystyczne z Ary-Schefferem, a konferencye z ks. A. Czartoryskim, Montalembertem i Władysławem Zamoyskim. Wówczas to, w epoce kongresu państw europejskich po skończonej wojnie wschodniej, odbył tajemną rozmowę z cesarzem Napoleonem. Temi zaprzątnięty zajęciami, a wreszcie zmartwiony znacznymi stratami majątkowymi, poniesionymi w bankructwie bankiera Thuracyssena i zniewolony wracać do kraju, Krasiński nie starał się odszukać Norwida, na co tenże uskarża się przed Zaleskim:

„Był tu Zygmunt z pół roku—pisze—nie widziałem się z nim, był Koźmian Jan, przejeżdżając do Rzymu, niemniej nie raczył zapukać do mnie. Pierwszy płakał na ramieniu mojem, drugi z ś. p. żoną pod okno więzienia mego¹⁾ przechadzał. Oto i wszystko.“

A do słów tych dodaje wiersz, pełen piekącego bólu, w którym o zamierzonej „nowej ucieczce“ wspomina:

„Nim znów ucieknę, nie nie mając zgoła,
W podartym płaszczu, o porze zawiei —
Od zmienionego w salonik kościoła,
Od zamienionej w karczmę epoei,
Lub i płaszcz może zostawię,—acz bywa,
Że kto zostawia i płaszcz, na sąd wzywa.“²⁾

Żal ten jednak do Krasińskiego ustąpił miejsca rozrzewnieniu, gdy nadeszła wieść o jego przedwczesnej śmierci. Pod wpływem tej wieści żałobnej, pisał do hr. Karola Krasińskiego:

„Zgon wielkiego poety i wielkiego świecznika zacnego rodu waszego był zarazem dla mnie i ciosem równie wielkim — najrzadszą albowiem dziś straciłem rzecz: to jest szlachetnie różniące się ze mną przyjaciela! Cóż bo dziś, a mianowicie u nas rzadszego jest? którzy zawsze o niezgodę bywamy pomawiani, a w gruncie rzeczy zupełnie że co innego zbywa nam, to jest,

¹⁾ W Berlinie 1846 r.

²⁾ Mss.

że umiemy się tylko kłócić, albo kochać; ale nie umiemy się różnić pięknie i mocno — a on tak umiał te rzeczy! i mistrzem był w tym względzie nieporównanym.

„Potem chory byłem, zaziębiwszy się, kiedy, szlochając, od drzwi Zygmunta biegłem do siebie w nocy — a że nie płaczę od lat kilku, płynu tego w ciele nie mając, który łzę stanowi, więc skoro mam szlochać, cierpię rodzaj spazmu konwulsyjnego, co łatwiej niż ktokolwiek obcy pojmiesz, bo widywałeś mnie był dawniej w podobnym stanie — a to z wiekiem pogorszyło się.

„Chcę przesłać ci egzemplarz jeden medalu śp. Zygmunta, który z brązu zrobiłem. Hr. Roger ¹⁾ utrzymuje, iż od fotografów podobniejszy, a to być tak powinno dla przyczyny, iż indywidualności palące się coraz inne dają portrety — fotografów Mickiewicza jest kilka z różnych lat i każdy do drugiego niepodobny — my zaś, robiąc nie powtórzenie ślepe momentu jednego, dajemy portret wielu tej osoby momentów — dajemy momentów summę!“ ²⁾

*

*

*

Oto wszystko, co o stosunkach Norwida z Mickiewiczem i Krasińskim zebrać mogłem na podstawie dokumentów, znajdujących się w posiadaniu mojem. Zdziwić może, iż w dokumentach tych, zawierających bądź co bądź wiele szczegółów osobistych, wrażeń i sądów, oprócz jednej, krótkiej wzmianki o Słowackim, w której Norwid sobie niejako przypisuje zasługę, iż pierwszy dał impuls do uznania „tego poety,“ niema wogóle ani słowa o Juliuszu, ani słowa o stosunkach z nim osobistych.

Na podstawie tychże dokumentów usiłowałem odtworzyć, o ile to się dało, rysy znamienne życia, charakteru i usiłowań tak literackich, jak i artystycznych Norwida w czasie od r. 1845 do jesieni 1852, t. j. do wyjazdu do Ameryki. Epoka to, poczynająca się rozpromienieniem duchowem, wielkiem zaufaniem w siły własne, a kończąca się w mroku rozczarowań i zawodów.

¹⁾ Raczyński.

²⁾ Z listu drukowanego w „Kuryerze Lwowskim“ w numerze z 18 kwietnia 1908 r.

W spuściźnie Bohdana Zaleskiego znajduje się jeden wiersz Norwida, nie mający daty, lecz streszczający niejako w sobie uczucia, myśli i dążenia, jakie w tej epoce rozpierały pierś i mózg poety-artysty, nie wydawszy wszakże spodziewanego plonu.

Wiersz ten brzmi:

Modlitwa.

„Przez wszystko do mnie przemawiałeś, Panie,
Przez ciemność burzy, grom i przez świtanie;
Przez przyjacielską dłoń w zapasach z światem,
Pochwałą wreszcie—ach! nie Twoim kwiatem...

I przez tę rozkosz, którą urąganie
Siódmego nieba tchnąć się zdaje—latem—
I przez najśłodszy z darów Twych na ziemi,
Przez czułe oko, gdy je łza ociemi,
Przez całą dobroć Twą, w tem jednym oku,
Jak całe niebo odjaśnione w stoku!

Przez całą ludzkość z jej staremi gmachy,
Łukami, które o kolumnach trwają,
A zapomniane w proch włamując dachy,
Czujnymi z nowa liśćmi zakwitają.
Przez wszystko!...

Panie!—ja nie miałem głosu
Do odpowiedzi godnej — i — milczałem:
Błogosławionym zazdrościłem stosu,
I do *Boleści*, jak do matki, drżałem,—
I jak z bliźnięciem zrosły w pól z *zapalem*,
Na cztery strony świata mając ramię,
Gdy doskonałość Twą obejmowałem,
To jedno słowo wyjąknąwszy: *klamię*:
Do niemowlęctwa [wracam...

!Jestem *znamię*!

Sam głosu nie mam. Panie, daleś słowo,
Lecz wypowiedzieć któż ustami zdoła?
Przez Ciebie prochów stałem się Jehową,
Twego na piersiach mam i czezę anioła,
To rozwiąż jeszcze głos — bo anioł woła.

Cyprian Norwid. ¹⁾

¹⁾ Mss.

Powyższe strofy zdają się odzwierciedlać wiernie stan duszy Norwida w tych właśnie latach. W epoce tej czuł on jeszcze ciepło przyjacielskiej dłoni w zapasach ze światem, czuł „rozkosz siódmego nieba,“ rozkosz miłości, „najsłodszy z darów bożych na ziemi.“ Cała ludzkość przemawiała do niego wówczas przez starożytną sztukę, a on pełen zapału, „zrosły z nim jak z bliźnięciem,“ zdawał się „na cztery strony świata wyciągać ramiona“ i obejmować „doskonałość bożą.“ Ale nie znalazł w sobie głosu do odpowiedzi, godnej wezwania Bożego. I zdołał jedno tylko wyjąknąć słowo: *kłamię!* Poczul w sobie niemoc, poczul, że jest tylko *znamieniem* epoki, bez głosu, który Bóg jeno mocen jest rozwiązać. Bóg dał poecie *słowo*, lecz słowa tego usta ludzkie w całej pełni wypowiedzieć nie zdołają. Bóg dał artyście natchnienie, on je czuje w swych piersiach, niby wołanie anioła, więc błaga Boga, by dał mu moc, by mu głos rozwiązał...

W wierszu tym dostrzedz się daje pewne pokrewieństwo z pojęciami, wyrażonemi w Promethidionie, zwłaszcza w drugiej jego części, gdzie jest „rzecz o Prawdzie;“ są również analogie z przytoczonym listem współczesnym do Zaleskiego z 22 listopada 1850 r., a mianowicie z ustępem: „I tak ja jestem *homo mendax* i tak każdy z żywiących.“

Dlatego też w wątpliwości, z jakich czasów ten wiersz pochodzi, uważam za stosowne zamknąć nim, najodpowiedniejszą jakby pieczęcią, tę pierwszą część pracy mojej.

ADAM KRECHOWIECKI.

WIKTORYN SARDOU.

Śmierć jednego z najpopularniejszych komedyopisarzy francuskich nie wywołała we Francyi głębszego wrażenia; może dlatego, że nad jego talentem oddawna już zbyt wiele wypowiedano mów pogrzebowych. I jak we wszystkich takich mowach, których słuchać musi żyjący, było sporo niesprawiedliwości i dużo tego złośliwego odwetu, jakiego nie żałują sobie nigdy ci wszyscy, co mają pretensye do okadzanego bożyszczka, żeby im zwrócił koszty za kadzidło.

A hołdy zaczęły się wcześniej.

Pięćdziesiąt lat temu święcił Sardou pierwszy tryumf w „Młodości Figara.“ Sztuka miała niesłychane powodzenie, które autor zawdzięczał niewątpliwie w znacznej części grze znakomitej Frétilton w roli Figara, ale więcej jeszcze przymiotom, zawierającym już w zarodku przyszły talent ze wszystkimi jego zaletami i niedoborami. Paryż zapominał o Beaumarchais'm, a biegł patrzeć na młodziutkiego cyrulika, wprawiającego się w golenie bród klienteli u balwierza Carasco, wśród której student Almagiva, marząc już o Rozynie, zukosa spoglądał na doktora Bartola, na nieśmiertelnego don Basilia. Wielki twórca „Wesela Figara“ otworzył poczynającemu pisarzowi podwoje pierwszorzędných teatrów, przez które wszedłszy w nieodstępny towarzystwie powodzenia, Sardou nie zatrzymał się aż za progiem Akademii.

Co mu ułatwiło i wygładziło drogę, tak dla innych trudną i mozolną? Talent—zapewne i to w swoim rodzaju pierwszorzędnym, ale nietylko talent. Augier i Dumas nie byli od niego gorzej uposażeni, a pierwszy nie zawsze trafiał do sympatyj publiczności, drugi często ją odpornie nastrojał. Jeden z poważnych krytyków francuskich nader trafnie określił naturę tego talentu, zaznaczając, że Sardou znał nawskroś, może najlepiej publiczność francuską.

Francuz nie lubi rozumować ani rozmyślać nad zadaniami cywilizacyjnymi sceny: teatr uważa poprostu za rozrywkę i bywa w nim dla przyjemności. Przyjemność jednak jest uczuciem skomplikowanym: w śmiechu można znaleźć szczęście, ale i łyzy zawierać mogą słodycz, a nawet groza ma swoją właściwą rozkosz. Szło więc o to, aby, stosując się do wymagań realistycznego teatru, który komedię czystą odsunął od siebie, jako niezgodną z prawdą życiową, zmniejszać tak zręcznie łyzy ze śmiechem, aby widz zabił się, wzruszył i wyszedł z teatru pod silnem choć miłym wrażeniem. Służyła ku temu ekspozycja z komedii, sytuacja kulminacyjna z dramatu, rozwiązanie z sentymentalnego wodewilu; trzeba było być śmiałym bez zuchwalstwa,—bo Francuz nie lubi kiedy mu się kto nie narzuca; nie należało jednak przesadzić w ostrożności,—bo ta sama publiczność, która protestuje przeciw przemocy, obraża się, gdy ją jak nieletnią traktują. Ten eklektyzm, ta umiejętność utrzymania zawsze linii demarkacyjnej, ten dar zaryzykowania wszystkiego, bez istotnego narażenia cokolwiek bądź—to właśnie główna cecha talentu Wiktoryna Sardou. Ale nie tłumaczyłaby ona jeszcze ówczesnej jego popularności, gdyby nie to, że odpowiada zarazem przeważającemu rysowi charakteru francuskiego.

W życiu narodów, które na czele ludzkości spełniają misję cywilizacyjną, eklektyzm ważną odgrywa rolę. Im szerzej żyje jakaś społeczność, im dalej życie swoje rozlewa, tem mniej ma czasu do skupienia się, tem naturalniej mnogość objawów życiowych głębią opłacać musi. I dlatego osławiona płytkość Francuzów więcej może usług oddać ludzkości, aniżeli głębokość innych narodów. Głębokość, skupienie pełnać musi serce czy umysł w jednym kierunku, który już ogranicza wszechstronność cywilizacyjnych wpływów. Mogą stąd powstać Niemcy—naród filozofów; Anglia—naród statystów; Włochy—naród artystów; ale nie urodzi się naród, któryby, jak Francya, był tem wszystkim razem. Eklektyzm wnosi też Francuz do poglądów na życie, więc lubi, gdy mu kto obraz tak pojmowanego życia w teatrze przedstawi—i tu może szukać należy tajemnicy powodzenia Sardou.

Francuz żyje prędko; żyje wielostronnie i łatwo—i chce tę szybkość, wielostronność i łatwość znaleźć w żywej akcji scenicznej. Cywilizacja skomplikowała mu charakter; powikłania społeczne stawiają go w niezwykłych, czasem nadzwyczajnych sytuacjach; pośpiech w dążeniu do coraz nowych celów zaostrzył wrażliwość jego mózgu na wszelkie prądy myślowe—serca, na wszelkie wstrząśnienia uczucia; więc rad to wszystko spotkać w fikcyj-

nym świecie kulis, byleby mu pod pozorem głębokości charakterystyki nie kazano zatapiać się w psychologię; byleby sytuacja na scenie nie dręczyła go tyle co w życiu; byleby wrażliwości swojej nie potrzebował zbyt ściśle regulować artykułami kodeksu moralności. Cóż zatem dziwnego, że nad Augier'a, z którym musiał się gniewać, nad Dumasa, który go zniewalał do filozofowania, przekładał Sardou, z którym mógł się bawić?

Lindau, określając stosunek trzech dramaturgów francuskich do zadań życiowych, nazwał Dumasa prokuratorem, Augier'a sędzią, a Sardou adwokatem dramaturgii. Nic trafniejszego nad tę definicyę — a kto wie, czy Sardou nie najwierniej został scharakteryzowany! Sprawy ludzkie, uczucia, namiętności traktuje on istotnie po adwokacku, nie wdając się w sądy, lecz przedstawiając je raczej z różnych stron, przyczem nie hołduje ani optymizmowi Scribego, ani pesymizmowi Dumasa, lecz uprawia umiarkowany sceptycyzm, który mu pozwala być eklektykiem w kombinowaniu motywów psychologicznych i różnych na moralność zapatrywań. Takie czysto francuskie stanowisko najwyraźniej akcentuje się w traktowaniu naczelnego tematu literatury dramatycznej we Francyi — cudzołóstwa, zwłaszcza w typowej komedyi Wiktoryna Sardou „Nasi najserdeczniejsi,“ której zakończenie jest prosto uplastycznieniem znanego o wiarołomstwie aforyzmu:

„Quand ou l'ignore—ce n'est rien
Quant ou le sait—c'est peu de chose.“

Widz wybiera sobie konkluzyę, jaka mu bardziej do smaku przypada, a Sardou uśmiecha się sceptycznie. I trudno doprawdy brać mu za złe ten uśmiech. Największy z prawodawców nowożytnych powiedział wśród areopagu jurystów, układających pierwszy na świecie kodeks: *l'adultère, c'est l'affaire du canapé*; niepodobna więc mieć o to pretensyę do Wiktoryna Sardou, że nie był głębszym od Napoleona,—tem bardziej, że Sardou nie miał bynajmniej przedmiotowej obojętności ówczesnych naturalistów.

Uważniej rozpatrzywszy się w jego repertuarze, łatwo w nim znaleźć sympatyę i antypatyę pisarza o zdrowych instynktach, o wyobraźni, nieskłóconej psycho-fizyologicznemi wizyami. Pogłębienie rysów w pewnych ujemnych charakterach świadczy tylko o sile werwy satyrycznej, która te charaktery wytrąca z granic specyficznie francuskiej społeczności i zbliża do wszech ludzkich typów.

Obok wielu innych cech, charakteryzujących talent Wiktoryna Sardou, zaznaczyć wypada dar wyczuwania prądów, krążą-

cych wśród atmosfery paryskiej. Takie prądy społeczne, polityczne, moralne, nie nurtując zbyt głęboko pod ruchliwym poziomem życia francuskiego, wzruszają przeciw jego falami mniej więcej silnie i widocznie. Nie jestto opinia publiczna, w tem znaczeniu, jak się w Anglii np. objawia, ale ma, chwilami przynajmniej, wszelkie jej pozory. Te chwile chwycił Sardou w lot; nikt, jak on, nie potrafił bodaj krótkotrwałego objawu uogólnić do znaczenia *kwestyi*, lekkiego powiewu spotęgować do siły prądu, przemijającej niedyspozycji nadać pozór choroby społecznej. Francuzi przepadają za taką syntezą na poczekaniu; jestto z całego romańskiego szczerpu naród, posiadający najsilniejszą skłonność, a zarazem i uzdolnienie do przedstawiania sobie życia w kształtach konkretnych. Stąd prawdopodobnie takie w nim zamiłowanie do widowisk scenicznych; stąd może charakter teatralny wielkich w życiu Francyi faktów dziejowych, które rozwijały się jakby pod staranną reżyserią, pamiętającą przedewszystkiem o efektywnem *mise en scène*; stąd wreszcie ta potrzeba zobaczenia zewnątrz siebie oczyma ciała tego, co zdaje się niewidzialnie i niepochwytnie krażyć dopiero w powietrzu, co Niemiec potrzebuje w głębinach myśli oczyma ducha odszukać, a czego Anglik nie uzna wcale, dopóki kanałami opinii nie wejdzie w ciało i krew społeczeństwa.

Wreszcie w jednym jeszcze kierunku Sardou był nawskroś Francuzem: w zamiłowaniu wdzięcznej wykończonej formy. Jest to, jak całemu światu wiadomo, właściwość charakteru Francuzów i wyższość ich nad innymi narodami, stwierdzona na wszystkich międzynarodowych turniejach. Smak w budowie, harmonia linii, proporcjonalność kształtów, cechujące wszystko, do czego dotknie się ręka Francuza, wyróżnia też i dramatyczne ich utwory z pomiędzy dzieł tej gałęzi literatury u innych narodów. Ta równowaga składowych czynników ujawnia się i w samej treści utworów Wiktoryna Sardou, regulując stosunek między charakterystyką osób działających, a wymaganiami akcji, tak, że ani postacie nie są jedynymi pozorami dla sytuacji, ani sytuacja nie jest czemś narzuconem postaciom, lecz wszelkie starcia bądź dramatyczne, bądź komiczne, wypływają wprost z charakterów, które znów za pomocą sytuacji występują w kształtach coraz plastyczniejszych.

W miarę dojrzewania talentu Wiktoryna Sardou, nikły też z fizyognomii jego dawniejsze rysy podobieństwa do Scribego; przybywał jej natomiast wyraz zamyslenia z lekkim odcieniem pesymizmu. I tu właśnie poczyna się kapitalna między Scribem a Sardou różnica. Scribe zestawia śmiech z płaczem, nie troszcząc się o to, skąd się wziął jeden i drugi; sytuacje jego, powierz-

chownie uchwycone, działają efektem zewnętrznym, teatralnym, pajęczemi zaledwie niemi z treścią życia połączonym. Sardou próbuje w kontrastach swoich zamykać jakąś filozofię życiową. Katastrofy, spadające na jego bohaterów, mają zawsze drobne przyczyny, które satyryk znajduje w przesądach, uprzedzeniach, w głupocie, w samolubstwie, lub wogóle w niższych instynktach całego tych bohaterów otoczenia. Komedya jest tłem dramatu, tak jak w życiu; komizm dnia powszedniego może być źródłem nieobrachowanych cierpień, kolizyj i sytuacji dramatycznych bez wyjścia. W kulminacyjnym jednak momencie akcji Sardou odzyskuje sceptycyzm, który był jej punktem wyjścia i który zamilkł na chwilę wśród wymowy szlachetnych uczuć, wyższych dążeń i celów; małe, komiczne przyczyny sprowadziły wielkie, dramatyczne następstwa; ale grozę wielkich dramatycznych następstw rozprasza znów bóstwo komedyi,—traf, przypadek. Jest to życie pojmowane i traktowane po francusku, tragedia z zakrojem felietonu. Można je takiem znaleźć nawet w historii i dlatego jedną jego stronę tak dołrze reprezentuje Sardou, dlatego jest pewna słuszność w uczynionem przez kogoś zestawieniu trzech dramaturgów francuskich z trzema bohaterami wielkiej rewolucyi, w którym Augier, jako najszczerzy i najsilniejszy staje obok Dantona; Dumasowi, zapiętemu pod szyję w doktrynerstwo i moralność wyznacza się miejsce przy Robespierze, a fantastyczny, uerwowy Sardou, przypominający trochę barykadowego bohatera, brata się z Kamilem Desmoulin.

Szczegółowy rozbiór repertuaru Wiktoryna Sardou nie jest bynajmniej zadaniem tych uwag; staraliśmy się tylko, szkicując zasadnicze cechy twórczości zmarłego dramaturga, złożyć konturowo fizyognomię jego talentu tak, jak się rysowała na tle współczesnej literatury dramatycznej. W tej fizyognomii ruchliwej, nerwowej, niespokojnej odbijają się wszystkie właściwości charakteru Francuzów: inteligencya lotna, dowcip bystry, temperament namiętny, życie gorączkowe, upodobanie w efektach, niecierpliwosć syntezy, potrzeba silnych wzruszeń, skłonność do sceptycznej przeciw nim reakcyi, umiejętność okupywania niedoborów treści wytwornością formy—słowem wszystko, co stanowiło indywidualność ówczesnego społeczeństwa francuskiego.

Sardou jest prawdziwszym, aniżeli Scribe, przedstawicielem tej społeczności w literaturze dramatycznej — i w tem też wyższość pierwszego nad drugim—w tem tajemnica wielkiej w swoim czasie popularności autora „Safandulów.“

Ruch umysłowy w Niemczech.

„Dieu n'est pas actuel!“—temi słowami zaopatrzył przed pół wiekiem mniej więcej założyciel i wydawca słynnej „Revue des Deux Mondes“ nadesłany mu rękopis filozofa, traktujący o jestestwie Boga. Podobnie odpowiadała cała Europa każdemu, ośmielającemu się dotykać spraw, nie będących w bezpośredniej styczności z jej zaaferowaną teraźniejszością. Aktualną była polityka, aktualnym był przemysł, aktualnemi były nauki przyrodnicze, aktualnemi były wszystkie objawy tej fatalnej mechanizacji, która impetem swoim nadawała rytm i kierunek życiu, myślom i tendencyjom ówczesnej Europy. Pędzona naprzód, gnana jakimś bezmyślnym szałem materyalnych konsekwencyj, których rosnąca mnogość coraz bardziej przybiera coś z chaotycznych, nierozwiązalnych poplątań, Europa ta przypomina jedną z owych tanecznic, wirujących pod wpływem ukąszenia jakiegoś zjadliwego owadu. Charakterystycznym jest przytem, że czasy te są zarazem czasami dumy i samozadowolenia, czasami bezgranicznej wiary w swoją nieomylność i bezgranicznej pogardy dla wszystkiego, będącego rzekomo po za obrębem jej widnokręgów—po za obrębem jej tak zwanej „cywilizacji.“ Ale podczas, gdy „cywilizacya“ ta wojująca rozpościera się na północ i południe, na zachód i wschód i święci olśniewające tryumfy Aleksandra Macedońskiego; podczas, gdy przeświadczenie rośnie i rozpanasza się, że nie ma godnego pod słońcem, coby mogło ostać się jej niwelującemu i przekształcającemu wpływowi; podczas, gdy z dogmatów, talizmanów i pomników kultur i wierzeń bezbożna ręka eklektora-rabusia zszywa płaszcz tryumfatorsko-błazeński nowo-europejskiego uniwersalizmu, — rozkwita znów organowy akord wiary i podnosi swą w brzaski spowitą aureolę po nad szare poziomy. Stare, pijane

czarem niesłychanych poznań i uświadomień pieśni o Bogu, psalmy złotostrunne ekstazy, szemrzące modlitewne wylewy znajdują znów drogę i ujście.

Służę, służysz, służy!... było nutą przewodnią cywilizacyjnych zastępów. Komu i czemu?... Ani wprzeżony w olbrzymi mechanizm wiedzy uczony-specjalista, ani polityk-realista, ani przemysłowiec-spekulant, unoszony pędami ekonomicznych fluktuacyj, ani wynalazca-poskromiciel, nie pytali o to. Zaliż owa służba nie była sama przez się dość uciążliwa, pochłaniająca wszystkie myśli, wysysająca wszystkie siły i wymagająca olbrzymiego napięcia? żaliz jednostka pod naporem nieskończonego splecionych potrzeb, postulatów i konieczności cywilizacyjnych miała jeszcze czas i możliwość szukania źródeł?

Jeżeli pytania te natrafiały wogóle na oddźwięk, to było nim najczęściej wyznanie ciasno-egoistycznej natury; bo i cóż mogło być po za tem motywem ostatecznym w świecie, uznającym walkę o byt za prawo naczelne, a mechanizację kompletną za nieodzowną konieczność? A jednak i ten świat nawiedzony został jasnością niespodzianą. Sprawy Boskie weszły znów na porządek dzienny i zaczęły coraz silniej niepokoić umysły. Żyjemy dziś w okresie budzących się do życia nowych sił religijnych, które są w stanie przekształcić całkowicie obraz świata ucywilizowanego. Siłom tym i różnorodnym objawom ich na tle współczesnego życia umysłowego w Niemczech, zamierzam poświęcić niniejsze studium.

*

*

*

Istnieją trzy ogniska, skupiające dziś w Niemczech wszystkie promienie nowych uczuć i myśli religijnych. Jednem z nich jest teozofia, drugim filozofia, szczególnie w swem idealistyczniemonistycznym zabarwieniu, trzecim nowoczesna teologia.

Towarzystwa teozoficzne, istniejące i działające od lat 0-tu w Europie, nie są, co prawda, instytucjami o cechach nacyonalnych, dlatego też trudno byłoby pisać o ich specyficznie niemieckich rysach. Dążeniem teozofii jest zbratanie całej ludzkości, uświadomienie wszystkich łączników, jednoczących ludy i jednostki w jedną wielką całość, celem jej naczelnym jest rozpowszech-

nienie wiedzy boskiej, czerpanej u wszystkich źródeł, przede-wszystkiem jednakże z owego nieznanego, przezroczonego, jakim była i jest do dziś dnia wysoka kultura duchowa indyjska. Podczas gdy mała Europa, dufna w swą nieomylność i doskonałość kulturalną, deptała stopą zuchwałą po karkach ujarzmionych obco-plemieńców; podczas gdy karta świata z dnia na dzień podobniejszą się stawała do szachownicy kolonizacyjnej, upstrzonej wszystkimi kolorami europejskich posiadłości, dokonana została w głąb tejże Europy cicha inwazyja ze wschodu. Ciekawe są pod tym względem takie postacie, jak Rámmohun-Roy (1774 — 1833) lub Keshub-Chunder-Sen (1838 — 1884), składające wymowne dowody, że w ojczyźnie kultur, u podnóży niebotycznych gór Himalajskich, myślano i tęskniono do połączenia i stopienia wschodu i zachodu świata. Europa początkowo przyjęła to wtargnięcie z lekceważącym uśmiechem pogardy, jakim zresztą witano i do dziś dnia wita się u nas wszystkie rzeczy nie-europejskie; europejczycy bowiem, jak powiada Lord Singelworth Norwida, mają to wspólnego z murzynami, „ *iż ze wszystkiego się śmieją, czego odrazu pojąć nie są w stanie.*“ Witano pierwsze zwiastuny objawiającej się zachodowi kultury duchowej wschodu, jako objawy dekadentyzmu, jako modę, na którą patrzano w najlepszym razie okiem archeologicznego zaciekawienia. W ciągu 30-tu lat działalności towarzystw teozoficznych, które dziś istnieją nie tylko w Niemczech, Anglii, Francji, Holandji, Szwajcaryi, ale i w Afryce, Ameryce i Australii, stanowisko to uległo znacznej zmianie; ale i dziś dają się zauważyć znaczne różnice w stosunku oddzielnych narodów do mądrości wschodu.

W rozprawie swej o budyźmie nazywa Anatole France naukę Sakya Muni najpiękniejszym kanonem moralności, filozofią godzącą się z najśmielszymi spekulacyjami nowoczesnej umysłowości, chociaż brak mu przekonania, aby mądrość ta nadawiała się „dla nieznanających wytechnienia narodów Europy,“ dla ludzi i ludów „w pełni życia i sił.“ A subtelne leki Mędrca z Kapilawastu, będące uniwersalnym środkiem przeciw wszelkim objawom zła, nie nadają się według niego do naszej konstytucyi. Sama myśl o absolutnym pokoju Nirwany napełnia go przerażeniem; ale zataić nie może swego podziwu dla tego źródła moralności, które wytrysło u podnóży Himalaju, zanim geniusz grecki dosięgnął swego rozkwitu, i do dziś dnia zachowało swą życiodajną czystość i czarującą świeżość. Jednocześnie niemal wymyka mu się uwaga, że Sakya-Muni i dziś jeszcze jest dla naszej „starej, cierpiącej ludzkości“ najlepszym doradcą i najłagodniejszym pocieszycielem.

O wiele intensywniej odzwierciadla się światopogląd mędrców wschodu w czarujących i mieniących się mistycznymi barwanami rozprawach i studyach Maeterlincka, który też o wiele logiczniej szuka źródeł życia i młodości nie w czasowości młodych narodów i ras, ale w głębiach ducha, dla których dwa tysiące lat mogą być pod pewnemi względami jednym okamgnieniem. W Anglii i Ameryce nauki wschodu, rozpowszechnione przez niezłomowaną czynność towarzystw teozoficznych, znalazły wielorakie praktyczne zastosowanie. Najgłębszy może jednakże wpływ wywarła mądrość wschodu na umysłowość niemiecką.

Znana jest sympatya Szopenhauera dla budyzmu i bramanzmu, sympatya, sięgająca w istocie znacznie głębiej, niż zwyczajne sympatye literackie. W historii wzajemnego przenikania się i ścierania bramanizmu i budyzmu filozofia Szopenhauera odgrywa rolę znamioną: — widzimy w niej pierwszą próbę wyrażenia prastarej wiedzy Bramanów w metafizyczno-filozoficznych formach myślenia europejskiego. W studyum swem o Szopenhauerze stara się np. Otto Weiss („Schopenhauers Monismus“) wykazać to pokrewieństwo, zwracając uwagę na szczególny paralelizm pomiędzy rozwojem pierwotnej idei bramanizmu a kształtowaniem się filozofii Szopenhauera. Przytem nie należy zapominać, że podobieństwo to nie jest bynajmniej przypadkowe. Szopenhauer z zupełną świadomością idzie temi drogami i szuka tych pokrewieństw.

*

*

*

Zbliżenie wschodu i zachodu, którego wyrazicielami i rzecznikami są w dziedzinie filozofii Szopenhauer, Schelling i Hartmann, wzięły na się w dziedzinie praktycznej towarzystwa teozoficzne. Teozofia nie jest sektą religijną, ani organem jakiegokolwiek kościoła. Nie wspólne dogmaty i wyznania wiary łączą jej członków w jedną wielką całość. Każdy, prawdziwie szukający prawdy, bez względu na to do jakiej konfesji należy, musi wkońcu — w to wierzy teo-sofia (wiedza o rzeczach Boskich) — bez względu na to, jakim był jego punkt wyjścia, dotrzeć do źródeł prawdy boskiej. Szukanie tej prawdy jest ogólnym łącznikiem

wszystkich prawdziwych teozofów. Nie to, co ludzi i religie rozdziela, ale to, co wszystkich i wszystkie jednoczy, jest przedmiotem jej roztrząsań i nauki. W ten sposób pragnie teozofia stworzyć wielki łańcuch braterstwa, ciągnący się, bez względu na pleć, narodowość i religię, przez wszystkie kraje świata, okalając cały glob ziemski. Nie chodzi jej o walkę przeciw religijnym odrębnościom, ale o rozbudzenie prawdziwego życia religijnego, o otwarcie źródeł wiecznych, w których każdy kąpać się może w blaskach prawdziwego poznania. Ponad zwątpieniami i małodusznością wieździe ona ku owej wiedzy, która daje pogodę i spokój duszy i otwiera niesłychane perspektywy w głąb duchowej rzeczywistości. Że wiedza ta odznacza się dziś dla nas wieloma cechami specyficznymi wschodniemi, przypisać należy przedewszystkiem wszelkiemu brakowi życia religijnego w umysłowości europejskiej, wijącej się w węzowych objęciach materializmu. Czasy wielkiej wiary, pisma wielkich naszych mistyków europejskich składają atoli wymowne dowody na to, jak bardzo wszelkie dociekania ludzkie, zmierzające w głąb istoty religijności, są do siebie podobne. Nie należy jednakże zapominać, że silne zabarwienie budytyczne, którem odznacza się teozofia, pochodzi i stąd, że kolebka jej stała w ojczyźnie Sakya-Muni, że trzymali ją do chrztu magowie wschodu, że jest ona cichą inwazyją wschodu. Tenże budyzm, który bez przelania kropli krwi zdobył Tybet i Birnę, Anam, Syam i Kambodżę, Chiny i Japonię, który dziś liczy w Azji 400 milionów zwolenników, który w swej zadziwiającej tolerancji przyjął w łono swoje nauki wiedzy nowożytniej i zaliczył Darwina i Littrę'go w poczet swoich świętych, ponieważ na wzór ascetów dowiedli wielkiej żarliwości serce, dobrej woli i silnej pogardy dla dóbr świata tego — zasługuje bezwątpienia na to, abyśmy go wcielili w całość naszą ku nowym syntezom zmierzającej wiedzy. W tendencyach swych etycznych jest teozofia rzeczniczką wysokiego idealizmu; dążeniem jej naczelnem, jest rozpowszechnienie przekonania, że dusza i duch są źródłem wszystkiego, że poznanie prawdy budzi najszlachetniejsze siły w człowieku, a błąd jedynie rodzi siły wrogie, zaślepienie tworzy owe mgły nieprzebyte, zasłaniające prawdziwy obraz świata. Dopóki jeszcze rozpowszechnione jest mniemanie, jakoby było rzeczą względnie obojętną dla dziejów świata, jaki kierunek przybierają myśli jednostki, dopóty i związek etyki z objawami życia fizycznego, a tem bardziej wpływ jej na ogólny stan fizyczny jednostki, będzie się może wydawał fantastycznym; pod tym względem atoli etyka teozoficzna okazuje się wysoce konsekwentną, utrzymując, że i zdro-

wie cielesne jest jedynie wynikiem mądrości i jasności wewnętrznej. Na tej drodze staje się teozofia nie tylko nauką etyczną, ale i praktyką religijną, służbą Bożą, kształtującą i przetwarzającą życie. W związku z temi jej tendencjami i niejednokrotnie, jako ich bezpośredni wynik, należałoby również rozpatrywać wszystkie te dążenia, jak np. wegetaryzm, życie według praw naturalnych, reformę odzieży i trybu życia, jako różnego rodzaju próby uproszczenia życia, zbliżenia go o ile możności do poznanych norm i utorowania w ten sposób dróg prawdzie. Tendencje te mają spory zastęp rzeczników, a czy im na imię Tołstoj lub Thoreau, Naumburg lub Maeterlinck jest ostatecznie rzeczą obojętną, jeżeli chodzi o zaznaczenie ruchu, który można skonstatować na całej linii.

Działalność swoją ograniczają towarzystwa teozoficzne do komentowania i udostępniania pism swoich bądź to drukiem, bądź w prelekcyach. Największą liczbę publikacyj teozoficznych dostarcza Anglia. Stanowisko Anglii, jako olbrzymiego imperyum kolonialnego i stosunek, w jakim się względem niej znajduje ojczyzna ruchu teozoficznego, same przez się tłómaczą tę proporcję. Stosunek ten przypomina warunki, w jakich znajdowało się pierwotne chrześcijaństwo, do którego rozpowszechnienia olbrzymi aparat państwowy Romy przyczynił się niemało. C. W. Leadbeater, Anna Besant, H. W. Dresser należą do najpopularniejszych autorów teozoficznych angielskich. Dzieła ich są w większej części przetłómaczone na niemiecki i wyszły w nakładzie lipskim „Lotus-Verlag,“ którego specjalnością jest literatura teozoficzna. Z angielskiego przetłómaczono również na niemiecki słynne dzieła H. P. Bławatskiej, rosyjanki, o domieszce krwi niemieckiej, która u źródeł studyowała naukę wschodu. W roku 1898 wyszło w przekładzie niemieckim jej dzieło podstawowe „The Secret Doctrine“ (Tajna wiedza). W pracy tej odkrywa autorka źródła magii i oświeła w niezwykle ciekawy sposób żywoty całego szeregu „magów“ wschodu i zachodu, wykazując do jakiego stopnia wszyscy byli zwiastunami i prorokami tejże samej odwiecznej prawdy. Jakiś łańcuch tajnego braterstwa zdaje się łączyć wszystkie wyższe umysły ludzkie i ciągnąć się lśniącem pasmem niezbadanej harmonii po przez misterya i symbole wszystkich krajów i czasów. Obecnie wychodzi w tłómaczeniu niemieckim drugie olbrzymie dzieło Bławatskiej „Isis Unveiled“ (Isis Entschleiert). Na ten utwór autorka powołuje się nieustannie w swej „Tajnej wiedzy.“ Zawiera on cały szereg badań, dotyczących najprzeróżniejszych misteryj, ukrywanych zazdrośnie przez kasty ka-

płańskie, które na nich to opierały swoją moc i swój wpływ niezwykły; odkrywa ścieżki kręte, którymi ci uzurpatorzy wiedzy wiedli omamioną, bezkrytyczną ludzkość i odsłania w całej potworności pasożytnicze instynkta hierarchii, które bluszczowemi sploty lubią oplatać prawdy wielkie i wiekopomne, zamulając wszystkie źródła poznania i poświęcając siebie i innych nienasyconej żądzy panowładztwa. Dzieło to olbrzymie (obejmujące przeszło 1000 stronnic druku) traktuje o wszystkich światopoglądach, które kiedykolwiek zostały proklamowane, rozdziewa je z tajemniczycy welonów dyalektyki, formułując krótko i ze względu jasnością ich treść zasadniczą i ukazuje wśród labiryntu, mniemań i dogmatów tajemnic kabalistycznych i misteryj, zarysy wielkich, niezachwianych prawd.

Wysoką wartość posiadają liczne przekłady wprost z ksiąg indyjskich, które nakład lipski Lotus-Verlag wydaje. Literatura europejska dopiero niedawno poczęła się wzbogacać temi samymi klejnotami prastarej kultury, której niesłychana żywotność wprawia w podziw. Już 2000 lat przed erą Chrystusową kultura wedystyczna istniała; niektórzy cofają jej początek aż na 4000 lat przed narodzeniem Chrystusowem. Gdy nauka budystyczna poczęła jej zagrażać zniszczeniem, kultura ta już liczyła setki lat istnienia. Po wtargnięciu mahometanizmu do Indyj i wyparciu przez niego budyzmu w r. 1200 mniej więcej po narodzeniu Chrystusowem, bramanizm trwał mimo to niewzruszenie dalej, rozwijał się nawet, czego dowodem jego rozkwit w IX wieku.

Obok „Bagawad-Dżyty“ w niemieckim przekładzie Franciszka Hartmann'a zasługują na specjalną wzmiankę takie przekłady, jak „Karma Yoga“ Swami Vivekananda, „Życie Budy“, zestawione ze źródeł kanonicznych południowych budystów przez Juliusza Dutoitz, „Dżakatom“, 6-cio tomowy zbiór staroindyjskich przypowieści, będących źródłem całej olbrzymiej fantastycznej literatury wschodu, pełnej refleksów prastarych baśni, odzwierciedlających się zarówno w islandzkich opowieściach, jak w dziełach Chausera lub Boccaccia, zarówno w literaturze Egiptu, jak w podaniach tybetańczyków lub kałmyków, „Pancatantram“, zbiór starych indyjskich baśni, przetłómaczony i wydany przez Ryszarda Schmidta i cały szereg komentarzy, pomiędzy którymi szczególnie interesujące są prelekye Subba-Row o filozofii Bagawad-Dżyty.

Pośród autorów niemieckich, których dzieła wydaje Lotus-Verlag, odznaczają się przedewszystkiem Franciszek Hartmann, tłumacz wielu utworów angielskiej teozoficznej literatury i autor „Białej i czarnej magii“ oraz „Misteryów i Symbolów“, i Stefan

von Czobel, którego olbrzymie dzieło „O Genezie naszej kultury“ stara się skupić i zestawić rezultaty wszystkich dotychczasowych badań teozoficznych z dziedziny teologicznej, socyalnej, historycznej, psychologicznej i estetycznej.

*

*

*

To, co teozofia, opierając się na tradycjach wschodu, przede wszystkim zaś na puściźnie kultury indyjskiej, stara się wszczepić w całość życia współczesnego, nie zawsze przytem będąc ścisłą i otwierając częstokroć na oścież wrota dyletantyzmowi, o wiele pełniej i z daleko większym zasobem odpowiedniego materiału — opanowuje współczesna filozofia niemiecka. Tendencja ta, znana ogólnie pod nazwą towarzystw monistycznych, które bardzo ożywioną rozwijają dziś czynność w Niemczech. Towarzystwa monistyczne są tylko jednym z licznych objawów czasów naszych, szukających światopoglądu, a popularyzującej swej dążności nie są naturalnie w stanie nadać owej uniwersalnej postaci, jaką nam daje prawdziwy światopogląd filozoficzny. Dlatego też, mówiąc o tendencjach monistycznych we współczesnej filozofii niemieckiej, nie mamy potrzeby specjalnie uwzględniać działalności towarzystw monistycznych, reprezentujących głównie jednostronne materialistyczne poglądy Ernesta Heckla.¹⁾

Pośród nazwisk, które w ciągu ostatniego dziesięciolecia najczęściej wymieniano w związku z monizmem, zajmuje nazwisko Ernesta Heckla pierwsze miejsce. Dzieła jego, szczególnie ów pamflet filozoficzny „Die Welträtsel,“ który tak olbrzymim cieszył się sukcesem, wielokrotnie i z naciskiem zaznaczają i stwierdzają to stanowisko autora, którego zapewne niejedyn dziś uznaje za właściwego proroka monizmu. Stanowisko atoli, jakie względem wywodów Heckla zajęła filozofia niemiecka, stwierdza zgoła inne rezultaty.

Dla każdego, kto zna nowsze prądy w dziedzinie filozofii niemieckiej, nie jest dziś tajemnicą, że główne i najlepsze siły

¹⁾ Dla pragnących się bliżej poinformować co do tego ruchu, a przede wszystkim co do charakteru tych towarzystw „niemieckich monistów,“ nadaje się dziełko doktora J. Unolda „Der Monismus und seine Ideale.“

umysłowe współczesnych Niemiec skierowane są w zupełnie inną stronę. Bezkrytyczne uwielbienie dla nauk przyrodniczych i zastosowanie ich metod do praw myślenia i poznania oraz naiwny pozytywizm Heckla, należą dziś w oczach młodszych bojowników na polu myśli, którzy odznaczają się zgoła innym „idealizmem,” do akcesoryj najzupełniej zużytych, mogących jedynie znaleźć aprobatę dyletantów. Dyletanckimi cechami odznaczają się też niewątpliwie wywody filozoficzne przyrodnika Heckla i może właśnie dlatego tak łatwy znalazły dostęp i tyle sympatyj wśród mas. Stanowisko młodej idealistycznej filozofii niemieckiej, której siedliskiem jest dziś głównie Jena, ów centr wiekowej kultury umysłowej, bogaty w najpiękniejsze tradycje, zbliżone jest pod wieloma względami do filozofii Edwarda Hartmanna, który, jak wiadomo, szczególnie w drugiej połowie swej twórczości, po przezwyciężeniu swego pesymizmu stał się kontynuatorem monizmu Szopenhauera i Schellinga i zajął wobec problemów filozofii wschodu, wobec bramanizmu i budyzmu nowe stanowisko. W wyszłem niedawno, w nakładzie Eugeniusza Diederichsa w Jenie, dwutomowym dziele „Der Monismus“ (dargestellt in Beiträgen seiner Vertreter), mamy po raz pierwszy sposobność zaznajomienia się nieco lepiej z tendencjami tego neo-idealizmu niemieckiego. Dzieło to jest pod wieloma względami niezwykle interesujące. Pomijając już sam fakt powstania tej pracy zbiorowej, której inicjatorem jest sam wydawca, zajmujący w dzisiejszym życiu umysłowym Niemiec miejsce wybitne, jako jeden z najgorętszych rzeczników neo-idealizmu, zwrócić należy przede wszystkim uwagę na tę okoliczność, że jest to publikacja, nadająca się, jak mała która, do wprowadzenia czytelnika w sam wir kształtujących się nowych pojęć i przekonań. Profesor Artur Drews, najwybitniejszy przedstawiciel konkretnego monizmu Edwarda Hartmann'a, Otto Braun, W. von Schnehen. K. Schrempf, Fryderyk Steudel, Karol Wolf, Bruno Wille, należą do pokaźnej liczby autorów, którzy wzięli udział w tym korowodzie monistycznym; pozatem wybór tematów do pewnego stopnia dowolny, dzięki czemu każde studium robi wrażenie wysoce bezpośrednie, daje możliwość obserwowania ruchu monistycznego w najróżnorodniejszych jego objawach i w styczności ze wszystkimi ważniejszymi objawami teraźniejszości.

*

*

*

Wobec dość rozpowszechnionego mniemania, jakoby pod nazwą monizmu należało pojnować pewien odłam nowożytniej filozofii, a mianowicie owej pod wpływem nauk przyrodniczych powstałej, o której w ostatnich czasach szczególnie często wspomiano w związku z pracami Ernesta Heckla, a która spotkała się z wieloraką i uzasadnioną, ostrą krytyką, nie zawadzi przyjrzeć się trochę uważniej całemu ruchowi monistycznemu i zrozumieć jego cele, oraz istotę.

Tendencje monistyczne nie są bynajmniej zjawiskiem zupełnie nowem. Już niejednokrotnie, szczególnie zaś w czasach silniejszego napięcia energii twórczych, daje się spostrzegać dążenie do zjednoczenia, skupienia wszystkich promieni duchowych. Dążenie to, stanowiące jaskrawy kontrast ze wszelką decentralizacją myślenia, z okresami specjalizacji i mechanizacji, jest jakby formalnym wyrazem wszelkiej siły, która objawia się zawsze centralnie. Inaczej—in silniej odczuwany, tem bliżej czujemy się owej jedności, która obejmuje całe nasze jestestwo. Mistyka i sztuka znają dobrze stan ten duchowy i niejednokrotnie opisują go. Filozofia nadaje mu miano monizmu. Od jedności przeczutej atoli, do jedności poznanej wiedzie długa droga wielorakich powikłań i błędów; droga ta jest historią monizmu. Rozróżniamy dwa zasadnicze rodzaje monizmu: *gatunkowy*, szukający jedności substancji i *ontologiczny*, szukający jedności matematycznej. Różnorodnymi odcieniami monizmu gatunkowego są: *materyalizm*, ów najniższy rozwój monistyczny światopoglądu, uznający jedynie substancje materyalne; przedstawicielami jego byli w czasach starożytnych Leukippos, Demokryt i Epikur, w czasach nowszych Gassendi; *spirytualizm*, będący ostrym kontrastem materyalizmu i uznający jedynie substancje duchowe, jak to widziiny w nauce Berkeley'a lub Leibniza, pozatem *Hylozoizm*, *Dynamizm*, *Monadologia*, *kosmonomiczny* lub *mechanistyczny Monizm* i *transcendentalny Indywidualizm*. Ze ani materyalizm, ani spirytualizm nie są w stanie przewyciężyć dualizmu materji i ducha, jest faktem nie wymagającym specjalnych dowodów; jedność, którą starają się skonstruować gwałtownie, negując to materję, to znów ducha, jest jednością fikcyjną podobnie jak jedność dynamizmu, który stara się materję zamienić w siłę; Hylozoizm, który jest kombinacją materyalizmu i spirytualizmu, był reprezentowany przez starą szkołę jońską, a mianowicie znalazł wyraz w jej filozofii natury. Ze szczególną predylekcyą obierają go współcześni przyrodnicy za podstawę swego rzekomo monistycznego światopoglądu, nadając atomom swoim funkcje spirytualistyczne, i zapominając przy-

tem, że w ten sposób przenoszą tylko problemat dualizmu ze świata zjawisk w świat nie mniej mechanistyczny hipotezy i że podobne zestawienie bynajmniej nie tłumaczy dualizmu spirytualistyczno-materyalistycznego. Mechaniczna bowiem gra atomów, którą utożsamiają z „duszą“, pozbawiona jest wszelkich cech duchowości. Jedną z dalszych odmian dynamizmu jest Monadologia, której ojcem był Leibnitz, a która w systemie Wundt'a znalazła swój najdoskonalszy wyraz. Heckel, jako przedstawiciel kosmologicznego monizmu konstruuje na podstawie nauk przyrodniczych mechaniczną jedność praw natury, dlatego też monizm jego możnaby nazwać mechanistycznym: opiera się on jedynie na metodach poznania, dostępnych naukom przyrodniczym, i tem różni się od filozofii natury (Naturphilosophie), za którą pragnąłby uchodzić, gdy tymczasem filozofia natury, szukając właśnie wyjaśnień dla stosunku natury i ducha, zmuszona jest przekraczać granice mechanizmu.

Ontologiczny monizm, czyli monizm, szukający jedności matematycznej, liczy największy zastęp zwolenników pośród współczesnych uczonych. Jednym z przedstawicieli jego jest Ostwald, profesor chemii przy uniwersytecie lipskim i twórca „Energetyki“, przypominającej pod wieloma względami materjalizm, przeciw któremu Ostwald ostro występuje, którego błąd zasadniczy jednakże powtarza, utożsamiając w swojej „energii“ energie fizyczne i psychiczne. Pozatem należą do naturalistycznej grupy ontologicznego monizmu przedstawiciele woluntarystycznego monizmu Wundt i Paulsen, który możnaby nazwać zwrotem do dynamizmu ze stanowiska atoli ontologicznego, a mianowicie ze stanowiska „woli“ Szopenhauera. A i psychofizyczny monizm Augusta Teodora Fechnera ze swym nierozwiązalnym paralelizmem zaliczony być może do tej grupy. Szczególnie liczny jest, jak to już wyżej zaznaczyłem, zastęp przedstawicieli idealistycznego monizmu ontologicznego, szukających jedności nie w naturze, lecz w duchu. Do nich należą tacy reprezentanci psychomonizmu, t. j. monizmu, opartego na dociekaniach teoretycznych, jak: Mach, Ziehen, Avenarius, Schuppe, Rehnke, Natorp, Lasswitz, Windelband, Rickert, Verworn i reprezentanci na metafizycznych podstawach opartego monizmu, jak: Krause, Carriere, Pfeleiderer. Wielorakie są więc, jak widzimy, postacie, w których manifestuje się dziś tendencja stworzenia jedności myślowej, dotarcia do owego Braman, którego jedyną rzeczywistą realność głosi zarówno Plotin, jak Giordano Bruno, Spinoza i Fichte, Schelling i Szopenhauer. Ale jak rozwiązać dualizm materji i ducha? Od pierw-

szych swoich wycieczek w krainę poznania, sili się filozofia nad tem zagadnieniem i doprawdy z heroiczną wytrwałością, mimo niezliczonych porażek, posuwa się ciągle naprzód na swojej ciernej drodze, otoczonej zewsząd przepaściami błędu. Chcieć utożsamić całe olbrzymie pole jej działalności z systemem jednego filozofa; utrzymywać, że idea monizmu, która w istocie jest ideą przewodnią najśłynniejszych i największych systemów filozoficznych, zbankrutowała, dlatego, że jeden z systemów źle zbudowanych na podstawie tejże idei zbankrutował, jest kompletnem zapomnieniem celów i znaczenia filozofii i jej stosunku do dziejów kultury ludzkiej. Idea monistyczna istnieć będzie dopóki filozofia istnieć będzie, a najwięksi jej przedstawiciele będą wkońcu zawsze monistami, gdyż jedynie w coraz głębszem pogrążaniu się w istotę „samości“ („Das Selbst,“ według przekładu Wacława Berenta) widzieć można wyjście z labiryntowego poplątania niezliczonych dualizmów i dróg przyczynowości. Filozofia będzie też nadal owym łącznikiem, jednoczącym wielorakość form i zjawisk w całokształt światopoglądu, który naturalnie nie jest niezmiennym metafizycznym pewnikiem, którego metamorfozy atoli są w ścisłym związku z coraz bardziej rozszerzającym się widnokretem jasności myśli ludzkiej. W coraz silniej zarysowującej się tendencji monistycznej zbliża się współczesna filozofia coraz bardziej do istoty religii i otwiera łaknącej, wśród chaotycznych specjalizmów zbłąkanej ludzkości odmładzające źródła światła. Ruch ten jest jednym z wymownych objawów przewyciężenia cywilizacji i wznoszenia podstaw prawdziwej kultury.

Pod tym względem na szczególną uwagę zasługuje twórczość takich przedstawicieli idealistycznego monizmu w Niemczech, jak profesora Artura Drewsa, Rudolfa Euckensa, Ludwika Kuhlenbecka i młodego genialnego Leopolda Zieglera, który, po ogłoszeniu swych pierwszych dwóch dzieł filozoficznych, złożony ciężką nieuleczalną chorobą, pozostanie niestety jedynie meteorem-zwiastunem na firmamencie nowoczesnej umysłowości, jedną z owych pięknych obietnic, których niewypełnianie napęlnia żalem i smutkiem. ¹⁾

*

*

*

¹⁾ Pośród pism Artura Drewsa szczególnie jasno zaznacza pokrewieństwo religii i filozofii, piękne, pokrewne konkretnemu monizmowi Edwarda Hartmanna, dzieło „Religion als Selbstbewusstsein Gottes,“ z pism Ludwika

Stoimy wobec zagadnienia, czy nowoczesna filozofia monistyczna istotnie jest w stanie urzeczywistnić tęsknotę ludzkości i w jaki sposób przyczynia się do urzeczywistnienia kultury? Rzecz dziwna, że pomimo tak wielkiej aktualności tego tematu, nie pomyślano wcześniej o określeniu istoty kultury. Dopiero Leopold Ziegler w swem świetnym dziele „Das Wesen der Kultur“ (Istota kultury) wypełnia tę lukę. Będziemy musieli pójść jego śladem, aby należycie rozwiązać powyższe pytania. Ważnym punktem w roztrząsaniach Zieglera jest definicya cywilizacji i kultury i ścisłe przeprowadzenie granic jednej i drugiej. Częstokroć bowiem spotykaliśmy się nawet w poważnych dziełach z mniemaniem, jakoby kultura była tylko spotęgowaną cywilizacją. Temu pogładowi przeciwstawić można jeszcze bardziej może rozpowszechnione mniemanie, którego genezę zawdzięczamy namiętnemu protestowi Russa, jakoby jedynie negacya cywilizacji i powrót na łono natury były tem szczęściem, którego osiągnięcie powinno być celem usiłowań całej ludzkości. Historję ewolucyi, od stanu dzikości do stanu kultury, przedstawia Ziegler w następujący mniej więcej sposób. Z chwilą utracenia swego bezpośredniego stanowiska względem natury, zwraca się człowiek przeciw naturze. Co do pobudek, które skłoniły go do tego stanowczego kroku, trudno jest dziś coś pewnego powiedzieć, kryją się one zbyt głęboko w zamierzchłej przeszłości. W każdym razie niepodobna przystać na to, aby walka o byt była tą pobudką. Bardzo trafnie tłumaczy Ziegler, że trudno przypuścić, aby właśnie walka o byt miała osłabić siły naturalne, instynktowne, t. j. pozbawić się swej najskuteczniejszej broni. Że wyłamanie się z pod bezwzględnej zależności naturalnej było zarazem wyzwolenie-

Kuhlenbecka, zasługuje na uwagę praca: „Im Hochland der Gedankenwelt. Grundzüge einer heroisch-ästhetischen Weltanschauung,“ przypominająca w swjej indywidualistyczno - monistycznej tendencji światopogląd Giordana Bruna. Pisma Rudolfa Euckensa są bardzo liczne. Dla czytelników, bardziej obeznanych z trudną terminologią filozoficzną, nadają się: przedewszystkiem jego zasadnicze teoretyczne dzieło „Die Einheit des Geisteslebens in Bewusstsein und Tat der Menschheit“ (1888), pozatem „Prolegomena“ i „die Geistigen Strömungen der Gegenwart,“ w którym autor daje krytyczną ocenę monizmu i dualizmu w historii filozofii. O wiele dostępnejsze i zrozumiałe dla każdego wykształconego czytelnika, są jego późniejsze dzieła treści bardziej praktycznej: „Kampf nur einen Geistigen Lebensinhalt“ i „Grundlinien einer neuen Lebensanschauung“ (1907). Dzieła Leopolda Zieglera są: „Das Wesen der Kultur“ i „Der Abendländische Rationalismus und der Eros.“

niem się z pod jarzma tyranii natury, na to składa nam życie narodów, znajdujących się w stanie dzikości, aż nazbyt wymowne dowody. Im bardziej bowiem zagłębialiśmy się w obyczaje oraz warunki bytu takich narodów, tem dalsi być musimy od przeświadczenia, że owe okresy mogły być kiedykolwiek być złotym wiekiem niezmaconej szczęśliwości na łonie dobroczynnej matki-natury. Przeciwnie, straszny być musiał ciężar, pod którym ugiął się w swej bezradności człowiek i radosne musiały być chwile owych zdobyczy prometejskich, które nagłą jasnością przenikały w głąb jego mglistego, pańszczyźnianego życia. Ale też same myty, które przechowują wieść o człowieku-oswobodzicielu, wspominają o raju utraconym, o karze, która jest bezpośrednio następstwem wszelakich pożądań emancypacyjnych. Człowiek-oswobodziciel jest zarazem przestępcą, renegatem, a ciężar tej winy wobec natury i ogrom samotności oplatają pierwsze brzaski jego świadomości koroną cierniową męczeństwa. Z chwilą porzucenia swej bezwiednej dziecięcej zależności względem praw i władzy natury, budzi się w nim nagła tęsknota za szczęściem, która towarzyszy nieodłącznie myślom ludzkim na wszystkich dalekich drogach cywilizacji. Cywilizacja więc jest w istocie tendencją człowieka przeciw naturze. W walce tej początkowo słaby, przerażony, przymierający z głodu i chłodu człowiek, własną krwią, tysiącem niesłychanych ofiar okupuje ową wiedzę o jej królewskich tajemnicach. Ale w miarę zwycięstw, w miarę rosnącego bogactwa środków i dróg, rosnąć w nim poczyna ogromna pewność i duma. Sny i marzenia o purpurze króla stworzenia biorą serce jego w swe kamienne ręce. Nic ostać się nie powinno jego nieznaną żadnym względów pożądlivości. Na wzgórzach niezliczonych ofiar, które żądza jego sama sobie składa, wznosi się tron jego obłuzgany krwią, okolony chorągiewami pożarów i piekielnymi chorałami jęków. A ponad Gehenną tego bolesnego zamętu wznosi się niby złowroga lśniąca gwiazda, tęsknota za rajem utraconym, za szczęściem!... Promienie tej gwiazdy, mieniającej się tęczowo, oszałamiają serca ludzkie, zaślepiają mózgi, trują napoje kielichów rozkoszy i chleb codzienny na stole robotnika. Cywilizacja szczęścia człowiekowi nie przyniosła. Rosnąca jej potęga nie wyzwoliła go ze szponów nienasyconej, bolesnej żądzy. Przeciwnie, z dnia na dzień rosło brzemień tej żądzy i brzemień nędzy i beznadziejności rosło. Ale czemżeż jest ich moc wobec potęgi maszyny-potwora! Maszyna-potwór, maszyna-moloch, wyległy w łonie cywilizacji, oplótł siecią żelazną byt człowieka. Nic mu się nie oprze. Jego stalowe konsekwencye tworzą łań-

cuchy nieprzerwalne, jego chrzęst i zgrzyt normuje godziny dnia i nocy, obrót jego kół zębanych przeszacowuje wartości. Miasta olbrzymie śpiewają mu ponure psalmy czci, które powiew posłuszny niesie daleko, daleko ponad truchlejącymi polami, ponad szmerzącymi lasami w najoddalsze zakątki świata. I oto człowiek, „pan stworzenia,“ wpleciony w koło przez siebie samego stworzonych konieczności, rozdziewa się z ostatnich szmatów purpury i schylony, potem zlany, z wzrokiem niespokojnym szczwanego zwierza, nucić poczyna obłądną piosnkę, której refrenem wiecznym jest owo do zgrzytu machin podobne: „służę, słuchasz, służy.“

Nikt może trafniej nie przedstawił tej nędzy króla-raba, „syna zakopciałych i zatechłych miast, jałowej lub wycieńczonej gleby i karłowatych drzew,“ jak Norwid w swym wzruszającym poemacie cywilizacyjnym w swej „Ostatniej z Bajek.“ „Może on jeszcze nigdy nie *jadł*—może on dopiero *pokasał* wszystko i wysał? Dlatego to i nie nakarmia swoich wszystkich!... Jeżeli rozpustuje w pożerstwie i łupieniu zwierząt, to iż onych także zapomniał, albo nie zna wśród opatrznych praw ich ojczyzny. Bydło jego są to dzieci i wnuki jeńców, drzewa są to niedorąbane wióry!“

A jednak Ziegler nie neguje cywilizacji. Wydaje mu się ona koniecznością, a iluzya jej jedyną możliwością dla człowieka wyzwolenia się z pod jarzma natury. Tylko że iluzya ta powinna być prędzej lub później usunięta, zły czar prędzej lub później przewyciężony przez uświęcające i oczyszczające moce kultury. Na jasnych skrzydłach sztuki i religijnej ekstazy zstąpiły po raz pierwszy na padoł nędzy ludzkiej owe oswabadzające moce, będące w stanie wskazać zbłąkanej ludzkości nowe drogi zbawienia. Sztuka i religia, zwracając przedmiotom i tworam ich prawa, podeptane przez bezwzględny utylitaryzm cywilizacyjny człowieka, otwierają przed wzrokiem ludzkości nowe tajemnice bytu. Dotychczas bowiem człowiek, patrząc na wszystko ze stanowiska ewentualnej użyteczności, nie był w stanie widzieć ani istoty rzeczy, ani istoty własnej. Dopóki żądza jego oplatała rzeczy tego świata mgłą niezliczonych życzeń, dopóty oczy jego były ślepe, a uszy głuche na wielokształtną i wielojęzyczną mowę głębi. Ale i w świecie wyzwolonym z pod jarzma tego utylitaryzmu dość jeszcze pozostaje mamideł i manowców dla ducha ludzkiego. Szukający poznania człowiek, przeżywa po raz wtóry historję mechanizacji świata, po raz wtóry gubi się w chaosie jakiejś olbrzymiej maszyneryi naukowej, której całokształtu ogarnąć nie jest w stanie, a która degradowuje go do roli kółka w cielsku potwor-

nem tysiąca rozrastających się w nieskończoność specjalizmów. O jednym bowiem nie należy zapominać, rozwój i rozrost wiedzy nie idzie bynajmniej ręką w rękę z postępem i rozwojem człowieka.

Dopiero filozofia uświadamia znów człowiekowi cel i treść jego przeznaczenia, dopiero ona sięga po przez mnogość zjawisk i faktów ku głębi istoty rzeczy, dopiero ona uczy go tego zachowania względem samego siebie, oswabadzającego od utylitaryzmu cywilizacyjnego. Historia filozofii, tej wiedzy, która w istocie swojej jest wiedzą mistyczną, gdyż dotyka pytań będących w bezpośrednim związku z istotą wszechbytu, odzwierciadla więc najlepiej stadya i fluktuacje kulturalne. Jeżeli tendencye dnia i rozpanoszenie się nauk przyrodniczych rozpowszechniły dziś mniemanie, jakoby wiedza była jedynie wiedzą eksperymentalną, a metafizyka zapleśniałym rekwizytem w arsenale rzeczy przeszłych; jeżeli wszechwładny materyalizm głosi dziś bez najmniejszych skrpułów, że prawdziwa filozofia jest wkońcu niczem innym i niczem innym być nie może, jak systemem nauk przyrodniczych, to objawy te świadczą jedynie, że czasy nasze żadnej filozofii nie posiadają, i że ogół dziś bardziej oddalony jest od prawdziwej kultury, niżby się to wobec wysokiego, współczesnego stanu cywilizacyjnego wydawać mogło.

Uginający się pod brzemieniem cywilizacji człowiek napróżno szuka dróg powrotu na łono natury. Znamiennym objawem tej tęsknoty, potęgującej się aż do negacji wszelkiej cywilizacji, jest właśnie w chwili najwyższego stadyum cywilizacyjnego filozofia Russa, która ze swą iluzją, jakoby natura była w stanie zwrócić człowiekowi raj utracony, kryje się po dziś dzień pod najróżnorodniejszymi postaciami we wszystkich niemal tendencyach, mających na celu znalezienie punktu wyjścia z chaosu cywilizacyjnego. Podobnie i filozofia Nietzschego, posiadająca tyle zasadniczych analogij z filozofią Russa, stara się przez wyzwolenie instynktów zbliżyć znów człowieka do natury. Nie w tem jednakowoż leży błąd tych tendencyj, że szukają powrotu do natury, ale że nie potrafiły zgłębić praw natury i odcyfrować mowy instynktów. Dopóki bowiem człowiek zamiast zrozumieć naturę stara się jej narzucić jarzmo swoich życzeń, dopóki oczekuje od niej spełnienia swoich pragnień i wierzy, jakoby jej głównym celem było szczęście człowieka ¹⁾, dopóty zerwanie ze stanem cywi-

¹⁾ Rousseau np. pisze w *Emilu* II, str. 21: „Bądźmy posłuszni Naturze, a przekonamy się, jak łagodne jest jej berło, ileż rozkoszy nas czeka, jeżeli pójdziemy za jej głosem...”

lizacyjnym, przewyciężenie cywilizacji jest niepodobieństwem. To też nie pozostaje mu w końcu nic innego, jak negacja kultury, jako potęgi wrogiej szczęściu, a więc nienaturalnej. Że celem kultury powinno być właśnie świadome urzeczywistnienie nieświadomych dążeń natury; że człowiek wyrzekając się szczęścia swego i dążąc za głosem swego geniuszu spełnia wolę natury, tej konieczności zdawała się filozofia Russa nie przeczuwać. Dopiero Kant, Schiller i Schelling wyciągają dalsze konsekwencye z tego stosunku kultury do natury, którego definicya jest zdarzeniem przełomowem w dziejach cywilizacji europejskiej. Od czasów Russa, który formułuje stosunek cywilizacji do natury, nie brak było głosów, które głosiły konieczność jedności człowieka z całością natury, a podczas gdy jedne kładły nacisk na to, że prawdziwa droga rozwoju oddala człowieka od natury, że największym tryumfem jego jest przewyciężenie natury, inne znów żądały zupełnego zlania się, kompletnej harmonii z prazródłem bytu. Kant pierwszy powiada (w dziele „Kritik der teleologischen Urteilkraft“), że byłoby śmiesznem tłumaczyć dążenie natury, jako cele człowieka. Schiller zaś wprost zaznacza konieczność wyrzeczenia się naturalności i potrzeby zastąpienia ciemnej nieświadomości instynktów przez silną dyrektywę rozumu. Ale ani Kant, ani Schiller nie tłumaczą istoty owego rozumu, ducha, prajedności. Dopiero w filozofii Schellinga po raz pierwszy zbliżamy się do definicyi tej prajedności, która tworzy dziwną analogię z zasadniczą ideą filozofii indyjskiej. Od Schellinga i jego zupełnie nowej metafizyki, obalającej nieograniczone panowanie świadomości i stawiającej natomiast jako jedyną jedność, świat nieświadomy do filozofii Hartmanna definicya ta prajedności przeżywa w nowożytnej filozofii niemieckiej cały szereg metamorfoz, aby nareszcie znaleźć zupełne pojednanie człowieka z naturą. Zagłębiający się bowiem w cele nieświadomej natury człowiek i spełniający świadomie jej wolę, przewyciężył nienaturalność stanu cywilizacyjnego i wstąpił w nowe stadyum przymierza ze światem. Metafizyka ta, która staje się podstawą wszelkiej filozofii monistycznej, łączy ją z tendencjami religijnymi, albowiem człowiek, który poczyną odgadywać cele i wolę swego przeznaczenia i składa siebie przeznaczeniu temu w ofierze, ażeby dać mu możność urzeczywistnienia się; człowiek, któremu głębie nieświadomego objawiają się, jako wszystko wypełniająca i obejmująca istność Boga, jest człowiekiem religijnym. Człowiek ten przewyciężył dualizm cywilizacyjny, wstąpił w stadyum prawdziwej kultury. Kultura ta dopiero nadaje całemu rozwojowi cywilizacyjnemu cel

i sens. To, co dotychczas było chaotycznym poplątaniem egoistycznych celów i dążeń, pobudzanych niepohamowaną żądzą szczęścia, staje się celowym wcielaniem się Boga w dzieje świata za pośrednictwem i przy współudziale świadomej woli ludzkiej. Niezmiernie ważne jest przytem stanowisko, jakie filozofia ta zajmuje względem filozofii indyjskiej; podobieństwo bowiem obu nasuwa porównania i wnioski, mające wielką doniosłość kulturalną. Synteza zachodu i wschodu, dokonana w nowożytnej filozofii niemieckiej, składa może najwymowniejszy dowód, że znajdujemy się dziś właśnie wobec ewentualności kulturalnych, mających znaczenie olbrzymie. Jak bowiem odrodzenie się świata starożytnego i wcielenie puścizny Greków, tego najzdolniejszego narodu Europy, przekształciło całokształt umysłowości europejskiej, tak zapewne i puścizna Indów wywrze wpływ, którego wszystkich konsekwencyj na razie nawet przewidzieć niepodobna. Ważne jest przytem, i na fakt ten zwraca Ziegler specjalną uwagę, że filozofia niemiecka zupełnie oryginalnymi drogami dochodzi do wyników zbliżających ją do kultury indyjskiej. Od czasów poezyi i filozofii romantycznej daje się coprawda zauważyć ciągle wzrastający wpływ ducha indyjskiego na umysłowość europejską, przede wszystkim zaś wpływ metafizyki Upaniszad i Wedanty. Wpływ ten, dzięki pracom takich uczonych jak Otto Böthlingk, Max Müller, Deussen, rozrasta się i upewnia i coraz bardziej nasuwa konieczność syntezy wschodu i zachodu. Pozostawiając na uboczu spirytystycznie zabarwiony neobudyzm, który szczególnie w związku z dyletantyzmem pewnej grupy teozofów potrafił zjednać sobie spory zastęp zwolenników, a który raczej zasługuje na nazwę mody, niż prawdziwego postępu, przyznać trzeba, że myśl stopienia ducha indyjskiego z duchem europejskim uwydatnia się wielokrotnie w nowoczesnej umysłowości, szczególnie tam, gdzie chodzi o zagadnienia dotyczące kultury, jak np. w twórczości Szopenhauera, Ryszarda Wagnera, a ostatnio Edwarda Hartmann'a.

*

*

*

Sympatye romantyzmu niemieckiego dla filozofii wschodu i monistyczne zabarwienie jego filozofii rzucają nowe i ciekawe światło na ten ważny okres w dziejach nowożytnej umysłowości

europęjskiej, charakteryzując pozatem do pewnego stopnia współczesne tendencje neo-romantyczne. Stanowisko to przede wszystkim określa pewna nuta mistyczna, której najkonsekwentniejszym wcieleniem i najgłębszym zarazem, jest właśnie światopogląd zawarty w księgach świętych Indów. Rzecz godna uwagi, że właśnie po poezji klasycznej, po okresie zrównoważenia sił i środków ekspresji następuje ten tak wręcz odmienny kierunek, który dziś zaledwie, po stu latach jesteŝny w stanie lepiej zrozumieć i ocenić. Następcy Goethego i Schillera tak zupełnie inaczej wyrażają swoje myśli i uczucia, w tak zgoła odmienny ton uderzają, mimo swego proklamowanego uwielbienia dla mistrzów - poprzedników, szczególnie zaś dla mistrza Goethego, że narazie trudno znaleźć chociażby najpowierzchniejsze uzasadnienie konieczności tego nowego prądu. Zrozumiałem też jest krytyczne stanowisko Goethego względem romantyzmu, które tak trafnie wyraża następujący sąd: „Das will Alles umfassen und verliert sich darüber immer ins Elementarische“ (Wszystko chcieliby ogarnąć, a gubią się tymczasem ciągle w chaosie elementarnym), chociaż znów z drugiej strony niepodobna odmówić słuszności protestowi romantyzmu, który może najjaśniej wyraził Mickiewicz po bytności swej w Weimarze.

Mniemanie, jakoby romantycy byli „maroderami“ okresu burzy i wrzenia (Sturm und Drang), oparte na argumentach pochodzących z arsenału Hettnera i Gervinusa, mimo swej popularności nie tłumaczy bynajmniej ani osobliwości, ani istoty romantyzmu. Podobnie i powoływanie się na wpływ sentymentalizmem zabarwionej filozofii Russa. Dla zrozumienia i ocienienia światopoglądu romantycznego, gdyż o takowy powinno nam w danym razie przede wszystkim chodzić, owocem będzie zagłębić się w twórczość takich przedstawicieli romantyzmu jak Fryderyk Schlegel, Józef Schelling, Novalis. Szczególnie twórczość Fryderyka Schlegla, która daje klucz do zrozumienia jednostronności Wilhelma Schlegla i Tiecka, przedstawia pod wieloma względami cenny i niedostatecznie jeszcze spożytkowany materiał. Ciekawym i wartościowym przyczynkiem do pracy krytycznej w tym kierunku jest dzieło Maryi Joachimi: „Die Weltanschauung der deutschen Romantik“ (1905), które bardzo umiejętnie skupia w jeden całościowy rozstrzelony promień twórczości Fryderyka Schlegla, uwzględniając przytem trzy główne fazy tej twórczości, będące wymownym komentarzem dla dróg, które mi młody duch nowej Europy zmierza do swego światopoglądu. Warto chociażby w najogólniejszych zarysach uprzytomnić sobie ten akord, gdyż

zawiera on w sobie w zaczątku całą historię współczesnego moinizmu. Ogromna jest skala, którą akord ten obejmuje: ogarnia ona niedającą się niczem ukoić potrzebę i tęsknotę jedności i nienasycony uniwersalizm, traktujący prawdy starych i nowych kultur jako pojedyncze głosy w olbrzymim koncercie uniwersalnym, którego motywem są absolutne i wieczne prawa przyszłości. Jako myśliciel-poeta należy Fr. Schlegel do tych postaci w literaturze nowszych czasów, które jak poprzednio Schiller, a na granicy naszych czasów Nietzsche, jednoczą i oswobadzają. I pod tym więc względem moglibyśmy tutaj zwrócić uwagę na potrójną analogię pomiędzy okresami burzy i wrzenia, romantyzmu i naszą terażniejszością. Pierwszy okres w życiu Fryderyka Schlegla wypełnia tendencja do pogrążenia się, wylania się na zewnątrz w świat, szukanie zewnętrznej i wewnętrznej harmonii. Tendencjom tym odpowiada zachwyt, z jakim Schlegel pogrąża się w poezji Greków starożytnych, w filozofii Platona, w tegoż promiennej wizji świata, w jego ideach o duszy świata, o dobrem i pięknie, poza-tem i sympatye dla bardziej mistyczuie i żywiej zabarwionego neoplatonizmu Hemsterhuis'a, którego wpływ na kierunek myśli jego daje się na dłuższą metę skonstatować. Młody Fryderyk Schlegel widzi podobnie jak Plato i Hemsterhuis wieczną, wielką harmonię bytu, urzeczywistnioną w wszechświecie, w rytmicznym bycie, w świecie zewnętrznym. Stąd jego tendencja do pogrążenia swego ja w ową uniwersalną harmonię, jego szukanie obiektywizmu, jego apryorystyczne skonstruowanie jedności. Drugi okres przynosi wraz z wpływem indywidualizmu Fichtego, drugą ważną i uzupełniającą nutę, a mianowicie „jażn“ jako wielkie objawienie jedności wewnętrznej świata. Jest to okres, w którym, rzecz godna uwagi, powstaje właśnie idea romantyzmu. Zwrot ten oznacza uznanie wewnętrznej, przyrodzonej i nieograniczonej swobody ludzkiej do poznania i rozwinięcia wewnętrznych skarbów. Zamiast zewnętrznego, w zarysach swych niezmiennego, ogólnego ideału, do którego należy dążyć, mamy więc dla każdego człowieka odrębną, wewnętrzną, wolną ewolucję; zamiast utraconego raju obiektywnego ideału greckiego, którego odzyskanie jest celem ostatecznym, mamy żywą, twórczą, do oryginalnych celów zmierzającą „teraźniejszość;“ zamiast klasycznej stylowości, organiczną mnogość poezji romantycznej. Podczas więc gdy pierwszy okres kładzie nacisk na jedność i harmonię bytu, drugi zaznacza bogactwo i wielobarwną mnogość; podczas gdy pierwszy jest wyrzeczeniem się swej odrębności na korzyść obiektywnych norm, drugi jest potwierdzeniem boskiej nieskończoności i niezliczoności

form indywidualnych. W dwóch tych sposobach widzenia i pojmowania świata, z których pierwszy znaleźć możemy u klasyków, szczególnie zaś w poglądach Schillera, drugi u romantyków w ich tak zwanym progresywnym, t. j. stopniowym uniwersalizmie widzimy dwie ostateczne granice myślenia ludzkiego, w które się pogrąża i które obejmuje umysł Schlegla. Na dualizmie tym Schlegel atoli nie poprzestaje, a próbą zjednoczenia, przewyciężenia obu jest okres trzeci w dziejach jego ewolucji duchowej, którego wyrazem jest t. zw. „nauka o Centrze“ („Zentrumslehre“), owej monistycznej „wszechjedności“ (All-Einheit) stapiającej wewnątrz i zewnątrz. Nauka o Centrze opiera się na podstawach myślenia filozofii Fichtego i Schellinga, podnosi się atoli ponad nie. Tutaj to stara się Schlegel rozwiązać fundamentalne zagadnienie bytu, szukając w istności Boskiej wyjaśnienia dla wszelkiego bytu; tutaj to spotykamy się znów z owym, dla nowoczesnej umysłowości tak ważnym objawem, który pierwszym fazom romantyzmu nadaje tak znamienne zabarwienie: że cała wielorakość i sprzeczność zjawisk tego świata łączyć się poczyna w jedną nierozzerwalną, wspaniałą całość, ogarniającą wszystkie objawy i formy bytu. Schelling w swej filozofii natury też zbliża się do tego poglądu, nazywając świat wielkim, duchowym, jednolitym ustrojem, rozwijającym się organicznie i porównując w rozwoju tym przebudzenie się świadomości ludzkiej do rozkwitu, a powstanie sztuki do poczynającego się kształtować owocu. Do jakiego stopnia Novalis stara się ideę tę w należyty sposób rozwinąć i do najgłębszych mistycznych konsekwencji rozszerzyć, nie trzeba chyba specjalnie zaznaczać, cała twórczość jego bowiem świadczy o tem aż nazbyt wymownie. Tak więc pierwsze fazy romantyzmu nie są bynajmniej równoznaczne z chorobliwością lub brakiem zmysłu realnego. Przeciwnie, należałoby je nazwać raczej pełnemi sił duchowych, pełnemi kielkujących i kształtujących się nowych mocy, szukających nowego, pełniejszego wyrazu i realnego wcielenia. Widzimy jak życie stara się w nich opanować i zjednoczyć cały ogrom nowego materiału, którym je obdarzyły ostatnie wielkie zdobycze wieku, a praca ta zbyt jest doniosła, abyśmy mogli ją lekceważyć. Romantyzm w tej początkowej fazie jest jakoby wielki basen, w którym wszystkie życiodajne prądy czasu i przeszłości znajdują ujście, przetwarzają się i destylują, aby znów różnemi strumieniami wytrysnąć i dopiero dziś, po stu latach zaledwie, połączyć się może ponownie.

Drogi atoli, które późniejszy rozwój romantyzmu niemieckiego obiera, nie odpowiadają bynajmniej temu początkowi. Mamy

pośród licznych i wyczerpujących dzieł, poświęconych temu zagadnieniu, szczególnie jedno, które w wysokim stopniu nadaje się do zaznajomienia się ze wszystkimi odcieniami tego ginącego, rozpadającego się w sobie romantyzmu. Dzieło to („Ausbreitung und Verfall der Romantik“ — r. 1902) jest tem ciekawszym dokumentem, że autorka jego, Ricarda Huch, jest jedną z najwybitniejszych przedstawicielek neo-romantyzmu w Niemczech. „W pierścieniu rozkwitu i wędnięcia, który obejmuje wszystkie objawy natury—powiada Ricarda Huch, starając się wytłómaczyć nagły i niespodziewany przekwit tej tak obiecującej wiosny ducha—wpleciony duch ulega jej przewadze i dzieli jej losy, w rzadkich tylko razach będąc w stanie wyzwolić się i przelśnić ją lśnieniem wiecznej młodości. Dla artysty szczególnie trudne wynikają stąd powikłania, gdyż bez fundamentu natury sztuka istnieć nie może, a utrzymanie równowagi pomiędzy jedną a drugą, wymaga wysokiej siły ducha. Brak tej siły widzimy u późniejszych romantyków; dlatego też prędzej czy później możemy w ich życiu duchowem zauważyć ów moment, od którego począwszy, życie instynktów przeważać zaczyna i tak rozpoczyna się zanik. Po ucztach młodości nastąpiło wyczerpanie, a nowe pokolenie wyrwało kwiaty, trawę i chwast, ażeby przygotować grunt pod swoje zasiewy i swoje chaty.“ Mimo tej argumentacji, której pewną słuszność przyznać musimy, choć niezupełnie jeszcze jasno w niej widzimy wytłómaczony ów przełom pomiędzy życiem w duchu, a życiem w materji i dlatego właśnie romantycy nie byli w stanie równowagi tej pomiędzy światem ducha i materji zachować, gubiąc się w chaosie elementarnym, jak powiada Goethe,—obraz zaniku i wędnięcia niespodzianego jaki przed wzrokiem naszym roztacza historia późniejszego romantyzmu jest tak niespodziany i przynębiający, że niepodobna go pominąć milczeniem, właśnie w chwili gdy zmierzamy do syntezy ducha romantyzmu. „Do czego moglibyśmy byli dojść, a co się z nas zrobiło,“ żali się Brentano, jeden z wybitniejszych romantyków, na łożu śmierci; a czyż podobne słowa nie dałyby się równie dobrze zastosować do samobójcy Kleista, do Hoelderlina, który kończy przedwczesnym obłędem, do Fouqué’go i Tiecka, którzy wędną w przededniu dojrzałości, do hrabiego Loebena, Wackenrodera, malarza Runge’go, fizyka Rittnera, którzy wszyscy umierają młodo, do Zacharyasza Wernera, który podobnie braciom Brentano szuka w łonie kościoła katolickiego pewnego rodzaju przytułku na resztę swego bezcelowego, wykolejonego żywota, a w końcu nawet

do samego Fryderyka Schlegla, który nie tylko odwołuje po przejściu na katolicyzm swoje główne dzieło „Lucyndę,” ale wogóle całą twórczość swą wcześniejszą.

*

*

*

W obszernem, świetnie napisanem dziele profesora bazylejskiego, Karola Joëla, „Der Ursprung der Naturphilosophie aus dem Geiste der Mystik” 1906 (Geneza filozofii natury z ducha mistyki), autora znakomitych prac, dotyczących stosunku Nietzschego do romantyzmu i klasycyzmu, o których w jednym z poprzednich sprawozdań obszerniej wspominałem, znajdujemy, mimo na pozór specjalnie naukowego tematu, jedną z najudatniejszych i najgłębszych definicij istoty romantyzmu. W dziele tem, opierając się na trzech ważnych i przełomowych fazach w dziejach umysłowości europejskiej: na filozofii przedsokratesowej, na renesansie i na romantyzmie, wykazuje Joël uderzające podobieństwa duchowe pomiędzy temi tak dalekiemi i skądinąd zupełnie różnemi okresami. Wszelka mistyka jest wynikiem spotęgowanego uczucia życiowego, a każde do najwyższego napięcia spotęgowane odczucie rzeczy tego świata, wylewające się poza granice indywidualne, wiedzie w końcu do mistyki. Ale jakżeż, czyżby poznanie świata tego było wynikiem uczucia i skąd filozofia natury miałaby być dzieckiem mistyki? Za punkt wyjścia obiera Joël renesans, wykazując idące ręką w rękę z ogromnem spotęgowaniem realizmu tendencje mistyczne owych czasów. Filozofia renesansu, mimo swej silnie zarysowującej się tendencji do szukania dróg doświadczalnych, obserwowania natury i robienia spostrzeżeń czysto zmysłowych, nie jest ani pozytywistyczną, ani wyłącznie empiryczną, ale przeciwnie, pełna jest tajemniczych symbolicznych mocy. Cechami temi odznaczają się zarówno pisma Agryppy von Nettesheim, jak Teofrasta Paracelsyusza, Keplera jak Jakóba Boehnego, Cusanera jak Pico della Mirandoli. Kolumb, Kopernik, Galileusz, Giordano Bruno, w swych tak na pozór materialnych dążeniach i usiłowaniach, pełni są mistyki i przekraczają granice zmysłów. Za dalekoby nas zaprowadziło wyliczać wszystkie objawy tej mistyczno-realnej dwoistości, którą odznacza się umysłowość renesansowa, a którą naprzykład Ke-

pler tak pięknie w następnych słowach wyraził: „Odkrycia moje nie spłynęły mi z nieba do duszy, ale w głębiach duszy tej już leżały, a oczy moje widziały gwiazdy, ale gwiazdy obudziły we mnie idee te o tyle tylko, o ile pobudziły moje nieukożone pragnienie poznania ich natury.“ W głębiach indywidualnych przeżywają ci wszyscy wielcy i silni indywidualiści po raz pierwszy misteryum jedności świata, wszelkie bowiem poznanie, jak powiada Paracelsyusz, leży już w głębiach duszy przygotowane, a wszelka nauka jest tylko napomnieniem do badania głębi własnych; stąd, z tego źródła mistycznego wytryska potężny strumień i rozciągając coraz szersze kręgi, obejmuje cały obraz świata, napaja swem fluidum wszystkie zjawiska, łącząc je w jedną całość. Joël słusznie zaznacza tutaj, że z tegoż źródła mistycznego czucia pochodzi i alchemia i astrologia, owe fałszywe gdyż przedwcześnie wyciągnięte wnioski przeczutej prawdy, owe błędne pędy odczutej jedności. Mistyka więc jest zarazem uczuciem nawskroś lirycznym. Liryzmem tym odznacza się właśnie w wysokim stopniu i filozofia przedsokratesowa, a jest ona niemniej pełna mistyki i zupełnie, jak w duchowości renesansowej, łączy się z nawskroś realistyczną filozofią natury. Wszystkie cechy, któremi zarówno odznacza się romantyzm. W jak wysokim stopniu światopogląd stąd powstały jest monistycznym, nie potrzeba chyba specjalnie zaznaczać. Ale jakżeż, czyż więc mamy ów świat, który dotychczas uważaliśmy za wcielenie klasycyzmu, ów świat starożytnej Grecji nazwać romantycznym? Czyżby postacie owych patryarchów umysłowości europejskiej, których stale dotychczas zaliczaliśmy do grupy fizyków-materyalistów, owe w mroku zapomnienia nawpół ginące cienie, głoszące niezrozumiałe dla nas maksymy materyalistyczne, jakoby wszystko było wodą, powietrzem lub ogniem (Tales, Anaksymenes, Heraklit), miały rzeczywiście być z ducha i z ognia romantycznego? Niezupełnie. Klasyczne i romantyczne pierwiastki dadzą się w nich równolegle zauważyć, ale romantyczne przeważają. „Jesteśmy przekonani—powiada Joël—że Grecy przyszli na świat w ciałach z marmuru i dumni jesteśmy z naszych pulsujących ogniem serc, z naszej odrodzonej romantyki—ja zaś pragnąłbym dowieść, że nasze najnowsze prądy duchowe są zarazem najstarszymi, że nasi najmłodszy przyjaciele, romantycy, ułatwiają nam właśnie zrozumienie owych praocjów wiedzy.“ Joël z tego stanowiska przygląda się zasadniczym ideom filozofii przedsokratesowej i wykazuje jej uderzające podobieństwa z filozofią natury romantyków. Przewodnią myślą filozofii przedsokratesowej jest owa w alegoryach wyrażona wiara w nieskończony tok, którą

wyraża przedewszystkiem szkoła jońska. Jest ona zarówno w nauce Talesa, który powiada, że wszystko jest wodą, że nawet kamienie posiadają duszę i cały świat pełen jest boskości, jak w nauce Anaksymenesa, posługującego się dla swej przenośni alegoryą powietrza, lub w nauce Heraklita, szukającego dla swego poznania alegoryi ognia. Myśli te i obrazy powtarzają się nieustannie w światopoglądzie romantyków, a Novalis nawet w jednym miejscu jednym tchem je wypowiada, łącząc ocean-świat Talesa z ciemnym łonem natury Anaksymandra, potężny wszystko pochłaniający tuman Anaksymenesa z płomieniem Heraklita. Szczególnie jako „czciciele ognia“ stykają się romantycy wielokrotnie z Heraklitem. A analogia z filozofią pytagorejską? Trzy zasadnicze myśli stoją na początku filozofii greckiej. Szkoła jońska proklamuje: „Słyszę życie świata jako nieprzerwany szum, jako nieskończony tok, a tok ten—dodaje filozofia pytagorejczyków—pełen jest muzyki i harmonii, wszystko zaś—uzupełnia filozofia Eleatów—stapia się w miłości i tworzy jedno brzmienie, jedną całość.“ Myśli te, obejmujące mnogość i jedność, powracają w światopoglądzie romantyków i znajdują w Schlegla nauce o centrze niemal uzupełnienie. Szczególniej ciekawą pod względem tych analogij, znakomicie przeprowadzonych, jest specjalna, świetnym językiem napisana rozprawa Joëla „Archaische Romantik,“ która tworzy uzupełnienie wyżej wspomnianych dociekań i wydrukowana została w jednym tomie wraz z „Genezą filozofii natury.“

I czegoż nas uczą te uderzające analogie? Widzimy, że za każdym razem, gdy wiedza ludzka o świecie potrzebuje nowych sił życiowych, musi się pogrążyć uczuciem w głąb bytu, musi sięgnąć aż do owych potęg mistycznych, z których wytryskują wszystkie źródła, musi się znów zjednoczyć z prajednością, w której cała mnogość i wielobarwność form znajduje ujście. Drogi zaś, wiodące tam, są drogami spotęgowanego indywidualizmu. Takim początkiem był dla umysłowości nowoczesnej romantyzm; do początku, do tego punktu wyjścia powracamy dziś znowu, ponieważ dotychczas nie udało nam się wcielić tych nowych sił w życie, ponieważ romantyzm pozostał akordem nagle zerwanym i niedokończonym, ponieważ nie stworzyliśmy nowego światopoglądu, któryby odpowiadał naszym przecuciom i wierzeniom, ponieważ jedność zewnętrzna i wewnętrzna życia, która jest dopiero owem zbawczem wyzwoleniem z więzów cywilizacyjnych, ów ostateczny i zwycięzki powrót na łono natury, czeka na swe urzeczywistnienie. W kształtującym się i klarującym dzisiaj filozoficznie mniemaniu światopogląd ten przeczuty przybierać poczyna widomo

kształty, stąd też jego znamienne podobieństwo do owych momentów dziejowych w historii duchowości, które były punktami wyjścia rzeczywistych kultur, stąd jego pokrewieństwo z filozofią indyjską, z filozofią Greków i renesansu, stąd też jego zabarwienie religijne i jego praktyczna doniosłość.

*

*

*

Na specjalną uwagę zasługuje w Niemczech współczesnych ruch w dziedzinie literatury teologicznie zabarwionej, która, nie będąc ani specjalnie kościelną, ani świecką, zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy kościołem, a publicznością. Ze naturalnie monistyczny kierunek umysłowości współczesnej nie pozostał bez wpływu na dotychczasowy światopogląd religijny, jest rzeczą aż nazbyt dobrze zrozumiałą; już sama tendencya religijna i mistyczne właściwości tego monizmu łączą go bezpośrednio ze światem tym, który w czasach indyferentyzmu religijnego interesował jedynie specjalistów, krytyków i teologów. To też nic dziwnego, jeżeli z dnia na dzień literatura ta rośnie i coraz szersze koła poczyną interesować i jeżeli coraz większe jest zapotrzebowanie tego pokarmu duchowego. Równocześnie jednakże niepodobna się dziwić, jeżeli pod naciskiem budzących się do życia nowych sił religijnych powstają prądy i tendencye, które, ścierając się wzajemnie, wytwarzają zaognienia i przeciwieństwa, przypominające pod wieloma względami czasy przedreformacyjne. „Walka przeciw kościołowi była zawsze w dziejach ducha ludzkiego oznaką pogłębienia życia religijnego”—powiada Wilhelm Boelsche, który dziś, podobnie Brunowi Wille, pogłębił swoją filozofię natury do prawdziwej religii natury. I rzeczywiście, jeżelibyśmy według polemicznych dzieł i broszur chcieli sądzić o stanie religijnych tendencyj, to musieliśmy już, jedynie opierając się na tych danych, nazwać obecną chwilę wysoce religijną.

Nie ulega w każdym razie żadnej wątpliwości, że kwestye religijne są dziś wysoce aktualne i niepokoją liczne umysły; prztem liczba autorów, traktujących kwestye te ze stanowiska świeckiego, jest dziś większą, niż kiedykolwiek bądź, choć i nie brak głosów ze świata teologicznego nietylko protestanckiego, ale i katolickiego, które równie żarliwie zajmują się niemi. Jeżeli z je-

dnej strony współczesna filozofia monistyczna głosi jedność wiedzy i wiary, to znów z drugiej i teologia szuka pojednania pomiędzy dogmatami wiary, a rezultatami naukowych zdobyczy, starając się udowodnić, że podobne pojednanie jest rzeczą możliwą. W ten sposób powstaje cała sieć najprzeróżniejszych i w najrozmaitszych kierunkach rozbiegających się i krzyżujących tendencji, które jednakże wszystkie odznaczają się jedną wspólną cechą — swą żarliwością uczuć religijnych. Żarliwość ta pełna jest właśnie owych sił twórczych, bez których dogmaty wiary byłyby jedynie skostniałością, ruiną bez życia i obecności Boskiej. Nie napróżno byliśmy w ciągu ostatnich lat świadkami licznych wydawnictw literatury mistycznej od Ekehartta, którego dzieła właściwie teraz dopiero w całej swej objętości stały się dostępnymi, do św. Franciszka z Asyżu, od Anioła Szlązaka do Jakób Boehmego. Mistyka, która co do istoty swej jest skoncentrowaną religią i bynajmniej nie zawiera w sobie sił wrogich kulturze lub twórczości, owo wiecznie młode, nigdy nie wysychające źródło religijnych ekstaz, jedności człowieka z duszą wszechświata, bardziej, niż wszelkie inne jest w stanie odzwierciedlić nasze tendencje i potrzeby religijne; to też bardzo wiele zależy dziś może właśnie od stanowiska, jakie ruch religijny zajmie wobec mistyki.

Pośród licznych autorów, którzy są przedstawicielami tego nowego, pełnego sił żywotnych i zapału, ruchu religijnego w Niemczech, należałoby wymienić takie nazwiska, jak Artur Bonus (patrz jego „Religion als Schöpfung“), Karol König („Zwischen Kopf und Seele“ i „Rhythmus, Religion, Persönlichkeit“), którego możnaby nazwać nowożytnym Schleiermacherem, Rudolf Penzig („Ohne Kirche“), którego polemiczny temperament pełen jest inicjatywy, Eugeniusz Henryk Schmitt, który szczególnie zasłużył się swemi przekładami i komentarzami, dotyczącemi religijnego światopoglądu Tołstoja i który też, jako autor dzieła o religijno-etycznym znaczeniu filozofii Nietzschego: „Friedrich Nietzsche an der Grenzscheide zweier Zeitalter,“ reprezentuje w interesujący sposób połączenie współczesnych tendencji religijnych z filozofią Fryderyka Nietzschego. Jedną z najciekawszych atoli postaci, interesujących zarówno ze stanowiska ogólnoludzkiego, jest przede wszystkim Albert Kalthoff w Bremie, działający kaznodzieja protestancki (umarł dn. 11 maja 1906 r.); liczne jego dzieła treści religijnej są typowym wyrazem tego ruchu. Są one przeważnie zbiorem kazań, wygłoszonych bądź w Bremie, bądź podczas nabożeństw, odprawianych pod gołym niebem, po usunięciu go przez konsystoryum z probostwa brandenburskiego, które mu przypadło

w udziale wbrew woli brandenburskiego kleru, bądź też w t. zw. berlińskim „Protestantische Reformverein,“ którego założycielem i duszą był Kalthoff. Kazania te wyrażają w formie żywej, pełnej połykliwości, jaką się odznacza mowa dobrego mówcy, światopogląd autora, który on sam raz nazywa „ani rzymskim, ani protestanckim, ale ludzkim.“ Kalthoff jest monistą w tym mniej więcej rodzaju, jakim odznacza się monizm mistyków, t. j. Bóg przenika dłań cały świat i wciela się w dziejach tegoż świata, czyli mówiąc słowami Ricardy Huch („Vita Somnium Breve“), świat jest dłań żywym Bogiem, któremu powinniśmy pomagać walczyć, znosić i wyzwalać się. Tą nutą mistyczną brzmia nawet jego hymny na cześć nauk przyrodniczych i praw natury, które nam wiedza ta objawiła. Jeżeli mówi o nieskończoności świata, o wieczności sił lub ewolucyi, o prawach dziedziczności, to wszystkie te doniosłe zdobycze wiedzy, które poprzednie pokolenia uważały za tarany, mogące zburzyć gmach wiary, rozrastają się mu do wysokości filarów, niosących olbrzymie sklepienia nowych wierzeń. Tego rodzaju treścią odznaczają się przedewszystkiem jego pod tytułem „Religiöse Weltanschauung“ (Religijny światopogląd) i „Zukunftsideale“ (Ideały przyszłości) wydane kazania. Poza tem możnaby go też nazwać indywidualistą. Podobnie, jak u romantyków, w świecie myśli renesansu i filozofii przedsokratesowej indywidualizm ten, który pełen jest najsilniejszych akcentów, łączy się bezpośrednio z tęsknotą i potrzebą ogarnięcia całego bytu, z tęsknotą, która jest zarazem świecką i mistyczną. Indywidualizm ten zbliża go do etycznych postulatów Nietzschego, któremu poświęcony został cały szereg mów, zjednoczonych pod tytułem „Zarathustrapredigten.“ Niedawno sama myśl, aby burzyciel i antychryst Zarathustra mógł służyć za przedmiot roztrząsań religijnych, mogła była uchodzić za paradoks. Dziś zaczęto właśnie w filozofii i poezyi Nietzschego odnajdywać najbardziej obiecujące zadatki odrodzonej i odmłodzonej etyki. Na religijną doniosłość filozofii Nietzschego wskazał już w swoim czasie Fr. Overbeck, przyjaciel Nietzschego. Kalthoff krok w krok idzie za tęsknotą Zarathustry i, posługując się jego terminologią, rozwija przed wzrokiem naszym swoją etykę indywidualistyczną, która niewątpliwie posiada wiele podobieństwa z etyką Nietzschego. Szczególnie interesujące są naprzykład takie kazania, jak „Człowiek i nade człowiek,“ „Najeichsze godziny,“ „Nowa wierność,“ „Najbrzydszy człowiek,“ „Nowy bożek“ i „Umarły Bóg.“ Nietzsche powiedział, że Bóg umarł, nie zaś, że Boga niema, dowodzi Kalthoff i wykazuje dalej, w jaki sposób pod brzemieniem

martwych tradycyji i bezdusznej litery Bóg umiera i w jaki sposób znów zawsze odrodzić się może w duszy, która rzeczywiście pełna jest pragnienia poznania i obaczenia go. Z tego stanowiska patrzy Kalthoff na twórczość całego szeregu wybitnych twórców nowoczesnych np. Ibsena, Tolstoja, Zoli i Maeterlincka, odnajdując wszędzie (patrz jego dzieło „Die Religion der Modernen“) podobne tendencye, świadczące o pokrewnych objawach budzących się do życia nowych potęg religijnych, których doniosłość polega dlań właśnie na tem, że objawiają się nie w formie utartej, lecz jako bezpośrednie wylewy uczucia.

Poza temi pracami, które wszystkie poświęcone są praktycznej stronie religii i unikają bezowocnych sporów teologicznych, ogłosił Kalthoff też kilka prac historyczno-krytycznych „Das Christusproblem,“ „Die Entstehung des Christentums“ i „Das Zeitalter der Reformation,“ z których ostatnia szczególnie jest wysoce interesująca, charakteryzuje bowiem w sposób dobitny stanowisko neoprotestantów wobec oficjalnego kościoła protestanckiego. Czas reformacyi przedstawia Kalthoff w dziele swoim głównie ze stanowiska kulturalnego, trzymając się przytem zdala od wszelkiego rodzaju panegiryków na cześć reformatorów i dowodząc tem pewnego zrozumienia dla prądów, które wówczas nurtowały łono kościoła katolickiego. W jednym miejscu tego dzieła np., mówiąc o Michale Aniole, posuwa się aż do następującego śmiałego, jak dla pastora protestanckiego, porównania: „Michał Anioł dokonał większego dzieła, niż Luter, odsłaniając przed wzrokiem ludzkim najwznioślejsze dzieło boskie, jakie ziemia nasza posiada, a które kościół przez stulecia całe trzymał pod kluczem, a mianowicie ciało nasze, które przecież nazywano świątynią Bożą.“ Charakteryzując zaś postać Lutera i starając się wytłomaczyć wpływ jego na świat ówczesny, analizuje wpływ ten z najzupełniej obiektywną bezstronnością, z krytycyzmem, godnym uznania. Cały ruch neoprotestancki w swej tendencyi anty-kościelnej zajmuje dziś mniej więcej to stanowisko względem oficjalnego kościoła protestanckiego, jakie w czasach reformacyi protestantyzm zajmował względem kościoła katolickiego.

Ze i w łonie kościoła katolickiego najróżnorodniejsze współczesne dążenia i idee nowe krzyżują się często i wywołują powikłania, na to składa wymowny dowód encyklika papieska przeciw t. zw. modernistom „Pascendi Dominici Gregis.“ Nakład Eugenia Diederichsa w Jenie, który szczególną uwagę poświęca wszystkim objawom współczesnym, dotyczącym ruchu religijnego, wydaje tę encyklikę w przekładzie niemieckim z odpowiedziami

francuskich i włoskich modernistów. Dwutomowa ta publikacja, która wkrótce uzupełniona będzie tomem trzecim, informującym o ruchu modernistycznym w Niemczech, nadaje się bardzo do zaznajomienia się z wszelkimi odcieniami duchowych ewolucyj, dokonywujących się w obrębie świata katolickiego. Odpowiedź modernistów włoskich, do których zaliczają się tacy autorzy, jak Buonaiuti, Crespi, P. A. Chignoni, Minocchi, R. Murri, G. Prezzolini, P. G. Semeria, odznacza się tonem pokojowym i stara się z przynależną czcią przedstawić kurji program swój i jego uzasadnienie oraz obronę, która jednakże miejscami ma w sobie coś z nieugiętej woli i z niezachwianej wiary we własną sprawę przyszłych powstańców. „Chwilowe potępienie naszych usiłowań nas nie zastrasza—piszą ciż moderniści we wspomnianej replice—a nawet, gdyby oficjalny kościół, nie pojmując słuszności naszych wywodów, jeszcze bardziej szorstko i gwałtowniej niż dotychczas nas odtrącił, pozostaniemy spokojni w naszem sumieniu, pamiętając o niezrównanych słowach św. Augustyna, które tutaj, jako zakończenie naszej obrony, przytaczamy: „Częstokroć opatrność Boska dopuszcza, iż osoby bez zarzutu odtrącane zostają przez kościół chrześcijański z powodu zbyt wielkiej gwałtowności z nadto cielesnie usposobionych ludzi. A mogą one, znosząc z przykładną cierpliwością dla miłości spokoju kościoła zelżywe obrazy i unikając schyzmy lub herezyi, nauczać ludzi, z jaką miłością, wiernością i z jak szczerem przywiązaniem należy służyć Bogu. Zamiarem ich będzie powrócić na łono kościoła, skoro tylko nieporozumienia zostaną usunięte, a gdyby to nie było możebnem i gdyby przyczyny rozdwojenia trwać miały, dalej starać się będą myśleć bez gniewu o tych, przez których knowania uznano ich winnymi i będą przykładem swym aż do śmierci i bez ducha sekciarskiego bronili wiary, którą, jak im wiadomo, głosi kościół katolicki.“ O wiele ostrzej wypadły odpowiedzi francuskich modernistów; tworzą one cały szereg prawie że felietonistycznie traktowanych anonimowych polemik, przybierających nawet niekiedy formę otwartego buntu i ciętej, bezwzględnej krytyki. Pośród francuskich autorów modernistycznych znajdują się takie nazwiska, jak Loisy, Blondel, Duchesne, Labertonnière, Le Roy, Margival, Rifaux. Istnieje też cały szereg stale wychodzących pism francuskich (np. *Annales de Philosophie Chretienne*, *Revue du Clergé français*, *Revue catholique des Eglises*), włoskich: *Il Rinascimento* (Milano), *Nova et vetera* (Roma), *L'Azione Democratica* (Roma), *Buttaglie d'Oggi* (Napoli), *Vita sociale* (Gubbio)] i niemieckich, poświęconych wyłącznie sprawom modernizmu.

Niema więc dziś, jak widzimy, żadnej niemal dziedziny myśli ludzkiej, któraby nie nosiła wybitnych śladów tego dokonywającego się obecnie przebudzenia religijnego, tej aktualności rzeczy wiary, które będą może w stanie nadać życiu świata europejskiego zupełnie nowy wyraz, bo czyż podobna przypuścić, aby tak silnie zarysowująca się linia rozwoju została nagle zerwana. Niemcy bądź co bądź w tym ruchu religijnym zajmują dziś miejsce niepoślednie, które przedewszystkiem zawdzięczają swojej filozofii i jej monistycznym tendencyom.

*

*

*

Że sztuka, jako wyrazicielka głębi, jest jednym z najlepszych mierników duchowych ewolucyj, że w utworach artystycznych najpierw uwydatniają się myśli i uczucia, posiadające doniosłość dziejową, tego chyba specjalnie zaznaczać nie potrzeba. Jednakże stanowisko sztuki względem życia i uznanie, jakim się cieszy, nie zawsze są jednakie. W okresach zmateryalizowania i zaniku życia duchowego rola, jaką sztuka odgrywa, zredukowana jest do znaczenia jakiegoś objet de luxe lub też łączy się z różnego rodzaju bardzo powszednimi tendencyami i potrzebami, które mogłyby być również dobrze zaspokojone w inny sposób. Bezcelowość i zbyteczność sztuki w takich okresach duchowego letargu jest jedną z prawd nietylko „sousentendue,” ale i bardzo często i bezczelnie komentowanych przez wszystkich apostołów poziomości, którzy w takich czasach urastają nagle do znaczenia artystów i znawców. Pierwszym więc brzaskiem, zapowiadającym jutrzennkę, było znów stopniowe odzyskanie przez sztukę tego stanowiska, jakie się jej w istocie należy. W ciągu ostatnich lat 30-stu widzimy jak pod tym względem warunki bytu sztuki bezustannie się polepszają, jak wpływ jej na życie coraz bardziej się potęguje i coraz szersze zatacza kręgi. Od rewolucyi poezyi do rozwoju sztuk stosowanych, od zdobnictwa do architektury można by z łatwością przeciągnąć linię tego potęgującego się wpływu sztuki na życie współczesne. Historia sztuki niemieckiej w ciągu tego ostatniego 30-to lecia jest również ważnym przyczynkiem do zaznajomienia się z ruchem, który ogarnął zarówno wszystkie żywotne nacyonalne siły Europy.

Chcieć z tego całokształtu dążeń artystycznych wyodrębnić tendencje specjalnie religijne, byłoby zbyt śmiałym i jednostronnym przedsięwzięciem. Sztuka sama przez się w swych najgłębszych i najsilniejszych zjawiskach jest zawsze religijną, symboliczną, nawet tam, gdzie pozornie nic niema do czynienia z religią. Można by więc jedynie zwrócić uwagę na te objawy z dziedziny sztuki nowoczesnej, które w bliższej znajdują się styczności z ruchem powyżej naszkicowanym. Przypatrzmy się naprzykład zwrotowi w niemieckim malarstwie religijnem od czasów Uhdego. Jakież pogłębienie treści religijnej w porównaniu z Boecklinem lub Stuckiem np., których skądinąd piękne obrazy działają wobec tego niemal że dekoratywnie! Najpiękniejszy wyraz znalazła ta religijność w twórczości Hansa Thom'y, którego obrazy pełne są wzruszającej pobożności. Zupełnie innemi drogami zbliża się sztuka Maksa Klingera do zagadnień religijnych i rozwiązuje je niemniej interesująco w swej alegorycznej grecko-chrześcijańskiej szacie. Silnem religijnie teozoficznem zabarwieniem odznacza się sztuka Fidusa, wschodniemi cechami symbolizm religijny Saszy Schneidra. W nowoczesnej architekturze niemieckiej szczególnie Piotr Behrens zasługuje z tego względu na uwagę. Powaga jego budowli, zewnętrzna i wewnętrzna ich harmonia i jedność ma w sobie wiele cech nowego stylu religijnego. W poezyi niemieckiej twórczość Ryszarda Dehmela przedewszystkiem świadczy wymownie o pogłębieniu życia religijnego. Już we wcześniejszej twórczości jego spotykamy się z utworami, które, jak np. „Lebensmesse“ (Msza życia), można by nazwać kaplicami nowej wiary. W najwybitniejszym jego dziele „Zwei Menschen“ (Dwoje ludzi) element religijny znacznie jeszcze się spotęgował. W licznych i wyrazistych sentencyach formułuje w niem poeta swoje wyznanie wiary, które jest w gruncie rzeczy monistycznym a tak silnem i niewzruszonym w swem indywidualizmie, że można by je nazwać pierwszym rozwiązaniem w dziele sztuki dualizmu etycznego, pod którego brzemieniem ugiął się duch Hebbła, z którym napróżno walczył Schopenhauer, a który Fryderyk Nietzsche dopiero przewyciężył. Jedną z takich definicyj, w swoim rodzaju klasycznych, jest np. następująca (patrz 3-ia część poematu „Dwoje ludzi,” str. 229):

Wir aber, wir Menschen der wachsenden Einsicht, kennen
ihn anders, den Gott in unsrer Brust,
dank jenem Geist allrühriger Liebeslust,
den ich nicht wage „Gott“ zu nennen:

Gott ist ein Geist, der klar zu Ende tut,
 was er zu Anfang nicht gedacht hat—
 dann sieht er Alles an, was ihn gemacht hat,
 und siehe da: es ist sehr gut!

(My zaś, my ludzie rosnącego rozsądku poznaliśmy go inaczej, tego Boga w sercu naszem, dzięki owemu duchowi wiecznie czynnej rozkoszy miłosnej, którego nie śmiem nazwać „Bogiem.“ Bóg jest duchem, który świadomie do końca doprowadza to, czego na początku nie pomyślał [to ostatnie zdanie wyraża poznanie Edwarda Hartinana o świadomem i nieświadomem, jako atrybutach Boga, gdy tymczasem człowiek w swej zresztą zrozumiałej antropomorficznej jednostronności przypisywał Bogu dotychczas jedynie swoją ludzką świadomość], a potem ogląda wszystko, co się jego bytem stało, i oto—wszystko jest, jak być powinno!)

Lub owo nowe rozwiązanie arystofanesowej dwoistości „ja—ty“ w monistycznej jedności, wypełniającej byt „samości,“ którą nam już Upaniszady głoszą.

Es ist uns ein Ewig Einsames—
 est is das, was uns Alle eint.
 Es tut sich Kund als Urgemeinsames,
 je eigner es die Seele meint.
 Sie wurzelt rings im grenzenlos Alleinen;
 Sie liebt es sich im Weltspiel zu entzwein,
 um immer wieder selig sich zu einen,
 durch zwei, die grenzenlos allein.

(Jest w nas samotność wieczna, która nas wszystkich jednoczy. I objawia się jako prawspólność wszystkim tem jaśniej, im osobliwiej dusza się wyraża. Korzenie jej sięgają w głąb jedności bez granic. W dziejach świata dusza ta chętnie się rozdważy, aby zawsze znów się jednoczyć radośnie przez dwoje bezgranicznie samych.)

W związku z ową tendencją do pogłębienia uczuć religijnych nowoczesnej Europy przedstawia się i twórczość Fryderyka Hebbela, który właściwie dopiero dzisiaj doczekał się uznania, w zupełnie nowem świetle. Hebbel pierwszy formułuje zasadnicze zagadnienie etyki indywidualistycznej: „Stań się tym, kim jesteś,“ która dopiero w twórczości Delmela znajduje swe zupełne urzeczywistnienie. Jest on zwiastunem, patrzącym na nowe brzaski, pogrążonym jednakże do połowy w mrok i walkę nierozwiązalnych jeszcze dualizmów. W tej walce dwóch światopoglądów,

postać tragiczna autora „Judyty“, „Heroda“ i „Maryi Magdaleny“ nabiera wielkiej doniosłości. Hebbel przedstawia nam walkę uciśnionych indywidualności, gdy tymczasem cały zastęp późniejszych dramatyków, nie wyłączając Ibsena (szczególniej w jego dramatach socyalnych), zajmuje się wciąż losami złamanych lub łamiących się jednostek, i zdaje się nie wierzyć w możliwość harmonijnego i pełnego rozwoju sił indywidualnych. „Czyżby człowiek miał być wiecznie ową jedyną chorą częstką natury, ową jedyną więdnącą gałęzią w zieleniejącem drzewie życia?“ W tem pytaniu Hebbela, które nam wielokrotnie powtarzają nietylko jego utwory poetyczne, ale również jego pisma, listy i wyznania autobiograficzne raz z drżącą niepewnością, to znów z pełnem przeświadczeniem słyszymy zapowiedzi fanfary nowej przyszłości, która będzie religijną. Nasza kultura duchowa, pisze Ernest Hornefer w swem studyum o Hebbelu: „Hebbel und das religiöse Problem der Gegenwart,“ oparta jest na fundamencie indywidualnej wolności. Wolności tej nie posiadamy jeszcze zbyt długo. Jeszcze niedawno życie duchowe Europy odznaczało się pewnym despotycznym charakterem. Protest nasz zwrócony był przeciw tej formie despotycznej wewnętrznego życia. Nie pod naciskiem musu lecz z własnego wolnego przekonania chce dzisiejszy europejczyk iść dalej. Większość wierzy, że to będzie możliwe bez zachwiania posad religij istniejących i patrzy z otuchą w przyszłość. Ale pod powierzchnią kotłuje się i burzy, jak gdyby zwiastowanie jakiegoś zbliżającego się trzęsienia ziemi. W głębi dusz inaczej terażniejszość ta wygląda, niż na powierzchni.

JAN KACZKOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

JĘDRZEJ ŚNIADECKI. *Pisma satyryczne*. Do druku przygotował i przedmową opatrzył d-r Adam Wrzosek. Część I: str. 155. Część II: str. 165. Część III: str. 170. Warszawa, 1908. (Biblioteka dzieł wyborowych, t. 559, 560 i 566).

Wydanie pism Jędrzeja Śniadeckiego, dokonane w r. 1840 przez Michała Balińskiego, jest już zupełnie wyczerpane. Działalność literacka znakomitego profesora wszechniczy wileńskiej pokrytą została pyłem niepamięci i obce są dzisiejszemu pokoleniu szeroko niegdyś na Litwie głośne dzieła twórcy polskiej nomenklatury chemicznej, a zarazem niepośledniej miary publicysty i satyryka. Śniadecki, jako uczony, nie jest po dziś dzień dostatecznie znany i oceniony; jego „Teorya jestestw organicznych,” zawierająca poglądy nawskroś samodzielne, będące podstawą obecnej nauki o tworach organicznych, jest daleko mniej znaną zarówno w kraju, jak zagranicą, aniżeli na to zasługuje. Prace zaś jego publicystyczne, pisane zamasyście, z zacięciem urodzonego satyryka i nieskalaną przytem polszczyzną, interesują dziś zaledwie szczupłą garstkę historyków literatury; szerszy ogół wie o nich zbyt mało, najczęściej nie wie wcale. Wydobyć z niepamięci pism satyrycznych Jędrzeja Śniadeckiego, poczytywać przeto należy za prawdziwą zasługę ruchliwej redakcyi „Biblioteki dzieł wyborowych.“

Omaiwane przez nas wydanie opiera się na edycyi Balińskiego, zostało wszakże dokładnie sprawdzone z tekstem „Wiadomości Brukowych“, czasopisma, w którym utwory satyryczne Śniadeckiego ukazały się poraz pierwszy. Takie zestawienie było konieczne i wykazało istotnie pewne błędy i braki u Balińskiego, spowodowane bądź przez niedopatrzenie wydawcy, bądź też przez ówczesną cenzurę warszawską, skwapliwie kreślącą takie np. wyrazy, jak *ojczyzna*, *rewolucya*, *konstytucya*, *liberalizm* i t. p. Nadto

artykuły Śniadeckiego zostały w wydaniu teraźniejszym przedrukowane w takim porządku chronologicznym, w jakim ukazywały się w „Wiadomościach Brukowych,” oraz opatrzone treścią przedmową i przypisami wydawcy, d-ra Adama Wrzoska.

Działalność Jędrzeja Śniadeckiego, jako publicysty-satyryka, wpływała przedewszystkiem z jego roli w wileńskim „Towarzystwie Szubrawców.“ Rzeczone towarzystwo, związane w roku 1817, miało za zadanie, jak głosi pierwsze prawidło „Kodeksu szubrawskiego“ — „nie mając na celu żadnych szczególnych osób, wyświecać szpetność tych przywar i nałogów, które, z natury swojej nie mogą być prawem powściąganemi, są jednak dla społeczności bardzo szkodliwe, a u nas zdawna pospolite i co gorsza, że w powszechniejszem mniemaniu, za występki i wady nie są poczytywane.“ Do takich nałogów i przywar zaliczali Szubrawcy: próżniactwo, nadużywanie alkoholu, szulerkę, pieniactwo, złe obchodzenie się z włościanami, tytułomanię, wstręt do pracy naukowej, źle zrozumiany patryotyzm, polegający na bezkrytycznym uwielbianiu wszystkiego, co własne i dawne, a poczytywaniu za czernienie narodu, kiedy się wytykają przywary ogólne i t. d. i t. p.

W ogólnych dążeniach Szubrawców widoczny jest wpływ wolnomularstwa, szeroko podówczas na Litwie rozgałęzionego. Wychowani na ideałach „wieku oświecenia“, pragnęli Szubrawcy zamienić je w rzeczywistość przy pomocy ustnej i czynnej propagandy; chcieli rozpowszechnienia światła w narodzie, a wytepienia przesądów i uprzedzeń kastowych, zastosowania jaknajszerszego zasady tolerancyi przekonań, wprowadzenia w życie poglądów humanitarnych na sprawę włościańską, umoralnienia i udoskonalenia narodu. Tajemniczość i pewna nader złożona symbolika łóż wolnomularskich utrudniała w znacznym stopniu tę propagandę, dlatego Szubrawcy występowali zupełnie jawnie, działając przy pomocy wydawanych przez siebie satyrycznych „Wiadomości Brukowych“.

Towarzystwo Szubrawców, pomimo niechęci, obudzonych ich duchem liberalnym, zyskało wśród światlejszej części społeczeństwa litewskiego zaszczytne uznanie. W skład jego wchodził profesorowie uniwersytetu i szkół, znakomitsi urzędnicy, obywatele miejscy i wiejscy. Jednym z gorliwszych Szubrawców był późniejszy, po doktorze Szymkiewiczu, prezes towarzystwa, Jędrzej Śniadecki. W jego pismach satyrycznych, obficie rozsypanych na łamach „Wiadomości Brukowych“, odzwierciedla się wybornie duch stowarzyszenia. Wszystkie przywary i nałogi społeczne, tępiące przez Szubrawców, znalazły w pismach Śniadeckiego znakomite

oświetlenie satyryczne. Wpływ rzeczonych artykułów sięgał daleko i nie mało przyczyniał się do spopularyzowania idei szubrawskich w społeczeństwie. Działalność Śniadeckiego, jako satyryka, ustała z chwilą zawieszenia przez rząd w r. 1822 „Wiadomości Brukowych“, a niebawem i rozwiązania towarzystwa.

Wiele z nałogów zwalczanych przez Szubrawców jeszcze istnieje — dlatego i dziś pisma satyryczne Śniadeckiego warte są czytania, nie tylko dla pięknej polszczyzny, lecz i dla treści w nich zawartej.

Przedmowa d-ra Wrzoska opracowana została przeważnie na podstawie jedyne go dotychczas większego studjum o Towarzystwie Szubrawców, pióra Zdzisława Hordyńskiego („Przewodnik naukowy i literacki“ z r. 1882); z innych prac w tym zakresie należało również uwzględnić artykuł P. Chmielowskiego p. t. „Towarzystwo Szubrawców i Jędrzej Śniadecki“ („Tygodnik Ilustrowany“ z r. 1876, t. V, serya III) oraz R. Ottmana p. t. „Przyczynek do historii Towarzystwa Szubrawców“ („Reforma“ krakowska z r. 1882). Przy omawianiu niewątpliwej analogii między Towarzystwem Szubrawców a Promienistymi, warto zaznaczyć, że do Szubrawców, pod imieniem Goniglisa, należał twórca filomackich i filareckich związków młodzieży wileńskiej, Tomasz Zan. Szczegół powyższy, dotychczas nieznany, podajemy na podstawie własnoręcznej relacji pamiętnikarskiej Zana.

H. MOŚCICKI.

ARTUR OPPMANN (OR-OT). *Wybór poezji*. Wydanie nowe, zmienione i powiększone, z portretem autora. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 1908. 12-o, str. 299.

Jest pewien obraz w drugim tomie „Popiołów“ Żeromskiego, którego nigdy nie zapomnę.

Stary, stylowy salonik w zacisznem domostwie Cedrów. Staromodne obicia szpalerowe i brokatele, esowate na wygiętych nóżkach mebelki, chińskie stoliczki, inkrustowane szafki i bibeloty. Na starym pantaleonie, jak na szklanych krążkach, Krzysztof wydzwania ulubioną piosenkę domową, siostra wtóruje mu pięknym, świeżym głosem, a stary ojciec z niewymowną rozkoszą tonie duszą w czarownych dźwiękach:

*La nuit tombait dans la prairie,
L'Echo dormait dans le vallon,
Près du ruisseau chantait Ametie...*

Ten obraz nasuwa się nieodpornie mej wyobraźni, gdy przerzucam kartki wyboru pieśni Or-Ota. Jeno zmieszały się tony, pobudkę bojową grają, grzmia wərbel na tarabanach, tchną wielką, niezłomną miłością, ku genialnemu tryumfatorowi z pod Arcole i Jeny:

*On parlera de sa gloire
Sous le chaume bien longtemps,
L'humble toit, dans cinquante ans,
Ne connaîtra plus d'autre histoire...*

Tym razem — to piosenka Bérangera. Stary piosenkarz starej Francyi, Francyi rewolucyjnej i napoleońskiej, zawsze przychodzi nam na myśl, ile razy mówimy o naszych „śpiewakach Bożych.“ Dodać tu należy, że Béranger był szczerem i gorącym wielbicielem Polaków, czego dowód złożył w pięknej elegii z lipca 1831 r., p. t. „Poniatowski,“ którą kończy taką pełną natchnienia zwrotką:

*C'est la Pologne et son peuple fidèle,
Qui tant de fois a pour nous combattu;
Elle se noie au sang, qui coule d'elle,
Sang qui s'épuise en gardant sa vertu.
Comme ce chef mort pour notre patrie,
Corps en lambeaux dans l'Elster retrouvé,
Au bord du gouffre un peuple entier nous crie:
„Rien qu'une main, Français, je suis sauvé!“*

Nie napróżno wywołaliśmy z grobu nieśmiertelnego twórcę tytułu *chansons* i *couplets*: zestawienie tych dwu postaci typowych, Bérangera i Or-Ota, jest wielce pouczające. Obaj wysoce utalentowani, obdarzeni od natury niewyczerpanym darem rymowania, obaj wsłuchani czułem uchem w niknące w dali echa swej własnej piosenki, obaj wszechwładnie panują nad formą, która pod ich ręką układa się w dźwięczne, misterne zwrotki; obaj prostotą i bezpośredniością wyrazu swych uczuć przemawiają silnie do serca czytelnika — i pod względem myślowym wykazują wiele cech wspólnych: odwróciwszy się z niechęcią od szarzyzny i pustki dni dzisiejszych, chętnie toną duszą w rozręczonych tęsknotą krajinach przeszłości, obaj marzą o mającej rozbłysnąć jutrzence wolności ludów, obaj wreszcie widzą tę minioną świetność i podniosłość, wcieloną w genialną postać wielkiego wygnańca z wyspy św. Heleny.

Ale nie ze wszystkim do siebie podobni. Bo, jak słusznie powiedział o sobie Béranger: „Mes chansons c'est moi... Le

peuple c'est ma muse," tak z równą rzetelnością mógł rzec o swojej twórczości nasz pieśniarz „Starego Miasta": „Ludu mój! Weź te pieśni! Jam w nie serce włożył! Niech świat ten wskrześnie w tobie tak, jak we mnie ożył!..." Obaj więc są typowymi przedstawicielami swych narodów: Francuz, żywe wcielenie sangwinizmu gallickiego, uderzy w swawolne tony anakreontyczne na swej wielostrunnej lutni i będzie się bawił, jak jego słynny „Le roi d'Yvetot," wesołymi pokrzykami na cześć pełni życia, wina i dziewczyny; Polak, z cierniem melancholii i słowiańskiej zadumy w duszy, jakikolwiek przedmiot w pieśni podejmie, minorowym akordem gęśli pieśniarza zakończy; Francuz na gruzach Bastylii wzniesie hallę taneczną i będzie skakał i śpiewał, nie bacząc, czy terror czerwony czy biały szaleje nad Paryżem; Polak — na sali balowej, wśród jarzących światła, dźwięków kusicielskich muzyki będzie wyrzucał sobie chwilę zapomnienia i dumał smętnie o „tej jedynej," której „niema na tym balu" (piękny wiersz Or-Ota: „Po za konkursem“).

Ale po co szukać dla Or-Ota krewniaków nad błękitnym Rodanem i koronną Sekwaną, kiedy są bliżsi, na równiach mazowieckich, w rozłogach i jarach Ukrainy, na halach i połoninach tatrzańskich. Stare sentymentalne piosenki jeszcze z doby śpiewaka tęsknego Justyny i pieśniarza-powstańca Jasińskiego, o Laurze, co biegnie pod „umówiony jawor," o Filidzie, co „poszła do ogrodu," o Zosi, co „chciała jagódek," ta sielskość prosta, a rzewna—do duszy mu przemawia. A potem—sielanka bojowa: pieśni legionistów, z tą najpiękniejszą z piosenek na czele, co, „ułożona w obcej ziemi gdzieś dalekiej, przyleciała, niby ptaszę, by pozostać tu na wieki," te nieuczzone śpiewki ułańskie, które tak lubił grywać pan Mateusz, stary szwoleżer: „Stoi ułan na pikiecie..." „Czemuś oczki zapłakała..." „Cztery latka wierniem służył..." „Pastereczko moja mała..." („Grajek"). Albo ta, najpopularniejsza z nich, „piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła," o „żołnierzu-tułaczku," na którą powołuje się kilkakrotnie, np. w pięknym „epilogu" niniejszego „Wyboru," p. t. „A gdy będą mnie chowali..." A przecież i cały cykl Or-Ot zatytułował: „Idzie żołnierz borem, lasem..." a w nim kilka zawarł obrazów bojowych (między innymi „Somo-Sierrę" i „Saragossę").

Słowem, sielskość i brawura wojskowa, międkość uczuć i tężyzna charakteru i woli, te dwa pierwiastki psychiczne, napozór tak niewspółmierne, wsiąkły w indywidualność twórczą pieśniarza „Starego Miasta."

I stał właśnie, poniekąd, płynie uwielbienie epoki napoleońskiej, w czym Or-Ot jest spadkobiercą mistrzów naszego romantyzmu (z wyłączeniem Ujejskiego). Poezya barwnych mundurów, galopujących koni, furkocących proporców, a przede wszystkim niepojętych czynów szalonej odwagi, w myśl hasła: „Łam, czego rozum nie złamie”—oto co wstrząsa wyobraźnię poety, wywołuje w niej cienie dawno umarłej przeszłości, obrazy straszne, ale i piękne jednocześnie. Dodać musimy z żalem, że w niniejszym „Wyborze“ poskąpił nam jednego z celniejszych utworów w cyklu napoleońskim p. t. „Bonaparte.“

Ale nie dość na tem. Liryzm patryotyczny Or-Ota jest nie-równie szerszy i głębszy zarazem. Nie jest on tylko pieśniarzem-rapsodem spowitej w dymy prochowe chwały legionistów i szwoleżerów. Nie jest też tylko, jakby można mniemać, śpiewakiem „Starego Miasta,“ chociaż ten „Warszawy relikwiarz święty, pleśnią wieków porosły, mgłą ich przysłonięty, zadumany, jak starzec wyniosły i krzepki, co z miłością pogląda na wnuczka kolebki,“ niejedną już akord czysty z lutni jego dobył. Dość wspomnieć wydaną w Krakowie w r. 1902 księgę rymów p. t. „Stare Miasto, obrazki z niedawnych lat,“ z której nieliczne zaledwie utwory weszły w zbioręk niniejszy; wystarczy powołać się na cykl „Warszawa w rymach,“ zamykający w sobie takie utwory, jak „Fara,“ „Chrystus cudowny,“ „Stary dom,“ „Prymarya,“ „Patrycyuszka“—a wszystkie o wspólnym nastroju serdecznego i rzeźwego umiłowania pamiątek przeszłości. Śnać żywo przemawia mu do duszy „pleśń starych tynów, srebrnej Wisły szumy, serc prostych wiara, dusz pogoda grecka,“ a kiedy „w pieśni wskrzesał dzieje stare“ i „budził dawno śpiących cienie,“ zatapiał się duszą, on, „mieszkańskie dziecko,“ żył z rozkoszą „w tym dobrym świecie, w świecie lat minionych.“

Jest więc Or-Ot trubadurem przeszłości, ale nie tylko tej najbliższej, której ślady sam jeszcze oglądał, która wymierała w oczach jego wraz z ostatnimi typami staro-mieszkańskiej Warszawy, ale i dawnej, z wieści tylko mu znanej. Nie napróżno jest on autorem „Kroniki mieszkańskiej,“ wielkiego cyklu z dwunastu poematów, z których pierwszy dopiero, z czasów króla Henryka, p. t. „O Malchrze Gąsce, rajcy warszawskim“ (Warszawa, 1903 r.), ukazał się w druku.

Wyobrażenia poetycka Or-Ota chętnie tworzy wypieszczone, technące wyrafinowaną rozkoszą życia czasy stanisławowskie („Romans księcia Pepi,“ „Le roi s'amuse,“ „Reduty“); w jej delikatnej, pajęczej przędzy roztacza się też nieraz złote słońce Odro-

dzenia („Pozdrowienie Gdańska,“ „Żaki,“ „Patrycyuszka,“ „Rym o wędrownym muzykusie,“ rzadziej ją znęca obrazy rycersko-feudalnego średniowiecza („Romans o złotowłosym paziu,“ „Treniś w amorach“).

Marzycielska dusza poety, nie znajdując nic w nudnej i bezbarwnej rzeczywistości, coby ją olśnić i oczarować zdołało, ulatuje chętnie w krainę przeszłości, bo tam jest i poezya i wzniosłość i stylowość. I dlatego to epitet „stary“ (podobnie jak przymiotnik: „ostatni“ w „Panu Tadeuszu“) tuła się, jak echo oddawna przebrzmiałych dźwięków, po stylowych wykuszach i blankach jego twórczości („Stara księga,“ „Stary dom,“ „stary zegar,“ „stara piosenka,“ „dzieje stare,“ starzy bohaterowie „Starego Miasta“ i t. p.), w czym tak podobny do Bérangera, autora takich pieśni, jak „Le vieux caporal,“ „Le vieux sergent,“ „Le vieux vagabond,“ „Le vieux drapeau,“ „Le vieux célibataire“ i in.).

I to nie jest bynajmniej namiętność kolekcyonisty-starożytnika do obstawiania i obwieszania antykami przybytku swej twórczości; dźwięczy tu bowiem nuta szczerego liryzmu, smutna zaduma nad zabytkami, bodaj najdrobniejszymi, lepszej przeszłości, tęsknota za tą świetnością minioną, która już nigdy nie wróci.

Tęsknota! Natrafiliśmy na wyraz właściwy. Liryzm narodowy Or-Ota, który w dawniejszych utworach, z racyi utrudnień cenzuralnych, brzmiał nieśmiało, w tajonych tylko oddechach, ukrytych błyskach oczu, cichych wspomnieniach weteranów z ostatnich i dawniejszych walk o całość praw narodowych, teraz występuje otwarcie i donośnie: składa najpiękniejszą wiązanek utworów („Etap,“ obrazek jakby z kartonu Grottgera lub płótna Jacka Malczewskiego z najwcześniejszej doby jego twórczości, „Za kroplę mojej niemieckiej krwi,“ „Do Polaków w Rosyi,“ „Pozdrowienie Gdańska,“ „Krzyżek z Olszynki,“ „Marsz Skrzyneckiego,“ „Pacierz za zmarłych“ i in.), ukazuje nam oblicze poety w pełniejszym, jaśniejszem świetle; czasem grzmi nawet pobudką bojową, na walkę śmiertelną, na barykady skrzykując współbraci (np. „Prośba o piękną śmierć“).

Ale największa siła i największa ozdoba pieśni Or-Ota nie w „piorunie, co błyska,“ lecz w „pacierzu, co płacze.“ Jego śpiew—to piosnka-tęsknica, to „pacierz za zmarłych,“ to ten sam pierwiastek uczuciowy, który prznosił „duszę utęsknioną“ wielkiego Adama „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,“ nostalgia niepowrotnej przeszłości...

Przypomnijmy sobie najcelniejsze i najbardziej typowe obrazy poetyckie Or-Ota: stara babcia szarą godziną zamglonemi tę-

sknotą oczyma patrzy w otwartą skrzynkę z pamiątkami i wspomina „ułana uroczego,“ co zginął w boju pod Grochowem („Krzyż z Olszynki“); siwy dziaduś siedzi przy kominku i tęsknie wspomina bohaterską glorią wypromienione boje napoleońskie („Bonaparte“); starzy kamraci z pod trzech sztandarów schodzą się w świętą rocznicę listopadową, by dumać tęsknie o dniach chwały i trudów, zwycięstw i męczeństwa („Rotmistrz Jacek Cholewa“); ktoś inny słucha o zmroku płynących ze starego klawikordu tonów pieśni bojowej z pod Ostrołęki, gdzie stał jego dziad — i dusza mu się roz tęsknia i rozmarza (piękny „Marsz Skrzyneckiego“ w jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Ilustrowanego“).

Słowem, tęsknota, to najczystszy, najbezpośredniejszy wyraz treści uczuciowej Or-Ota. I dlatego to najpiękniejszy w całym zbiorze, a kto wie, czy i nie w całym dobytku twórczym poety, to „List z Sybiru,“ małe arcydzieło nostalgii, tak głęboko szczere i wyczute, tak proste w swoich środkach artystycznych, a tak do dna przenikające duszę, że ni słowa dodać, ni ująć nie sposób. Niewątpliwie, ten „List,“ to jedna z najwybitniejszych polskich liryk patryotycznych ostatniej doby.

Jeszcze jeden rys charakterystyczny podkreślić należy: uczucie narodowe Or-Ota nie posiada cech wyłączności, zawsze odzywa się szczytnem hasłem: „za wolność waszą i — naszą;“ tu wymienić należy piękne liryki: „Złota harfa Irlandyi,“ „Za wolność ludów,“ „Marsz Rakoczego,“ „Uliczna piosenka“ (drukowana w tegorocznym „Sfinksie“) i inne. I ta cecha zbliża obu piosenkarzy: Francuza i Polaka, chociaż u obu z różnych płynie pobudek, u Bérangera z poczynań i dążeń Wielkiej Rewolucyi i nienawiści ku Restauracyi Burbonów i Świętemu Przymierzu, u naszego poety — z najgłębszych dążeń i myśli politycznych Polski XIX stulecia, Polski-„rycerza między narodami.“

A forma? Gdy mówimy o Or-Ocie-piosenkarzu, na myśl nam przychodzą owi nasi gędźbiarze ukraińscy, lirnicy mazowieccy i litewscy, co z „pieśni ludu — jedwabników“ snuli, „przędę na wiatr — lśniącą — lekką,“ „na królewskie gdzieś pokoje, a na dziewicz wszystkich stroje,“ swe tęskne dumki i śpiewy. Ale wiersz Or-Ota, należącego wszak do pokolenia parnasistów, od tych skromnych piosenek o wiele wytworniejszy, nieraz kunsztowną zwrotką asnykowską olśniewa. Dość wspomnieć cykl „Szopenowskich pieśni,“ a zwłaszcza tak czysto, a donośnie brzmiące „Srebrne dzwonki,“ albo falujące czarowną rytmiką walca „Pożegnanie“ („Och, opleć mnie dłonią, och, opleć mnie białą i główkę swą zło-

tą na pierś mi złoś!“), lub wreszcie preludya: „Marzenie“ i „Deszcz,“ najbardziej Ujejskiego tłumaczenia Chopina przypominające, aby się o tem dowodnie przekonać. Ale i więcej znajdziemy tu przykładów wszechwładnego panowania nad śpiewnem narzędziem: oto np. przepyszną rytmiką menueta ślizgający się, jak tancerz po lśniącej posadzce, wiersz: „Le roi s'amuse“ („Słoneczną aleją idzie król Staś, a przy nim piękna dama“), albo taki melodyjny, a taki odmienny od tetmajerowskiego „Anioł Pański,“ lub też wybornie kołysanie się cichych fal oddający wiersz: „Po bezmiernym, po morskim odmęcie...“ bądź wreszcie „Pozdrowienie Gdańska,“ w którym zadzwonił, między innymi, taki dwuwiersz przedziwnego klangoru: „Zagrał z kościoła Panny Maryi, jak srebrna trąba, gromki dzwon...“

Ale dość już przykładów. Nie powstydzi się francuskiego śpiewaka nasz piosenkarz, którego do parnasistów zbliża wytworność i melodyjność wiersza, ale od nich oddala serdeczny liryzm, przeciwieństwo chłodu i sztywności. Jeżeli Béranger mógł z dumą powiedzieć o sobie: „Le peuple c'est ma muse,“ to i nasz poeta zamknął w swych misterych strofach tajne uczucia i tajemniejsze jeszcze pragnienia Polski po-powstaniowej...

„Idzie zadumy szara godzina,“ dziewczę wydobywa z klawiszy „starą melodyę“ marsza Skrzyneckiego, „z pod Ostrołki płynie muzyka do ułańskiego potomka ścian...“

Cicho tak — cicho wieje z pianina
 Starej melodyi urwany dźwięk,
 Ledwo klawisze muska dziewczyna,
 A jednak taki wydały jęk!
 Sen śni się jakiś, dawno strzaskany,
 Z oczu coś cieknie: krew to czy łza?
 Lecą ulany! lecą ulany!
 Marsz Skrzyneckiego na śmierć im gra!

W tym wierszu jest cała dusza poety.

HENRYK GALLE.

Kronika miesięczna.

Jubileusz papieski. — Zatarci kapitału z pracą. — Wystawa w Częstochowie. — Sanatorium w Rudce. — Muzeum miejskie. — Centralny bank kredytowy.

Obchód pięćdziesięciolecia kapłaństwa Jego Świątobliwości papieża Piusa X nie mógł pozostać uroczystością tylko kościelną. Cały świat katolicki skorzystał z tej sposobności, aby, składając hołd papieżowi, stwierdzić jednocześnie swoje przywiązanie do Rzymu i dać dowód głębszego zrozumienia przewodniej idei kościoła, występującego dziś, jak zawsze, z całą siłą przeciw hasłom krańcowego materializmu.

Warszawa uczyniła to w dniu 8 grudnia, w granicach, na jakie stać było społeczeństwo polskie w warunkach obecnych. Obchód publiczny, urządzony w wielkiej sali Filharmonii, był skromny, ale poważny, a udział w nim szerokich warstw społeczeństwa stwierdził wymownie, że społeczeństwo to żywi głębokie przywiązanie do wiary przodków i widzi w organizacji kościoła jedną ze swoich ostoj moralnych w dobie ciężkich doświadczeń, jakich los nie szczędzi narodowi.

W nastroju, który towarzyszył obchodowi, trudno też było nie wyczuć głębszych tonów uczuciowych, wywołanych stanowiskiem, jakie papież zajmuje wobec kwestyi polskiej.

Stanowisko to określają słowa Ojca Świętego, wyrzeczone do pielgrzymki wielkopolskiej:

„Nie możemy przyjąć życzeń waszych, aby Wam za miłość nie okazać szczególnej życzliwości i przychylności Ojcowskiej. *Szczególniej* — mówię — bo wszakże jesteście dziećmi nieszczęśliwego i ze wszech miar dziś utrapionego narodu.“

Podobne słowa, skierowane do pielgrzymki galicyjskiej, brzmiały jeszcze wymowniej:

„Niech wam nie będzie dziwne — mówił papież Pius X — że ile razy mam przemawiać do Polski, pełen jestem współczucia, a zarazem miłości i czci. Wróciwszy do Polski, oświadczcie wszystkim braciom waszym, że Papież chowa ich w sercu swoim, że wszystkim Polakom z całej duszy błogosławi...”

Wyrazy te są czemś więcej, niż zwykłym błogosławieństwem, które głowa kościoła udziela wiernym. Dają one świadectwo tej prawdziwej ojcowskiej miłości i tego głębokiego zrozumienia, z jakim Ojciec Święty ocenia obecne położenie narodu polskiego, przywiązanego szczerze do kościoła i związanego z Rzymem trwałym, tysiącletnim węzłem uczuć religijnych i dążeń cywilizacyjnych.

Oceniając to, społeczeństwo polskie pospieszyło z tem większym uczuciem wdzięczności i przywiązania złożyć Głowie Kościoła swój hołd i swoją cześć, dobytą z głębokich pokładów duszy zbiorowej.

*

*

*

Jeżeli przyjrzymy się baczniej stosunkom, jakie panują obecnie w większych środowiskach naszego życia przemysłowego, to nie możemy bez obaw patrzeć w przyszłość.

Po konwulsjach anarchii, po dniach teroru ekonomicznego, strejków nieustających i chwilowej dyktaturze proletariatu robotniczego przyszło wprawdzie uspokojenie i otrzeźwienie, ale nie przyszło to, co było i jest najbardziej pożądane, a dla kraju i normalnego jego rozwoju wprost konieczne — uregulowanie stosunków pomiędzy kapitałem a pracą.

Stosunki te, wskutek zaniedbania prawodawstwa fabrycznego i robotniczego nietylko pozostawiają wiele do życzenia, ale są wprost zaczynem bardzo groźnych fermentów na przyszłość. Nie wolno nam tego tać ani przed sobą, ani tembardziej przed sferami, bezpośrednio w tem zainteresowanemi, które bądź nie widzą przez dziwne zaślepienie, bądź widzieć nie chcą przepaści, ku której prowadzą przemysł krajowy, i tak bynajmniej świętych przed sobą nie mający perspektyw.

Wiadomo, że po strejkach robotnicy fabryczni uzyskali o wiele lepsze warunki pracy, a chociaż tu i owdzie były one wygóro-

wane, zwłaszcza w pierwszych chwilach, to jednak na ogół nie przekroczyły norm, które przemysł może wytrzymać, zważywszy, że jednocześnie poszły także w górę ceny wszystkich wyrobów.

Robotnicy, którzy nie dali się porwać i unieść zadaleko agitacji socjalistycznej, którzy w pewnych momentach stawali nawet po stronie fabrykantów i oświadczali się wyraźnie przeciw nadużyciom partji wywrotowych, patrzyli z całą ufnością w przyszłość i wierzyli w poprawę swojego losu. Zdawało się również, że i fabrykanci dotrzymają raz uczynionych przyrzeczeń i że w ten sposób życie popłynie dalej spokojnem i równem korytem, dając możność żywiołom kulturalnym w kraju prowadzenia wśród warstw robotniczych pracy, mającej na celu umysłowe i moralne ich podniesienie.

Stało się jednak inaczej. Oto od dłuższego już czasu dochodzą nas coraz to nowe wiadomości o powracaniu do warunków pracy z przed roku 1905. Dzieje się to w sposób bardzo prosty. Pewnego dnia na bramie fabrycznej, lub na drzwiach, prowadzących do kantoru, ukazuje się krótkie ogłoszenie: „Od dnia takiego i takiego obowiązywać będą warunki takie a takie. Kto ich nie przyjmie, może się zgłosić do obrachunku ostatecznego.“

W obawie przed nędzą i licząc się z panującymi obecnie warunkami, robotnicy zgadzają się na wynagrodzenia mniejsze, trudno jednak uwierzyć, aby znalazł się ktokolwiek, nawet wśród właścicieli fabryk, kto mógłby sądzić, że tą drogą przemysł uzyska rzeczywiście dogodniejsze dla siebie warunki.

Ogromne podrożenie wszystkich produktów spożywczych, podrożenie, które wytrąca obecnie z równowagi nawet budżety rodzin średniozamożnych, prędzej czy później spowoduje robotnika do postawienia żądań ze swej strony i do możliwych zatargów. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że jeżeli robotnicy ustępują dziś dobrowolnie, to czynią to nie dla tego, aby obudziło się w nich przekonanie, że żądali za wiele i że fabrykant ma zupełną słusność, wracając do norm dawnych, ale dla tego, że czują, iż w danej chwili fabrykanci są stroną silniejszą. Nie jest jednak nieprawdopodobnem, że przyjdzie czas, kiedy te względy, które krępują obecnie robotników, zostaną odrzucone, a wówczas rozpocząć się musi nowy akt tej tragedji, na którą niedawno patrzyliśmy ze zgrozą.

Nie widzieć i nie przeczuwać tego nie można i żaden obywatel, dla którego drogim jest prawidłowy rozwój stosunków ekonomicznych w kraju, nie może przyklasnąć takiemu postępowaniu przemysłowców, ale musi uznać je za niewłaściwe, a nawet

wprost nieobywatelskie. Tak patrzy na to opinia zbiorowa całego społeczeństwa i w tym duchu wypowiedziała się prasa polska, nie wyłączając tych jej organów, które nigdy nie ujawniały najlżejszych nawet tendencyj w kierunku radykalizmu społecznego.

Nie widzą tego i nie uznają jedynie fabrykanci, stojąc na wręcz odmiennem stanowisku i starając się tylko o wyzyskanie dla siebie obecnego momentu. Jest to krańcowy egoizm, domagający się stanowczego potępienia.

W parze z tym egoizmem, nawskroś klasowym i zamykającym oczy na całokształt interesów narodowych, idzie ujawniająca się coraz jaskrawiej niechęć fabrykantów do organizacji robotniczych.

Tam, gdzie organizacje te istnieją, gdzie mają one charakter prawny i gdzie zasadniczym ich celem jest obrona słusznych praw robotników, zdawałoby się, że w sprawach zatargu pomiędzy kapitałem a pracą, niema rzeczy prostszej nad zwrócenie się do takiej organizacji i wspólne z nią rozpatrzenie danej kwestyi. Tymczasem większość fabrykantów nie tylko w ten sposób nie postępuje, ale stara się najzupełniej negować istnienie takich organizacji. Rzecz naturalna, że wywoływać to musi i wywołuje wśród robotników rozgoryczenie, tem silniejsze, iż połączone z poczuciem krzywdy moralnej, jaka im się dzieje najniesłuszniej.

Takie postępowanie rozdrażnia i przygotowuje grunt pod posiew nienawiści klasowej.

Cóż ztąd, że agitacja socjalistyczna chwilowo przycichła, że tu i owdzie odzywają się głosy, stwierdzające jakoby upadek ruchu socjalistycznego u nas, a wzrastający jednocześnie tryumf demokracji chrześcijańskiej. Nie przyczyni się to bynajmniej do rozwiązania sprawy raz na zawsze. Naprzód, tylko politycy bardzo naiwni mogą przypuszczać, że demokracja chrześcijańska, jako organizacja robotnicza i mająca na widoku los warstw pracujących, może zachowywać zupełną obojętność wobec obniżania płacy; — nie zachowa jej ona, ale w chwili odpowiedniej poprze swoje żądania tą samą bronią, jaką rozporządzały organizacje socjalistyczne, t. j. strejkami, gdyż innej broni, robotnik walczący o swoje prawa i o poprawę bytu niema, jeżeli nie chce wyjść poza obręb prawa.

Powtóre i z socjalizmem bynajmniej nie jest u nas koniec. Fala jego tylko opadła i przycichła wskutek pogromu, jaki stał się udziałem partyj najczynniejszych podczas rewolucyi. Z chwilą jednak, gdy życie da możliwość swobodniejszego nieco oddechu

rozmaitego zabarwienia „towarzyszom,“ należy przewidywać że rozpoczną oni na nowo swoją robotę.

Inne bowiem jest w tej mierze stanowisko nauki, a inne fanatyków przewrotu i doktrynerów, ślepo wierzących w dogmaty Marksa. Nauka orzekła, że socjalizm bankrutuje w Europie zachodniej, że niema widoków na utrzymanie się w swoich dotychczasowych formach, że wszystkie jego doktryny wymagają rewizyi. Ale od nauki do życia fabrycznego krok jeszcze bardzo daleki, a od stosunków, panujących w Europie zachodniej, do stosunków naszych, jeszcze dalszy i śmiało można przypuścić, że wówczas, gdy w Europie zachodniej na miejsce dzisiejszych organizacji socyal-demokratycznych powstaną zupełnie inne organizacje społeczno-ekonomiczne, prowadzące warstwy robotnicze drogą ewolucyi do lepszego jutra, u nas na dobre jeszcze będzie świeciła tryumfy agitacya socyalistyczna, grająca na najniższych instynktach ludzkich, nie oglądająca się zupełnie na najwyższe dobra narodu i zwiastująca anarchistyczną ewangelię zniszczenia, będącą swojską transskrypcyą rosyjskich metod „postępu.“

Musimy się z tem liczyć i musimy wiedzieć o tem, gdyż znajdujemy się nie na czele, ale w ogonie cywilizacyi i nadto poddani jesteście w tej chwili więcej wpływowi wschodnim, niż zachodnim.

Fabrykanci nasi, a zwłaszcza fabrykanci łódzcy i na to zamykają oczy, nie chcąc uznać, że ich postępowanie jest wodą na młyn socyalizmu rewolucyjnego, że każdy ich krok obecny będzie w odpowiedniej chwili wyzyskany umiejętnie przez agitatorów i bynajmniej nie przyczyni się do załagodzenia stosunków, które mogą się bardzo zaognić i podciąć do reszty lub nawet zrujnować zupełnie wąły nasz przemysł.

Dla łódzkich obywateli „kultury niemieckiej“ jest to może zupełnie obojętne, jak obojętną jest dla nich dola robotnika polskiego poza siłą jego mięśni, jak nie dbają o jego oświatę i rozwój uczuć moralnych; dla nas jednak, którzy posiadamy *kulturę polską*, chcemy ją zachować, obronić przed zagładą i w imię tych najwyższych przykazań narodowych patrzymy na wszystkie zjawiska życia, nie wyłączając zatargów pomiędzy kapitałem a pracą—bynajmniej nie jest obojętne, czy stosunki w wielkich środowiskach naszego przemysłu ułożą się tak, że przemysł ten będzie mógł stanąć twardo i mocno, czyli też przybiorą charakter ostrego zapalenia, grożącego co chwila wstrząśnieniami, zaburzeniami, a nawet nowym paroksyzmem anarchii, nieobliczalnej w swych skutkach.

Obowiązkiem każdego publicysty wskazać zawczasu na te najdalsze i najbardziej opłakane skutki zaślepienia fabrykantów.

Jeszcze jest czas na to, aby tym skutkom zapobiedz, rozdrażnienie warstw robotniczych nie zaszło jeszcze tak daleko, aby nie można było załagodzić rosnącego niezadowolenia, ale — jeżeli załagodzenie to nie nastąpi w najbliższej przyszłości — niedługo może być już zapóźno.

Wejście w porozumienie z organizacjami robotniczymi, uwzględnienie słusznych żądań tych organizacji, reprezentujących najzdrowsze warstwy robotnicze, wykazanie tendencji do zrozumienia istotnego stanu rzeczy w kraju — oto najpierwsze i najważniejsze zadanie obywatelskie, które przemysłowcy, mianujący się przemysłowcami polskimi i liczący się chociaż cokolwiek z interesami społeczeństwa polskiego, mają do spełnienia i spełnić powinni.

*

*

*

Jeden z dzienników wypowiedział niedawno pod adresem społeczeństwa kilka gorzkich uwag z powodu „małego zainteresowania się projektowaną na lato 1909 r. wystawą przemysłowo-rolniczą w Częstochowie.“

Czy zainteresowanie się to jest istotnie „małe“ — o tem trudno na razie rozstrzygać, choćby z uwagi na to, że wystawa jest od nas dość jeszcze daleka. Gdyby jednakże w zarzucie tym była pewna tylko doza słuszności — to należałoby sprawę tę niezwłocznie podjąć i zawczasu zapobiedz obojętnemu traktowaniu przez ogół przedsięwzięcia, posiadającego duże znaczenie kulturalne dla kraju.

Nie mówiąc już o tem, że wogóle pedagogicznego znaczenia wystaw nie wyzyskaliśmy dotąd, że projektowana przed laty powszechna wystawa krajowa do skutku nie doszła z powodu warunków politycznych i ekonomicznych, jakie wytworzyły się rychło po przeprowadzeniu w tej sprawie ankiety przez b. Gazetę Polską — w danym wypadku należy zwrócić specjalną uwagę na Częstochowę, jako na niezwykle szczęśliwie obrany punkt dla popisu ekonomicznego na większą skalę.

Czemże bowiem jest Częstochowa? Jako miasto, nie należy ona do miast największych w Królestwie, jest średniej miary śródowniskiem przemysłowem, a jako ognisko życia kulturalnego nie odegrała dotychczas żadnej większej roli. Niezależnie jednak od tego, posiada Częstochowa ogromny w swoim ręku atut, który czyni z niej miasto najszerzej i najlepiej znane w całej Polsce. Dzięki Jasnej Górze, dzięki historycznej przeszłości swojej i znaczeniu, jakie odgrywa w życiu religijnem narodu, Częstochowa jest punktem zbornym dla ludu polskiego ze wszystkich ziem polskich. Przez nią corocznie przechodzą setki tysięcy pielgrzymów, wśród których równie dobrze znajdują się mieszkańcy Królestwa Polskiego z najdalszych jego krańców, jak mieszkańcy Galicji i Ks. Poznańskiego, Litwy i Rusi.

Nie trzeba więc dowodzić, że wystawa przemysłowo-rolnicza, urządzona w tem mieście, będzie posiadała nieskończenie większe znaczenie pedagogiczne, niżby je mogła posiadać przy najlepszych warunkach także sama wystawa, urządzona gdzieindziej, nie wyłączając nawet Warszawy.

Bo i kogoż trzeba uczyć, komu pokazywać przedewszystkiem wyniki pracy rozumnej, zdobycze wiedzy, udoskonalenia techniki współczesnej?

Inteligentny mieszkaniec wielkiego miasta ma tysiąc innych sposobności do zaznajomienia się z tem—ma przed oczami ruchliwą falę życia przemysłowego i handlowego, która wyrzuca na brzeg wszystko nowe i pozwala się wszystkiemu przyjrzeć; ma dalej środki na to, aby od czasu do czasu wyjechać za granicę i poznać wytwórczość innych narodów i wzbogacić swoje doświadczenie doświadczeniem sąsiadów; ma wreszcie pisma i książki, które sumiennie pouczają go o postępie świata i dają mu poznać najlepsze owoce kultury i cywilizacji ogólnoeuropejskiej.

Zupełnie inny stosunek do tych rzeczy wytwarza się z konieczności na prowincyi, a szczególnie na wsi.

Wieśniak polski odgradzony jest jeszcze zupełnie od świata i niema żadnej prawie sposobności do zaspokojenia budzącej się w nim ciekawości. Stąd wystawa, która w szeregu umiejętnie dobranych eksponatów, potrafi mu pokazać wszystko, co kraj wytwarza, doniosłe może mieć znaczenie dla obudzenia się w nim nie tylko uświadomienia ekonomicznego, ale też i zupełnie nowych, daleko sięgających aspiracji.

Nie ulega zaś żadnej wątpliwości, że jeżeli na tę lub inną wystawę włościanin wybierze się chętnie, to z pewnością z podwójną chęcią pójdzie czy pojedzie na wystawę częstochowską,

gdzie jednocześnie będzie mógł pokłonić się Najświętszej Pannie i zaspokoić swoje uczucie religijne.

W mieście, przez które w zwykłych warunkach przewija się w ciągu roku kilkaset pielgrzymek, liczących od kilkudziesięciu ludzi do kilku tysięcy każda, nie zbraknie wystawie gości. Każdy wieśniak, który tam zajrzy, odniesie też niewątpliwą korzyść z tych odwiedzin, tem większą, im większą zwróci uwagę organizatorowie na to, co lud może zająć, zaciekać, pouczyć. I dla tego należy odrazu położyć największy nacisk na tę — jeżeli można tak powiedzieć *ludową* — stronę przyszłej wystawy częstochowskiej.

Z pewnością komitet, który już rozpoczął działalność przygotowawczą i wszedł w porozumienie z wieloma instytucjami i przedsiębiorstwami, zdaje sobie dokładnie z tego sprawę i pragnie jaknajsumienniej i jaknajwszechstronniej wywiązać się ze swoich zadań.

Świadczą o tem dwa nader szczęśliwe pomysły. Pierwszy dotyczy Muzeum Hygienicznego, które urządzone na czas wystawy staraniem Towarzystwa Hygienicznego, pozostałoby już, jako trwała zdobycz Częstochowy i jako ważna w niej placówka kulturalna, ułatwiająca oddziaływanie na szerokie warstwy ludu w kierunku szczepienia im racjonalnych pojęć o zdrowiu. Placówka taka dla sprawy naszego odrodzenia fizycznego posiada znaczenie duże, lud bowiem, zwiedzając Muzeum Hygieniczne i oglądając własnymi oczami urządzenie wzorowej chaty włościańskiej, nabierze jasnego pojęcia o tem, czego mu brak przedewszystkiem w życiu codziennem.

Również doniosłe znaczenie posiada projekt drugiego muzeum. Ma nim być *Muzeum Przemysłu Ludowego*, którego urządzeniem zajmie się Towarzystwo popierania tego przemysłu. Od maja do października w Muzeum tem mają pracować wszystkie warsztaty pod kierunkiem instruktorów, którzy na żądanie włościan będą ich zaznajamiali z ulepszonymi sposobami wyrobu koszyków, płócien, zabawek z drzewa etc. Muzeum to może oddać niepospolitą usługę ważnej sprawie krzewienia się i racjonalnego rozwoju drobnego przemysłu w naszym kraju.

Obok tych dwóch projektów postawić należy trzeci, z którym wystąpiło Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze, zamierzając urządzić na terenie wystawy częstochowskiej krajową wystawę ogrodniczą.

Ogrodnictwo jest u nas najbardziej zaniedbaną gałęzią pracy przez wieśniaków. Racjonalna uprawa warzyw zaczyna się za-

ledwie rozwijać w sąsiedztwie miast większych, podobnie jak umiejętnie hodowanie drzew owocowych. Sad przy chacie włościańskiej jest jeszcze rzadkością, a tam, gdzie istnieje, nie stoi w żadnym związku z obecnym stanem ogrodnictwa i oprócz kilku kartowatych drzew wiśniowych, na pół dzikich grusz i jabłoni nie zawiera nic godnego uwagi. Tymczasem produkcya owoców o gatunkach wyższych, do której tak bardzo nadają się warunki gleby w niektórych okolicach naszego kraju, oraz warunki klimatu, sprzyjającego drzewom owocowym, nawet bardzo delikatnym, może przysporzyć niejednemu włościaninowi tyle pożądanego dochodu.

Włościanin, który zobaczy na wystawie, jak niewielkim stosunkowo kosztem można dojść do posiadania pięknych owoców i należycie wyzyskać przestrzeń gruntu, przeznaczoną pod ogród, nabierze, niewątpliwie chęci do przełamania dotychczasowej obojętności swojej na ten dział pracy i zacznie ją stopniowo w gospodarstwie uwzględniać, osiągając coraz lepsze rezultaty.

Poza tem jest jeszcze jeden dział, na który Komitet wystawy częstochowskiej powinien zwrócić baczną uwagę. Mamy tu na myśli *hodowlę drobiu rasowego*.

Wprawdzie drób hodują wszystkie nasze włościanki i niema ani jednego gospodarstwa, w którym nie znajdowałoby się kilka przynajmniej kur, spokojnie grzebiących w śmieciach domowych i poważnie spacerujących po ulicach wiejskich, a w chwilach nieskrępowanej niczem swobody zakradających się nawet do stodół— to jednak drób ten pozostawia wiele do życzenia—jest wątły, chudy i nie przynosi odpowiedniego dochodu. Tymczasem takim samym kosztem drobne gospodarstwo może żywić drób rasowy—dorodne kury i koguty, kaczki, gęsi, a nawet indyki, które stanowią zawsze pożądaną artykuł na rynkach wielkomiejskich, nie mówiąc już o jajach, które przy większej produkcji i staraniu mogłyby u nas stanowić wcale poważny artykuł handlu wywozowego.

Dziś zwłaszcza, kiedy w kraju naszym powstają liczne stowarzyszenia i spółki włościańskie, które mogłyby z jednej strony pośredniczyć w dostarczaniu rasowego drobiu hodowcom, z drugiej zorganizować zbyt kurcząt i jaj, chroniąc włościan od wyzysku ze strony kupców i handlarzy żydowskich, należałoby położyć nacisk na uświadomienie włościan w kierunku racjonalnej hodowli drobiu i ułatwić im zaznajomienie się z jej wynikami. Wystawa zaś nadaje się wybornie do tego celu.

Nie poruszamy tu innych, związanych z wystawą częstochowską projektów i planów, odkładając to na później, gdy sprawa już się skryształizuje i materiał będzie obfitszy.

Na razie jednak uważaliśmy za swój obowiązek zabrać głos, aby przedewszystkiem ustalić fakt, że wystawa posiadać będzie doniosłe znaczenie kulturalne dla kraju z dwóch względów zasadniczych—naprzód, że da obraz obecnego stanu ekonomicznego Królestwa w chwili bardzo pod względem gospodarczym charakterystycznej, powtóre, że będzie wystawą, którą przedewszystkiem zwiedzać będzie lud—ten nowy czynnik życia obywatelskiego, występujący dopiero na szerszą arenę.

*

*

*

Piękny przykład tego, co może uczynić inicjatywa i energia jednostek, w połączeniu z ofiarnością ogółu, dają dzieje sanatorium w Rudce pod Mrozami.

Nie będziemy tu powtarzali historii powstania tej instytucji, której duszą był i jest d-r Teodor Dunin, niezmordowany orędownik tej sprawy. Trudno jednak nie wyrazić radości z powodu dzieła ukończonego, trudno też nie podkreślić faktu, że jest ono owocem samopomocy społecznej.

W ostatnich dniach listopada r. b. wspaniały gmach sanatoryjny stanął otworem. Jest to jedyne w Królestwie Polskiem sanatorium dla chorych piersiowych, postawione na wysokości wymagań nauki i dostępne dla ludzi niezamożnych.

Wiadomo, jaką klęską ludzkości współczesnej jest gruźlica. Wszędzie czyni ona spustoszenia i wszędzie nauka przy pomocy społeczeństw i rządów toczy z tą klęską upartą walkę. U nas walka ta znajduje się dopiero w zaczątku, a wymaga wysiłków może o wiele większych, niż gdzieindziej. Suchoty w ostatnich latach kilkudziesięciu rozpowszechniły się w naszym kraju bardzo. Grasują one nie tylko wśród ludności miejskiej, ale powoli zaczynają także przedostawać się na wieś. Dla naszej przyszłości jest to niebezpieczeństwo poważne. Naród, którego najpierwszą potrzebą jest zdrowie obywateli,—bo tylko ludzie zdrowi, o tęgich płucach i tęgich mięśniach mogą spełnić te ciężkie obowiązki i wykonać tę pracę, jaka ciąży na najbliższych jego pokoleniach—

taki naród, jeżeli nie potrafi zdobyć sobie warunków, zabezpieczających go od przedwczesnej śmierci dziesiątków tysięcy młodzieży, wchodzącej dopiero w życie, nie wytrzyma współzawodnictwa z narodami innymi, zdolnymi do większych wysiłków.

Już dziś robotnik nasz nie może pracować tak, jak pracuje robotnik niemiecki, nie może zaś przedewszystkiem dlatego, że jest gorzej odżywiony, mniej posiada sił fizycznych, wyczerpuje się przedwcześnie i—umiera na suchoty w wieku, który powinien stanowić okres najpomyślniejszy w życiu człowieka.

Groźba suchot nietylko jednak wisi nad warstwą robotniczą i rzemieślniczą, a śmierć nietylko z pośród ludzi, pracujących przy warsztatach, zabiera corocznie swój plon, przenoszący znacznie zwykłą normę, pogrążając mnóstwo rodzin w nędzy bez wyjścia i zwiększając przez to ogólne ubóstwo kraju. Ta sama groźba zawisła również nad klasą t. zw. inteligentną, zwłaszcza nad proletaryatem naszej inteligencji, która również w ogromnej większości wypadków nie posiada dostatecznych środków na to, aby mogła skutecznie bronić się przed czyhającym napastnikiem.

Leczenie suchot jest kuracją bardzo kosztowną. W stadium, kiedy są one wogóle uleczalne, t. j. w początkach swoich—wymagają od chorego powstrzymania się od wszelkich wysiłków, a więc przedewszystkiem od pracy, zupełnego wypoczynku, dobrego, stosownego odżywiania się i—nadewszystko—czystego, zdrowego powietrza, którego szukać trzeba poza obrębem miasta, najlepiej w górach, lub przynajmniej na wsi.

Dla ludzi zamożniejszych istnieją sanatoria w licznych miejscowościach klimatycznych środkowej i południowej Europy, istnieje wreszcie znakomicie prowadzone przez d-ra Dłuskiego sanatorium w Zakopanem, gdzie pobyt, zwłaszcza w miesiącach zimowych, daje wyniki nadzwyczajne.

Co jednak mają czynić ludzie niezamożni? Dokąd mają się zwrócić rodziny, chcące ratować swoich członków, a posiadające zbyt skromne środki na to, aby wysłać chorego zagranicę? Nawet dla ludzi względnie zamożnych gruźlica znaczy to samo, co zupełna ruina materyalna. Cóż im pozostaje? Patrzeć powoli na to, jak gaśnie życie, jak wątły organizm chorego wyczerpuje się coraz bardziej, wreszcie nadchodzi chwila kresu.

Ileż takich tragedij rodzinnych rozgrywa się codziennie w sercach ludzkich? Jakież straty nieobliczalne ponosi przez to społeczeństwo! Ludzie zdolni, młodzieńcy, zapowiadający się świetnie, obdarzeni wiele wróżącymi talentami—muszą porzucać świat i życie dla tego, że w początkach choroby nie mieli środków na

powstrzymanie jej rozwoju, na dłuższy pobyt w warunkach, potrzebnych dla nich.

Sanatorium w Rudce przeznaczone zostało dla tej właśnie kategorii chorych. Ma ono przedewszystkiem na względzie warstwę mniej zamożną i dla tego znaczenie społeczne tej nowej instytucji jest jeszcze większe, aczkolwiek powstanie jej nie rozwiązuje bynajmniej kwestyi, statystyka bowiem lekarska nie tai bynajmniej, że dla racjonalnej walki z gruźlicą w kraju naszym potrzeba nie jednego, ale *przynajmniej dziesięciu* takich sanatoriów, jak w Rudce.

Miejmy też nadzieję, że po wprowadzeniu samorządu sprawa ta zostanie postawiona na gruncie właściwym.

Sprawa Muzeum miejskiego pozornie dobiegła kresu. Zapis ś. p. szambelana Lachnickiego został przyjęty i zatwierdzony, miasto uzyskało prawo asygnowania corocznie przez lat sześć po 100,000 rb. na budowę, ewentualnie na kupno już gotowego gmachu, wyższe władze administracyjne w Petersburgu uznały wreszcie magistrat warszawski za kompetentny do ostatecznego wyboru miejsca pod Muzeum. W ten sposób należałoby rzeczywiście oczekiwać rychłego zakończenia sprawy.

W istocie jednak zakończenie to wcale nie jest blizkie. Magistrat pomimo wszystko jest niezdecydowany i nie może odważyć się na krok stanowczy. Nie chcemy, stawiając ten zarzut, twierdzić, że wybór miejsca jest łatwy; z uwagi jednak, że ubiegło już tyle czasu od poruszenia tej kwestyi, należałoby nareszcie zająć się nią w sposób stanowczy.

Po za ośmioma projektami, przesyłanemi do Petersburga, jest podobno aż 116 ofert, złożonych przez obywateli miasta. Nie można więc narzekać na brak wyboru. Prawda, że wśród tych ofert są takie, które trzeba przyjąć z uśmiechem, świadczą bowiem jedynie o naiwnej chęci zrobienia przy sposobności dobrego interesu na sprzedaży placu lub domu dochodowego, położonego w najmniej odpowiedniej dzielnicy; ale są i takie, które należałoby bardzo uważnie rozpatrzyć.

Do kategorii projektów, domagających się uważnego i poważnego traktowania, należy, naszym zdaniem, projekt, podany przez grono artystów plastyków.

Wiadomo, że nasz świat artystyczny bynajmniej nie jest zadowolony z obecnego Pałacu Sztuki, będącego własnością Towarzystwa Zachęty. Widzi on w tym gmachu liczne i bardzo poważne braki, a przede wszystkim uważa, że budynek wzniesiony został raczej na muzeum, niż na pomieszczenie wystaw.

Z tej racji proponuje owo grono artystów miastu, aby weszło w porozumienie z Towarzystwem Zachęty i nabyło od niego na Muzeum dzisiejszy Pałac Sztuki.

Nie przesądzamy wartości praktycznej tego projektu; zdaje nam się jednak, że należy on do szeregu tych, obok których niepodobna przejść obojętnie, zwłaszcza, jeżeli magistrat zechce się liczyć z opinią publiczną, która wolałaby znacznie skrócić termin sześćdziesięcioletni i rychlej pragnęłaby oglądać zbiory, ofiarowane jej przez ś. p. Lachnickiego.

Pragnienie to jest zresztą zupełnie uzasadnione i dla tego, kto wie, czy na tej właśnie drodze nie leży ostateczne rozwiązanie sprawy, tyle kłopotliwej dla magistratu, zajętego obecnie zgoła czem innym.

*

*

*

Istniejące w Królestwie Polskiem Towarzystwa wzajemnego kredytu otrzymały niedawno od biura wszechrosyjskiego zjazdu takich towarzystw zawiadomienie o zatwierdzeniu przez rząd ustawy *Banku centralnego Towarzystw wzajemnego kredytu*, rozciągającego swoją działalność na całe państwo.

Niewątpliwie Centralny bank Towarzystw wzaj. kredytu jest instytucją bardzo pożyteczną. Zachodzi jednak pytanie, czy idea stworzenia takiego banku, ogarniającego całe państwo, jest ideą ekonomicznie zdrową i dobrą?

Otóż nie. Przede wszystkim w zastosowaniu do Królestwa Polskiego centralizacja taka wydaje się nam wprost nieodpowiednią. Życie prawne i ekonomiczne ukształtowało się u nas zupełnie inaczej, niż w wielu innych krajach, należących do państwa rosyjskiego. Pozorne „objedinienie”, nad którym tak wy-

trwale pracowano przez czas długi, nie zdołało tej odrębności zatrzeć i przy bliższem poznaniu rzeczy okazuje się ona o wiele większą, niż nawet przypuszczają prawnicy i ekonomiści rosyjscy.

Ta odrębność dotyczy także i stosunków, panujących w dziedzinie kredytu, który nie może polegać li tylko na łatwości otrzymywania większych lub mniejszych sum z kasy banku centralnego, ale musi opierać się na dobrej znajomości charakteru i organizacyi przemysłowej danego kraju, musi znać zdolność kredytową instytucyi i przedsiębiorstw, z którymi wchodzi w kontakt. Otóż przy jednym na całe państwo Banku Centralnym jest to zgoła niemożliwe, czego zresztą wybitny dowód daje Bank Państwa, który, mimo wzorowego prowadzenia, nie jest w możności spełnienia wobec Królestwa tych wszystkich zadań, jakie przed nim spełniał b. Bank Polski, mający za sobą wielkie zasługi w sprawie podniesienia i rozwoju naszego przemysłu.

Ten wzgląd, niewątpliwie pierwszorzędny, powinienby przemawiać raczej za innem postawieniem sprawy przez Zjazd wszechrosyjski Towarzystw wzajemnego kredytu.

Dla Królestwa, o ile szłoby o stworzenie w nim takiej centralnej instytucyi, należałoby stworzyć Centralny *krajowy* Bank kredytowy.

Gdyby bank taki powstał, wówczas byłby on niewątpliwie instytucją niezmiernie pożyteczną, gdy pożytek projektowanego Banku jest więcej niż problematyczny.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

Mathias Bersohn.

Dnia 19 listopada r. b. zmarł w Warszawie w 84 roku życia b. p. Mathias Bersohn, zamiłowany zbieracz zabytków archeologicznych i niepośledni znawca sztuki. Była to postać nawskroś kulturalnego Żyda-Polaka, ożywionego szczeremi uczuciami obywatelskiemi. Z zawodu bankier, nie miał jednak Bersohn w swoim charakterze ani jednej z cech tak swoistych dla przedstawicieli świata finansowego. Wykształcony, skromny, uprzejmy dla wszystkich, obdarzony niezwykłym darem obcowania z ludźmi, przez ciąg długiego życia, poświęconego pracy i usługom dla innych, zmarły potrafił zjednać sobie szacunek i uznanie w społeczeństwie, którego aspiracyami żył i którego tradycje pielęgnował starannie. Należał on jeszcze do pokolenia tych Żydów, którzy patrzyli własnymi oczami na ciężkie i bolesne przejścia narodu i poczuli się do łączności z tym narodem w złej i dobrej doli i dlatego zapewne był innym od wielu swoich współwyznawców z doby późniejszej. Uważając się za Polaka i kochając Polskę, Bersohn nie przestał jednak być Żydem, zachował swoje wyznanie i gorliwie wspierał gminę żydowską, która straciła w nim jeden z tęższych swoich filarów.

Nie znalazłszy w działalności finansowej zadowolenia dla swoich skłonności i upodobań, Bersohn po zlikwidowaniu interesów, które uczyniły go dość zamożnym, aby mógł spokojnie patrzeć w przyszłość—oddał się całkowicie pracy naukowej, uzupełniając brak przygotowania specjalnego rozległością i sumiennością studyów, podejmowanych na własną rękę. Praca ta doprowadziła go do rezultatów poważnych. Dość wymienić, że z pod

jego pióra wyszły: doskonała rozprawa „O Wicie Stwoszu,” szacowny „Słownik rytowników polskich,” w którego układzie złożył autor dowód gruntownej znajomości sztycharstwa krajowego, niezwykle ciekawa rzecz „O rękopisach iluminowanych,” oraz o „Zabytkach budownictwa drewnianego w Polsce,” wreszcie: „Katalog księgozbioru katedry płockiej” i „Słownik uczonych żydowskich w Polsce.“

Prace naukowe Bersohna zwróciły na siebie uwagę specjalistów, a wślad za tem najwyższych naszych instytucyj naukowych. Komisya archeologiczna i sztuki krakowskiej Akademii Umiejętności mianowała go swoim członkiem. Podobnie Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu.

Nie ustając ani na chwilę w gromadzeniu wszystkiego, co posiadało wybitniejszą wartość archeologiczną lub artystyczną, Bersohn z biegiem lat stał się właścicielem cennych zbiorów, które należą do najobficiej zaopatrzonych w Polsce, zwłaszcza w działach ceramicznym i sztycharskim. Jak zbiorami temi zmarły rozporządził, dotychczas niewiadomo, niewątpliwie jednak wyłączył je z ogólnej masy spadkowej i w ten czy w inny sposób przeznaczył dla kraju, który w jego oczach był jedynym właścicielem prawowitym wszystkiego, co nam przekazuje przeszłość w swoich pamiątkach i zabytkach.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH I AKADEMII.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Na ostatnim posiedzeniu Komisji historii sztuki Prof. D-r Marjan Sokołowski zdał sprawę z wycieczki do Zamościa, podjętej w lecie b. r., w celu zorientowania się w tamtejszych zabytkach przed rozpoczęciem dalszych badań. Zabytki Zamościa dotyczą głównie przełomu z XVI na wiek XVII. Prof. Sokołowski illustrował referat szeregiem fotografii, wykonanych dla Komisji przez p. Stefana Zaborowskiego. Zdjęcia te dotyczą kolegiaty, ratusza, bogato ornamentowanych domów ormiańskich, kościoła Franciszkanów, zszpeconego, ale o którego pierwotnym stanie dają nam pojęcie dawne fotografie etc. W jednym z ołtarzy kolegiaty mieści się znakomity obraz Carla Dolce, przedstawiający Zwiastowanie. Na szczególną wzmiankę zasługuje wielkie srebrne cyboryum barokowe, należące do najwspanialszych okazów tego rodzaju.

Prof. D-r M. Sokołowski przedstawił następnie fotografię gemmy rżniętej w kryształ, przedstawiającej królowę Bonę, a znajdującej się w Ambrozyanie medyolańskiej. Zdaniem referenta piękny ten klejnot jest najprawdopodobniej dziełem włoskiego złotnika i rzeźbiarza w cennych kamieniach, nazwiskiem Jacobo Caraglio, który pracował na dworze Zygmunta I.

P. Jan Tarczałowicz mówił o drewnianej dzwonnicy kościoła parafialnego w Bochni. Ważniejsze części dzwonnicy wykonano z dębiny, inne, jak np. więźbę dachową, z drzewa sosnowego. Na belce widnieje napis Andreas Palicz 1609. P. Tarczałowicz objaśnił szczegółowo konstrukcję tej dzwonnicy własnymi zdjęciami fotograficznymi.

D-r F. Papée podał do wiadomości Komisji, że w r. 1502 pracował dla Erazma Ciolka niejaki Bróg, pisarz kodeksów. W tym samym czasie powstał znany kodeks Erazma Ciolka, znajdujący się w Muzeum ks. Czartoryskich.

W końcu p. Nikodem Pajzderski przedstawił swój referat o zamku w Tenczynie. Z pierwotnego zamku gotyckiego, zbudowanego prawdopodobnie przez

Andrzeja Tenczyńskiego, wojewodę krakowskiego, za czasów Kazimierza W., pozostały zaledwie reminiscencye w planie kaplicy i niektórych basztach okrągłych. Dzisiejsze rozmiary otrzymał zamek tenczyński około r. 1570 dzięki zabiegom Jana Tenczyńskiego. Na najwyższym punkcie wzgórza splanowanego dziedzińca, do którego wejścia broniła wspaniała strażnica w bronę zaopatrzona, rozmieszczono z trzech stron zabudowania mieszkalne. Do późniejszych nieco zmian należy rozszerzenie murów od strony południowej i uzupełnienie fortyfikacyami systemu Vauban'a. Zamek tenczyński przeobrażony w siedzibę magnacką w stylu i duchu epoki Odrodzenia, kiedy pojęcie warowni u nas łączyło się z przepychem i wygodą pałacu renesansowego, posiada dzisiaj zaledwie kilka jeszcze śladów dawnej świetności. Głowica joińskiego typu, motyw krążganków w dziedzińcu, wieńczenie attykowe ścian—oto niedłwie wszystko. Zamek tenczyński zniszczony w r. 1655 przez Szwedów, odnowiony przez Lubomirskich, do których wtedy należał, był jeszcze zamieszkały w r. 1703. W r. 1787 Stanisław August mógł już tylko podziwiać monumentalne ruiny. Referat illustrowany był planami, zdjętymi niegdyś przez ś. p. Wł. Łuszczkiewicza, oraz pięknym rysunkiem p. Zygmunta Hendla, odtworzącym podwórzec zamkowy i dającym nam wyobrażenie o jego pierwotnej świetności.

— Z TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO. W dniu 4 listopada r. b. odbyło się miesięczne posiedzenie Wydziału I-go Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym członek Towarzystwa, p. Appel, wygłosił referat w kwestyi: „Istota zjawisk językowych.“

W dniu 3 grudnia r. b. odbyło się ósme posiedzenie naukowe Wydziału III-go matematyczno-przyrodniczego, na którym były przedstawione następujące komunikaty: a) p. R. Mereckiego: „Wpływ zmiennej działalności słońca na czynniki meteorologiczne ziemskie.“ Część III; — b) p. Z. Weyberga: „Badania krytyczne metod oznaczania ciężaru właściwego skał;“ — c) p. Z. Weyberga: „Łyszczyki tatrzańskie;“ — d) p. J. Eismonda: „T. zw. struktury protoplazmy, ich pochodzenie i znaczenie;“ — e) p. St. Miklaszewskiego: „Gleby powiatu Janowskiego.“

W dniu 5 grudnia odbyło się posiedzenie naukowe II-go Wydziału, na którym p. Henryk Konie referował pracę p. t. „O komisji rządzącej 1807 r.“

— TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW HISTORJI. Zarząd Towarzystwa Miłośników Historji w Warszawie zawiadamia niniejszem swych P. T. Członków, że z dn. 21 b. m. zacznie się cykl pięciu publicznych prelekyj historycznych, których program jest następujący: I. Dn. 21 grudnia 1908 r., Prof. Tadeusz Korzon: „Grunwald.“ II. Dn. 4 stycznia 1909 r., Mec. Aleksander Kraushar: „Naukowość polska w drugim trzydziestoleciu ubiegłego wieku (1831—1861).“ Część I-sza. III. Dn. 11 stycznia 1909 r., Mec. Aleksander Kraushar: „Naukowość polska w drugim trzydziestoleciu ubiegłego wieku (1831—1861).“

Część II. IV. Dn 18 stycznia 1909 r., D-r Władysław Konopczyński: „Z dziejów partyjności polskiej w XVIII w.“ V. Dn. 25 stycznia 1909 r., Profesor Aleksander Jabłonowski: „Turczyni Bośni i Hercegowiny wobec Słowian bałkańskich.“

Prelekye te będą mieć miejsce w poniedziałki, punktualnie o godzinie 7-ej wiecz., w wielkiej Sali balowej Resursy Kupieckiej (ul. Senatorska № 40. Członkowie Towarzystwa, którzy się zgłoszą do Administracyi (Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“, Krakowskie-Przedmieście № 5, od godziny 10-ej do 3-ej) otrzymają, stosownie do § 10, f. Ustawy Towarzystwa, imienne bilety wolnego wstępu na wszystkie prelekye.

Dla nieczłonków bilety wejścia na każdą poszczególną prelekyę zostały oznaczone na 1 rb. dla pierwszych rzędów, i na 50 kop. dla dalszych rzędów krzeseł. Bilety są do nabycia w Administracyi naszego Towarzystwa (Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“ Krakowskie-Przedmieście № 5, od godz. 10-ej do 3-ej), w Księgarni E. Wendego i S-ki (Krak.-Przed. № 7), tudzież przed każdym odczytem na miejscu, w przedsionku Resursy Kupieckiej.

Zarząd Towarzystwa miłośników historii w Warszawie pragnąłby w podwziedniu tego pierwszego cyklu odczytów nie tylko znaleźć podstawę dla dalszych usiłowań w tym kierunku, ale i uzyskać tą drogą nowe źródła dochodów jak dotychczas niedostatecznych dla szerszego rozwoju Towarzystwa.

— ZJAZD HISTORYCZNO-LITERACKI IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO WE LWOWIE we wrześniu 1909 r.

Sekeya literacka komitetu urządzającego uroczystość jubileuszową setnej rocznicy urodzin autora „Króla Duchu“ ogłasza program zjazdu, który ma się odbyć pod protektoratem duchowym Juliusza Słowackiego, jako część hołdu i miłości całego narodu, złożona w święto sekularne pamięci wielkiego poety. Program ten głosi:

A) Zjazd historyczno-literacki imienia Juliusza Słowackiego odbędzie się we Lwowie, we wrześniu 1909 roku; termin bliższy będzie podany później do wiadomości uczestników.

B) Przedmiot obrad Zjazdu będą stanowiły kwestye, należące do badań historii literatury polskiej, w dwojakim kierunku: historycznym i teoretycznym.

W zakresie pierwszym wskazówkę, czasowo ograniczającą tematy z dziejów piśmiennictwa, kultury i twórczości piśmienniczej, daje samo nazwisko Słowackiego, który wyszedł z epoki przedromantycznej, działalność rozpoczął za romantyzmu, a dokonał jej w dobie prądów i aspiracyj innych niż poprzednie. W myśl tego na osnowę referatów zalecałyby się pytania natury historycznej, o niezaprzeczonem interesie naukowym, któreby w sposób umięjętny rozstrzygały pewne problemy, lub rozpoczynały dochodzenia i zagadnienia dotychczas nie podjęte, przedewszystkiem ze względu na Słowackiego samego,

następnie ze względu na innych pisarzy, lub nawet na pewne specjalne cele—zawsze jednakowoż w obrębie trzech wymienionych epok i w związku z nimi.

W zakresie drugim treść referatów obracałaby się:

1) około teorii i krytyki literackiej, branej ze stanowiska ogólnego czy szczególnego, historycznego lub czysto-teoretycznego;

2) około całego szeregu nauk, które uważane są bądź za dyscypliny, w ścisłym słowa znaczeniu, pomocnicze historii literatury (np. bibliografia, statystyka, filologia, estetyka, poetyka, retoryka i t. d.), bądź za uzupełniające jej przedmiot badania, rozszerzające jego granice, albo przenoszące go na pole innych nauk i umiejętności (etnologia, socjologia, nauka motywów, historia kultury i t. d.), z głównym przyciskiem znowu na epokę Słowackiego.

C) Referaty których termin zgłaszania Komitet ogranicza dniem 30 listopada 1908 roku, będą poddane ocenie Komisji osobnej i, w razie uznania za odpowiednie, ogłoszone drukiem. Objętość ich zasadnicza ustanawia się na 1000 wyrazów (4 strony 8-ki zwyczajnej), która pod żadnym warunkiem nie może przekraczać 2000 słów (8 stron 8-ki zwyczajnej).

Imieniem Komitetu obchodu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego we Lwowie:

D-r Antoni Małeki, prezes honorowy; *D-r Józef Kallenbach*, prezes ogólny; *D-r Wilhelm Bruchnalski*, prezes sekcji literackiej; *D-r Ludomił German* i *D-r Jan Gwałbert Pawlikowski*, wiceprezisi sekcji literackiej; *D-r Wiktor Hahn*, sekretarz ogólny. Członkowie sekcji literackiej: *Bełza Władysław*, *D-r Bernacki Ludwik*, *D-r Czarnik Bronisław*, *D-r Finkel Ludwik*, *D-r Gubrynowicz Bronisław*, *D-r Jarecki Kazimierz*, *D-r Krcek Franciszek*, *Krechowiecki Adam*, *Pini Tadeusz*, *D-r Reiter Maryan*, *Schneider Stanisław*, *Wasilewski Zygmunt*, *D-r Wojciechowski Konstanty* i *Wolska Marya*.

— KASA IM. D-R J. MIANOWSKIEGO. Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia J. Mianowskiego podaje do wiadomości, że z fundacji Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez Władzę rządową, przyznana zostanie w r. 1909 nagroda pieniężna imienia profesora Adolfa Pawińskiego w wysokości rb. 600 za najlepszą z ogłoszonych drukiem w języku polskim w ciągu trzech ostatnio ubiegłych lat, t. j. 1906, 1907 i 1908, pracę, odnoszącą się do historii polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służy dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materiałów, zebranych przez prof. Pawińskiego. Stosownie do Ustawy Kasy i do zastrzeżeń władzy, przyjętych przez ofiarodawców, nagroda ta może być udzielona jedynie poddanemu rosyjskiemu, o ile nie przebywa zagranicą, bez pozwolenia rządu, za dzieło przez cenzurę dozwolone, choćby wydane zagranicą. Jakkolwiek Komitet zarządzający Kasą będzie usiłował zebrać dla oceny kwalifikujące się do nagrody prace, wydane w latach wymienionych, dla uniknięcia jednak przeczeń prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Niecala № 7), lub na ręce jednego z Członków Komitetu.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BULLETIN INTERNATIONAL DE L'ACADÉMIE DES SCIENCES DE CRACOVIE. Classe de philologie. Classe d'histoire et de philosophie. Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau. Philologische Klasse. Historisch-philosophische Klasse. № 5, mai, 1908.

— Classe des sciences mathématiques et naturelles. Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau. Mathematisch naturwissenschaftliche Klasse. № 7, juillet, 1908.

— POLONAIS, 33 année, 15 septembre, 1908. Le songe d'argent de Salomé, roman dramatique en 5 actes, par Jules Slowacki; — Vincent Migurski ou 28 ans d'exil, trad. par Mme Rivet, née Migurska (suite); — Variétés littéraires; — Variétés politiques, Nouvelles diverses; — Nécrologie (Louis Jeziński, Commandant Koszutski, Etienne Waszyński, Miecislas Jedliński, Walery Płaszewski).

— EKONOMISTA Tom II, zesz. III. H. Wiercieński: Protestanci i Niemcy w Król. Polskiem; — WI Grabski: Ciężary samorządu w Król. Polskiem; — d-r J. Adamczewski: Walka ekonomiczno-polit. o ziemię w Księstwie Poznańskim; — J. Gościcki: Dodatki lokalne we Francji; — Kronika ekonomiczna; — Kronika współdzielcza; — Rozbiory i sprawozdania; — Przegląd czasopism — Bibliografia.

— JAGIĆ-FESTSCHRIFT: Zbornik u slavu Vatroslava Jagića. Vatroslav Jagić zum 6 Juli 1908 gewidmet von seinen Freunden und Schülern. 8-o, form. duży, str. VIII + 725. Berlin, 1908. Weidmannsche Buchhandlung. Prace polskich autorów: A. Brückner: Roty sądowe polskie XV wieku; — W. Nehring: Wspomnienie o wzajemnych między Kroatami i Polakami stosunkach; — Jan Rozwadowski: Słow. *oseje* i t. d.; — Kazimierz Nitsch: Końcowe on, oł, oj w polszczyźnie literackiej i ludowej; — Jan Łoś: Ziemia—ziemią. Wola—wola; — Adam Ant. Kryński: O wpływie języka łacińskiego na polski; — W. Porzeziński: Berichtigungen zu „Kalina;“ — Jana Parum Szulcego słownik języka połabskiego; — J. Baudoin de Courtenay: Zur Frage über die „Weichheit“ und „Härte“ der Sprachlaute im allgemeinen und im slavischen Sprachgebiete insbesondere.

— KOSMOS, zesz. 6. Dr. Jan Nowak: Spostrzeżenia w sprawie wieku kredy zachodn. Podola (Observations sur l'age de la craie de la Podolie occidentale), z tablicą etnograficzną; — August Stöckl: Motyle (Lepidoptera) rzadsze i nowe, zebrane w latach 1903—1907 w okolicach Lwowa, Janowa, Żółkwi, Mikuliczyna, Zakopanego; — d-r Anna Drzewina: Z kwestyi autonomii rzekomo psychicznej (Sur la prétendue autonomie psychique); — K. Szulc: Spostrzeżenia meteorologiczne w Dublinach (Observations météorologiques à Dublin) z 2 rysunk.; — Bolesław Namysłowski: Fungi novi aut minus cognit.; — d-r Jan Nowak: Budowa Alp w świetle najnowszych badań (Ueber die Tektonik der Alpen in neuer Auffassung) z kartą tektoniczną i 18 rys. w tekście; — Sprawozdania i oceny (Analyses des travaux) przez M. Łomnickiego, W. Friedberga, W. Rogalę, W. Schreibera, M. Raciborskiego.

— KRYTYKA. Październik. (f.): Idea polska w polityce trzech zaborów;—Tad. Nalepiński: Chrzest;—O Polsce strof czterdzieści cztery;—Prof. J. Baudouin de Courtenay: O języku pomocniczym międzynarodowym;—Roman Zrębowski: Nowe poezye (Norwid-Staff);—Michał Sobeski: Szlakiem żurawim;—Jerzy Kurnatowski: Etyka indywidualna;—L. Thomas: Włóczędzy, tłum;—K. Bleszyński;—Andrzej Strug: Sielanka;—Przegląd prasy polskiej i obcej;—Peregrinus Polonus: Z marzeń kawiarnianego polityka;—Skiba: Ruch kobiecy;—Ze sztuk plastycznych;—Junius: Z trzech zaborów;—Sprawozdania naukowe i literackie.

— KULTURA POLSKA. Październik. Trwały grunt kultury;—Z polityki;—Nowe ograniczenia szkolne;—Tragiczne dzieje fundacyi Sztabińskiej;—Pokłosie;—1904;—1907 r.;—Niedola ludu galicyjskiego;—Zjazd Tow. Szk. Ludowej w Galicyi;—Na Ślązku;—Z literatury polskiej;—J. Łuszczewska (Deotyma);—Nowe książki;—Z czasopism polskich;—W Tow. Kul. Pol.; Kronika;—Odpowiedzi Redakcyi;—Dary dla Tow. Pol.;—Ogłoszenia

— KWARTALNIK HISTORYCZNY. Zeszyt 2 i 3. Działalność naukowa Franciszka Piekosińskiego: a) Wł. Senkowiec, Franciszek Piekosiński jako wydawca źródeł;—b) Tenże, Franciszek Piekosiński jako heraldyk i sfragistyk;—c) Stan. Kutrzeba, Franciszek Piekosiński jako historyk prawa polskiego;—d) Maryan Gumowski, Franciszek Piekosiński, jako numizmatyk;—Adam Szlągowski: Metody i zadania badań geograficznych w historii;—Ludwik Kolankowski: Sprawy polskie przed stolicą apostolską w okresie rewolucyi religijnej w Niemczech;—Abdon Kłodziński: Stosunki Polski i Litwy z Inflantami przed zatargiem z r. 1556/7;—Miscellanea;—Recenzye i sprawozdania przez d-ra Klemensa Bąkowskiego, d-ra Emanuela Swieykowskiego, Abdona Kłodzińskiego, d-ra Wł. Semkowicza, A. Prochaskę, M. Łodyńskiego, Maryana Goyskiego, Tadeusza Grabowskiego, Macieja Loreta, Tadeusza Korzona, Władysława Konopczyńskiego, Z. L. S., d-ra Bronisława Łozińskiego, Ludwika Janowskiego, A. Brücknera;—Majer Bałaban: Przegląd literatury historii Żydów w Polsce 1899—1907;—Eug. Barwiński: Bibliografia historii polskiej;—Kronika przez Eug. Barwińskiego;—Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa historycznego;—Polemika.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

PACIORKIEWICZ M.: Kościół a cywilizacya. Odczyt, wygłoszony na uroczystym wieczorze ku uczczeniu Jubileuszu Ojca św. Piusa X w Tarnowie dn. 31 marca 1908 r. Tarnów, 1908. Nakład autora, księg. Z Jelenia. 8-o, str. 22.

PELCZAR SEBASTYAN JÓZEF, DR.: Życie duchowne, czyli doskonałość chrześcijańska według najcelniejszych mistrzów duchownych. Wyd. szóste, przejrane i powiększone. Przemysł, 1906. Nakł. zgromadzenia Służebnic Serca Jezusowego. Wszelkie prawa zastrzega sobie autor. 8-o, form. duży, tom I. str. 592, tom II, str. 473 + IV.

STEIN LUDWIG: Sonderabdruck aus dem Archiv für systematische Philosophie in Gemeinschaft mit W. Dilthey, B. Erdmann und P. Natorp, mitbegründet von Edw. Zeller. Herausgegeben von... Überreicht vom Verfasser. 8 o, str. od 423—437.

SZLAGOWSKI ANTONI, KS.: Wstęp ogólny historyczno-krytyczny do Pisma Świętego. Hermeneutyka, tom III i IV. Bibl. Dział Chrześcijańskich, zeszyt 91/92. Warszawa, 1908. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 64.

WIZE K. F.: Jezewo. Eine Einteilung der philosophischen Wissenschaften nach Aristoteles Prinzipien. Leipzig, 1908. O. R. Reisland. Odbitka z „Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie und Soziologie,“ XXXII, 3. 8-o, str. 305—326.

H I S T O R Y A.

BUJAK FR.: Z dziejów wsi polskiej (Wsi zamku oświecimskiego na początku XVI w.). Kraków, 1908. Odbitka ze „Studyów historycznych, wydanych ku czci prof. Wincentego Zakrzewskiego.“ 8-o, str. 27.

GOYSKI MARYAN, DR.: Znaczenie dziejowe bitwy pod Grunwaldem. Kraków, 1908. Nakł. Koła T. S. L. Wydawnictwo Koła VI T. S. L. im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Odczyty popularne. Serya I, 10. 8-o, form. mały, str. 28.

KŁODZIŃSKI ABDON: W sprawie przywilejów nieszawskich z roku 1454. Kraków, 1908. Nadbitka z dzieła „Studia historyczne, wydane ku czci prof. Wincentego Zakrzewskiego.“ 8-o, str. 33.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscelanea historyczne XXVII. Sokolnicki i Krukowiecki. Epizod historyczny z lat 1813—1816. (Ze źródeł archiwalnych). Warszawa, 1908. 8-o, str. 74.

KULCZYCKI LUDWIK: Rewolucya rosyjska. Lwów, 1909. Nakł. księg. Polskiej B. Połanieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 4-o, form. mały, str. 486.

LEWICKI ANATOL, PROF. DR.: Zarys historii Polski i krajów ruskich z nią połączonych. Wydanie piąte, skrócone. Kraków, 1908. Nakł. autora. Księg. G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. 203.

MOŚCICKI HENRYK: Wilno i Warszawa w „Dziadach“ Mickiewicza. Tło historyczne trzeciej części „Dziadów.“ Warszawa, 1908. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 203.

PAMIĘTNIK NAPOLEONA SIERAWSKIEGO, OFICERA KONNEGO PUŁKU GWARDYI ZA CZASÓW W. KS. KONSTANTEGO, z przedmową prof. d-ra Stanisława Smolki. Lwów, 1907. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. XII + 332.

STELLA-SAWICKI JAN, DR.: Galicya w powstaniu styczniowym. Lwów, 1909. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 195.

TARLIŃSKI ZYGMUNT, DR.: Rozwój i zakres władzy hetmańskiej do jej reformy w XVIII wieku. Tarnów, 1908. Nakł. fund. nauk. Księg. Z. Jelenia. Odbitka ze Sprawozd. Dyrekcji c. k. gimnazyum II w Tarnowie za rok 1907/8. 8-o, str. 31.

ZUBRZYCKI TADEUSZ: Ostatni polski Rząd Narodowy. Wspomnienie w 44-tą rocznicę śmierci generała Trauguta i jego towarzyszy. Czerniowce, 1908. Nakł. admin. „Gazety Polskiej.“ Lwów, Maniszewski i Meinhart. 8-o, form. mały, str. 14.

HISTORIA LITERATURY.

BIEGELEISEN HENRYK, DR.: Ilustrowane dzieje literatury polskiej. Wiek oświecenia i romantyzm. T. V. Tom ten zawiera przeszło 138 ilustracji i 16 kartonów. Wiedeń, 1908. Nakł. Fr. Bondego. 8-o, form. duży, str. 389.

DOLEŻAN WIKTOR: Henryk Sienkiewicz. Potop. Wyd. II. Tarnów, 1909. Nakł. księg. Z. Jelenia. Biblioteka krytyczna arcydzieł literatury polskiej № 2. 16-o, str. 53.

HAHN WIKTOR, DR.: Stanisław Żółkiewski w poezji polskiej. Szkic literacki. Lwów, 1908. Nakł. księgarni Maniszewskiego i Meinharta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, form. mały, str. 42.

KRAMSZTYK ZYGMUNT: Bohaterowie Pana Tadeusza. II Soplicowie. Warszawa, 1908. Skł. gł. w księg. G. Centnerszvera. 8-o, str. 210.

LORENTOWICZ JAN: Młoda polska I. Porozumienie z czytelnikiem. Młoda Polska i t. zw. „modernizm.“ Krystalizacja programów. Miriam i „Chimera.“ Antoni Lange. Jan Kasprówicz. Nowości literackie, t. II. Z portretem autora. Warszawa, 1908. Księg. St. Sadowskiego. 8-o, str. 157.

PIETRZYCKI JAN: Powstanie listopadowe w dramatach Stanisława Wyspiańskiego. Uwagi historyczne i literackie. Lwów, 1909. Nakł. księg. Powsechnej. 8-o, str. 61.

RZEPIŃSKI STANISŁAW: Ks. Stanisław Załęski T. J. Wspomnienie pośmierne. Kraków, 1908. Nakł. sod. Mar. panów ziemi sądeckiej. Odbitka z czasopisma „Sodalis Marianus.“ Str. 8.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1908.

HISTORIA.

	Str.
POD PANOWANIEM FRYDERYKA II,—przez <i>Henryka Mościckiego</i> . . .	360
PIERWSZY SYONISTA POLSKI,—przez <i>prof. Szymona Askenazego</i> . . .	454

SZKICE POLITYCZNE.

TURCYA NA PRZEŁOMIE,—przez <i>Bolesława Koskowskiego</i>	1
TURCYA W EUROPIE,—przez <i>Bolesława Koskowskiego</i>	209
TURCYA W AZYI,—przez <i>Bolesława Koskowskiego</i>	417

SPRAWY SPOŁECZNE I EKONOMICZNE.

STATYSTYKA A ETYKA,—przez <i>d-ra A. Zielińczyka</i>	110
--	-----

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

O CYPRYANIE NORWIDZIE,—przez <i>Adama Krechowickiego</i> . . .	52, 295 i 514
LEONIDAS ANDREJEW,—przez <i>Władysława Jabłonowskiego</i>	85
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	121
WYCHOWANIE ESTETYCZNE,—przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	142
SILY I ŚRODKI NASZEJ SCENY,—przez <i>W. Bogusławskiego</i>	153
SZTUKA WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	343
WIKTORYN SARDOU,—przez <i>W. B.</i>	549
RUCH UMYSŁOWY W NIEMCZECH,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i> . . .	554

II

L I T E R A T U R A.

	<i>Str.</i>
HANKA (powieść),—przez <i>Ory Jelską</i>	26, 251 i 470
PAN BALCER W BRAZYLII,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	235 i 441

K R Y T Y K A.

KS. JÓZEF WALKOWSKI: „Pamiętniki pisane w niewoli kołobrzesckiej.“ (Ważne źródło do historii arcybiskupa Dunina),—przez <i>H. Mościckiego</i>	181
R. CENTNERSZWEROWA: „O języku Żydów w Polsce, na Litwie i Ru- si,“—przez <i>H. M.</i>	186
HELENA ORSZA: „Z dziejów narodu,“—przez <i>Z. D.</i>	374
WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI: „Rozprawy i wrażenia literackie,“—przez <i>Z. D.</i>	377
JÓZEF WEYSSENHOFF: „Dni polityczne.“ Serya I. „Narodziny działacza“ (r. 1905). Serya II. „W ogniu“ (r. 1905—1906),—przez <i>Henryka Gallego</i>	380
„AKROPOLIS.“ Pomysł zabudowania Wawelu. Obnysleli Stanisław Wy- spiański i Władysław Ekielski w latach 1904—1907, — przez <i>Fr. P.</i>	386
JĘDRZEJ ŚNIADECKI: „Pisma satyryczne,“—przez <i>H. Mościckiego</i>	588
ARTUR OPPMANN (OR-OT): „Wybór poezyj,“—przez <i>Henryka Gallego</i>	590

KRONIKA MIESIĘCZNA.

PAŹDZIERNIK:

Zniesienie stanu wojennego.—Zbiory Erazma Majewskiego i sprawa
Muzeum.—Dziesięciolecie Towarzystwa higienicznego 188

LISTOPAD:

Z chwili. — Pierwszy zjazd współdzielczych stowarzyszeń spożyw-
czych.—Resursa Związku robotników chrześcijan.—Li-
teratura sensacyjna i zwyrodnienie smaku. — Tablica
pamiątkowa Juliusza Słowackiego 389

GRUDZIEŃ:

Jubileusz papieski.—Zatargi kapitału z pracą. — Wystawa w Często-
chowie.—Sanatorium w Rudce.—Muzeum miejskie.—
Centralny bank kredytowy 597

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Karol Estreicher;—ś. p. Witold Załęski;—b. p. Mathias Bersohn,—
przez *Z. D.* 197 i 611

III

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

	<i>Str.</i>
PAŹDZIERNIK	201
LISTOPAD	403
GRUDZIEŃ	613

DODATEK „PRACA.“

- PRZY ZESZYCIE PAŹDZIERNIKOWYM (№ 8): „Niemcy Ewangelicy w ziemi Dobrzyńskiej,“—przez *S. W. Tylickiego*.
- PRZY ZESZYTACH LISTOPADOWYM (№ 9) i GRUDNIOWYM (№ 10): „Sprawa funduszków instytutowych, wypożyczonych w r. 1831 przez Rząd Narodowy,“—przez *d-ra Wacława Męczkowskiego*.